



W tajemniczych okolicznościach  
znika sławny polski kryptolog.  
W jego gabinecie policja znajduje  
jedynie plamy krwi...

# SZMERY

PIOTR BOJARSKI



SZMERY



# SZMERY

PIOTR BOJARSKI

 CZW  
ARTA  
STRÓ  
NA

Copyright © Piotr Bojarski, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019  
Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk  
Redakcja: Kamila Markowska / panbook.pl  
Korekta: Katarzyna Smardzewska / panbook.pl  
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl  
Projekt okładki: Magdalena Zawadzka  
Fotografa na okładce: elbud / Shutterstock  
Sibrikov Valery / Shutterstock  
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki



Niniejsza książka została wydana  
z okazji obchodów stulecia  
Uniwersytetu Poznańskiego.

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66278-30-1

**CZWARTA STRONA**

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



*Kasi i synom*





# Prolog

Poznań, wtorek 30 czerwca 1931 roku,  
wieczorem

Profesor uchylił okno, wpuszczając do swojego gabinetu rześkie, wieczorne powietrze znad Świętego Marcina. Stukot końskich kopyt mieszał się z głuchym pomrukiem silnika automobilu. Miasto kładło się z wolna do snu. Zapowiadała się ciepła noc, ale naukowiec nie myślał jeszcze o odpoczynku. Zamiast tego podszedł do biurka i pochylił się nad kartką pełną tajemniczych wykresów i obliczeń.

– Ach, że też tego wcześniej nie zauważyłem... – mruknął nagle sam do siebie i zasiadł w głębokim fotelu, chwytając za niedawno odłożone pióro.

Na jego skupionej twarzy pojawił się uśmiech zawodowej satysfakcji. Wolną dłonią poczochnął falę siwych włosów nad czołem, a prawą – skreślił kilka wcześniej zapisanych linijek i zapisał nowe, z wigorem i pasją zdradzającą prawdziwą przyjemność. Mimo tego, że miał już niemal pięćdziesiąt dziewięć lat, kochał te wieczorne szarady, lubił przed powrotem do domu pogimnastykować mózg, zanim znowu popadnie on w rodzaj bezwładu. Funkcje eliptyczne, rachunek różniczkowy czy teoria szeregów – to były jego ukochane

poletka. Gdy siadał nad nimi z piórem w dłoni, świat za oknem przestawał dla niego istnieć. „Istota matematyki zawiera się w jej wolności” – doskonale pamiętał tę myśl Georga Ferdinanda Cantora. Tyle że w jego wykonaniu istota matematyki zawierała się w wielogodzinnym zniewoleniu – nad biurkiem i zadaniem. Czuł się wolny dopiero wtedy, gdy strumień świadomości gdzieś w tyle głowy pozwalał mu pokonać nawet najtrudniejsze logiczne zakręty.

Szlachetny obłęd zwany matematyką opanował go również tego letniego wieczoru. Pochylony nad biurkiem i pochłonięty znalezieniem rozwiązania nawet nie usłyszał dziwnego stukotu dobiegającego gdzieś zza ściany. Bo też nikt – lub nic – nie był w stanie oderwać go od zagadki, za którą właśnie się zabrał. Zaaferowany bliskością sukcesu nie zwrócił uwagi na coś przypominającego szuranie, czy może raczej szmery, które dochodziły gdzieś zza jego pleców, z jednego z kątów przestronnego gabinetu.

Zamiast tego machnął ręką, jakby odganiał niewidoczne stado komarów i szybkim ruchem włączył ażurową lampę stojącą w rogu biurka. Światło rozbiegło się po ścianach jak rozbita mozaika, nie odrywając go wszakże od zadania.

– A gdyby tak jeszcze... – szepnął i z radości puknął się wolną dłonią w czoło.

Zupełnie jakby chciał powiedzieć:

– Ależ z ciebie matolek, Zdzisiu! Ależ matolek!

Szuranie i ciche szmery zostały gdzieś za nim. Ignorował je zupełnie, nie odrywając wzroku i myśli od królowej nauk. Przecież był już tak blisko! Zdawało się, że rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki...

Gdyby choć na moment odwrócił się w stronę, z której dobiegały dziwne odgłosy, zdziwiłby się niepomniernie. A jednak nie pozwolił swoim myślom się rozproszyć.

Tego lipcowego wieczoru był to jego jedyny błąd.  
Zrozumiał to jednak za późno.  
O wiele za późno.



Część 1.

# RÓWNANIE Z NIEWIADOMĄ





# 1. Rdzawa plama

Poznań, środa 1 lipca 1931 roku,  
Prezydium Policji przy ulicy Ratajczaka,  
około ósmej rano

Płachta „Kuriera Poznańskiego” przesłoniła krągłą twarz komisarza Policji Państwowej Zbigniewa Kaczmarka, 33-letniego bruneta z imponującymi bakami, tendencją do nadwagi i wczesnej siwizny. Przegryzając sznytę<sup>[1]</sup>, przygotowaną mu przez kochającą, a nadto zmysłową żonę Lonię, przerzucał szybkim, nieco chaotycznym wzrokiem dział wiadomości potocznych, wyszukując interesujących go zdarzeń natury kryminalnej. Tego dnia jednak czołowy dziennik tego miasta nie potrafił zaspokoić ciekawości komisarza. Mnożyły się w nim wzmianki o sprawach incydentalnych, jak na przykład kradzież dwóch krawatów ze sklepu Konkiewicza na Starym Rynku. Komisarz cenił sobie wprawdzie samego kupca i nieraz zaglądał do jego przybytku mody, by nabyć nowe spodnie lub kamizelkę, uważał jednak, że rozpisywanie się o tak drobnym przestępstwie to zwykła przesada. Podobnie jak epatowanie czytelników faktem

nieobyczajnego zachowania półnagiego mężczyzny w Łazienkach Miejskich.

– Gryzpiórki rozmieniają się na drobne – powiedział i mlasnął, rozprawiając się ze sznytką z kiełbasą jałowcową. – Patrz no, Borowczak, o czym tu oni piszą! Jak Boga Kocham, czy to w ogóle jest ciekawe?

Wywołany do odpowiedzi szczupły mężczyzna w randze starszego przodownika poderwał się z krzesła i podszedł do przełożonego.

– O czym pan komisarz mówi? – wykazał szczere zainteresowanie.

Kaczmarek z niesmakiem wskazał dłonią rubrykę kryminalną zawierającą wykaz kilkunastu kryminałek, opisanych krótkim, reporterskim językiem.

– „...Nieszczęśnik ów ukazał się żeńskiej części klienteli Łazienek Miejskich bez dolnej garderoby...” – przeczytał fragment zupełnie zaskoczony Borowczak.

– Czytaj dalej – mruknął znudzonym tonem Kaczmarek.

– „Krzyk, jaki się podniósł, spowodował natychmiastową interwencję miejscowego stróża porządku, posterunkowego Śliwki...” – ciągnął relację Borowczak. – Ejże, panie komisarzu, znam tego Śliwkę! Zdaje się, że on służy na komisariacie przy Dolnej Wildzie!

Otyły komisarz wzruszył ramionami.

– A niechby i na samym Ostrowie Tumskim! – warknął rozeźlony. – Popatrz, Borowczak, jakimi pierdołami zawracają nam dzisiaj głowę! Tu złodziej dwóch krawatów, tam jakiś nagi wariat nad Wartą. Jeszcze tylko brakuje artykułu o kolejnych ekscesach w dawnym hotelu Polonia. Albo o bójce jakiejś eki[2] na Chwaliszewie. Jakie to wszystko nudne! Jakież to wszystko przewidywalne i małostkowe! Wiesz co, Borowczak? Jak



czytam rano coś takiego, od razu tracę apetyt. Pojmujesz, o czym mówię?

– Ma się rozumieć – przytaknął grzecznie starszy przodownik.

Nie zamierzał w żaden sposób drażnić swojego szefa, jego zmienny humor był wszak dobrze znany w całym Prezydium.

– A co ty dzisiaj taki układowy? – miły ton podwładnego wzmógł niespodziewanie czujność Kaczmarka.

Łypnął nieufnym okiem na Borowczaka, jakby chciał sprawdzić, czy przypadkiem szczun[3] nie śmieje mu się za plecami.

– E... Znaczy się, cieszę się, że pan komisarz dzisiaj w dobrym nastroju – skłamał dość gładko starszy przodownik.

Od kilku dni był świadkiem narastającej frustracji szefa, zmuszonego do zajmowania się sprawami – jak mniemał – poniżej jego godności. Wraz z nastaniem lata w Poznaniu wystąpił prawdziwy wysyp drobnej przestępczości na tle obyczajowym, co niezmiennie nudziło komisarza. Gdy tylko mógł, wysyłał w teren Borowczaka i kilku innych podwładnych, ale nawet mimo tego sprytnego zabiegu musiał swoim podpisem firmować codzienne protokoły z ich postępowań. A tym samym nie mógł uniknąć lektury spraw z gatunku tych, które opisywał najświeższy „Kurier”. Tyle było z tego pożytku, że zdarzało mu się wyłapać jakiś błąd ortograficzny, zanim raport poszedł wyżej, do samego podinspektora Zygryda Kaysera. Chociaż tyle!

– To może by tego Śliwkę przedstawić do jakiejś premii? Albo chociaż do jakiejś służbowej pochwały? – znudzony Kaczmarek spojrzał pytająco na Borowczaka.

– To byłby dobry ruch, panie komisarzu – przytaknął starszy przodownik.

– Dobry? A niby dlaczego?

– Bo sam pan komisarz rozumie: mamy lato, więc i spraw obyczajowych więcej. A skoro posterunkowy Śliwka zachował się jak należy, więc...

– ... policja jak zwykle jest na posterunku – dokończył Kaczmarek. – O tak, to na pewno spodoba się Kayserowi... I prezydentowi miasta, o tak! W końcu Ratajski prosił nas niedawno o objęcie okolicy Łazienek szczególną opieką...

Zapewne komisarz chwyciłby zaraz za pióro i sporządził całkiem zgrabny wniosek o pochwałę dla nieustraszonego posterunkowego Śliwki, ostoi dobrych obyczajów, gdyby nie telefon, który przypomniał o swoim istnieniu przykrym, metalicznym sygnałem.

– Kaczmarek, słucham...

– Biniu? Jesteś tam? – głos podinspektora Kaysera zabrzmiał jakoś dziwnie i nienaturalnie.

– O co chodzi, szefie?

– Mam coś dla ciebie. To pilne. I niezwykle ważne. Za dwie minuty widzę cię u mnie, rozumiemy się?

Kaczmarek westchnął z ulgą i odkładając słuchawkę na widełki, wzniósł ku sufitowi spojrzenie pełne miłości i bezgranicznej wdzięczności.

– Bogu niech będą dzięki! – wysapał. – Wreszcie jakaś sprawa wyżej gołego tyłka w Łazienkach!

Poznań, Prezydium Policji, w gabinecie podinspektora Kaysera, chwilę później

Szczupły szef Wydziału Śledczego komendy miejskiej policji stał przy oknie, bacznie przyglądając się rozładunkowi świeżej dostawy anyżówki do pobliskiej „Esplanady”. Gdyby nie wstrząsające wieści z uniwersytetu, zapewne nie omieszkałby wyskoczyć z Kaczmarkiem na drugą stronę ulicy. Natura sprawy, którą miał się podzielić z podwładnym, nie pozwalała jednak na podobną chwilę słabości.

– Chodzi o profesora Krygowskiego – wycodził przez zęby Zygfryd Kayser. – Zdzisława Krygowskiego, tego matematyka z Uniwersytetu Poznańskiego. Słyszałeś o nim chyba, prawda?

– Być może – Kaczmarek szybko przeszukiwał zasoby swojej pamięci, a nie mogąc znaleźć żadnego odpowiedniego zapisu, uciekł się do tej jakże uniwersalnej formuły.

– To światowej sławy matematyk, panie kolego. Naprawdę tęga głowa. Pewnie wiesz, że zanim objął katedrę matematyki na naszej Alma Mater, był rektorem Politechniki Lwowskiej. To wielkie szczęście dla Poznania, że zdecydował się przyjechać właśnie do nas. Dzięki niemu i jeszcze kilku innym wykładowcom matematyka na naszym uniwersytecie reprezentuje dziś bardzo wysoki poziom.

„Galicjoki z Kongresówki zabierają naszym najlepsze posady!” – zadzwoniło gdzieś w głowie komisarza głupie, propagandowe hasło, modne w początku lat dwudziestych w Poznaniu. To właśnie wtedy dynamicznie powstawała tu pierwsza polska uczelnia wyższa – przy dużym, jeśli nie decydującym udziale naukowców „importowanych” z Krakowa czy Lwowa. Dlatego – w zestawieniu z opowieścią Kaysera – przypadek profesora Krygowskiego wydał mu się zupełnie nieprzystający do lansowanej przez endeków rzekomej krzywdy miejscowych.

Nie wiedzieć czemu, komisarz poczuł nagle ciarki na plecach.

– Ale... co mu się stało?

Kayser odszedł od okna i zbliżył się do siedzącego na wprost biurka Kaczmarka.

– Tego właśnie nie wiemy – powiedział.

– Jak to: nie wiemy? To dlaczego szef mnie tu wezwał?

Zamiast odpowiedzi przełożony Kaczmarka otworzył szufladę swojego biurka i wydobył z niej woreczek z tytoniem. A potem poźółkłymi od używki palcami ubił pachnący ładunek w cybuchu swojej ukochanej fajeczki. Skwierczenie zapałki miało w sobie coś metafizycznego. A puszczona chwilę później ku sufitowi chmurka dymu skojarzyła się Kaczmarkowi z ludzką duszą, opuszczającą ziemski padół.

– Sprawa jest dziwna – wyznał w końcu podinspektor, gdy jego gabinet wypełnił się już aromatem palonego tytoniu marki Muszkatele.

– Dziwna?

– Dziwna i tajemnicza. Wyobraź sobie, Biniu, że wczoraj wieczorem profesor nie wrócił do swojego mieszkania przy ulicy Focha 54. Już samo to było w sobie niesłychane, bo zwykle nasz dzielny naukowiec zjawiał się u małżonki nie później niż o dwudziestej trzeciej. A tym razem do domu nie dotarł. Ulotnił się! Zniknął jak kamfora! Już o północy szanowna małżonka profesora złożyła doniesienie na komisariacie przy Focha. Trudno się dziwić, że była zdenerwowana. Najważniejszy sygnał otrzymałem jednak kwadrans temu. Zadzwonili do mnie z Zamku...

– Z Zamku? Znaczy się, z uniwersytetu?

– Właśnie. Konkretnie z Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego. Dzwonił asystent profesora Krygowskiego. Wyobraź sobie... Zastał dziś nad ranem jego gabinet w dużym nieładzie...

Oczy komisarza rozszerzyły się mimowolnie.

– Co to znaczy, szefie? Co to znaczy: w dużym nieładzie?

Kayser wydmuchnął dym w stronę okna i spojrzał na podwładnego w sposób, który przyprawił go o przyspieszone bicie serca.

– Myślę, panie kolego, że najlepiej będzie, jeśli sam to ustalisz. Bierz Borowczaka i ekipę techniczną i lećcie natychmiast do Zamku. Tylko nikomu ani słowa! Sprawa jest najwyższej wagi! I tylko niech was ręka boska broni przed opowiadaniem czegokolwiek prasie!

Kaczmarek zadrżał z emocji, ale pohamował nerwową reakcję. Wstał z godnością i strzepał ze spodni czysto hipotetyczny pyłek.

– Akurat co do tego, to szef może być zupełnie spokojny – oświadczył.

Z prasą bowiem miał na pieńku od dawna.

## Poznań, tego samego dnia w byłym Zamku Cesarskim, kwadrans przed dziewiątą

Na chłodnych korytarzach Zamku Kaczmarek zawsze czuł się jakoś nieswojo. Fakt, bywał tam raczej rzadko, ale jego niechęć do tego miejsca wiązała się z wydarzeniami z niedalekiej przeszłości. Doskonale pamiętał jeszcze czasy, gdy po tych nadmiernie – jego zdaniem – pompatycznych wnętrzach przechadzali się członkowie cesarskiej rodziny albo wysocy rangą pruscy urzędnicy, z urodzonym w Poznaniu feldmarszałkiem von Hindenburgiem na czele. Jako biednemu wybiłoknu<sup>[4]</sup> z sutereny kamienicy przy Świętym Marcynie, zwanym wtedy jako Sankt Martin-Strasse, świetnie wryła mu

się w pamięć wielka feta, z jaką późnym latem 1910 roku przyjęto tutaj samego Kajzera. Wilhelm II przybył na uroczystość przekazania mu nowego zamku. Kaczmarek zapamiętał efektowny biały samochód, którym niemiecki władca nadjechał w asyście kierowcy z Dworca Cesarskiego. Automobil ze względów bezpieczeństwa wjechał wprost do sieni w przyziemiu wieży. Młody Kaczmarek przez ułamek sekundy dojrzał profil cesarza wyskakującego z wnętrza auta. W pamięci utkwily mu imponujące wąsy Kajzera, wniesione zadzierzyscie ku górze.

Teraz, gdy kroczył Korytarzem Herbowym jako oficer polskiej policji, ciągnąc za sobą pięcioosobową ekipę śledczą, poczuł coś w rodzaju dziejowej satysfakcji. Kajzerowi nie dane było długo nacieszyć się licowaną piaskowcem rezydencją, która miała na wieczne czasy poświadczać niemiecką przewagę nad polskim żywiołem w Poznaniu. Był tu raptem cztery razy, po czym – jak mawiali złośliwi poznańscy – „zostawił prezent i wyjechał”. Mało tego, po przegranej przez cesarskie Niemcy wojnie i odbiciu Poznania z niemieckich rąk, właśnie tutaj ulokował się polski uniwersytet – jakby na złość i pohybel dawnym imperialnym zamysłem Wilhelma. Mijając drzwi do dawnej Sali Tronowej, Kaczmarek mimowolnie uśmiechnął się złośliwie. To właśnie tutaj, za tymi drzwiami, w maju 1919 roku polski uniwersytet uroczyscie zainauguował pierwszy rok akademicki. *Sic transit gloria mundi*<sup>[5]</sup> – przemknęła przez głowę Kaczmarka wykuta niegdyś w szkole łacińska formuła.

Asystent profesora Krygowskiego, który wyszedł im naprzeciw, przedstawił się jako doktor Albin Szamotulski. Wyglądał na niezwykle przejętego. W jego ciemnych źrenicach, powiększonych dodatkowo przez grube szkła okularów, komisarz dostrzegł strach. Dlaczego ten młody człowiek tak się trzęsie? – zastanawiał się, gdy podał mu dłoń.

- Proszę za mną - jęknął Szamotulski, prowadząc policjantów do jednego z gabinetów na pierwszym piętrze.

Weszli w milczeniu przez podwójne, dębowe drzwi. Pokój profesora okazał się przestronnym lokum w kształcie prostokąta. Ściany pokrywała boazeria, pamiętająca jeszcze czasy pierwszych właścicieli Zamku. Zdobily ją brązowe reliefy. Kaczmarkowi z miejsca skojarzyły się z jakimś relikwiarzem...

- To fragmenty relikwiarza Karola Wielkiego z katedry w Akwizgranie - wyjaśnił szybko Szamotulski. - Zostały po cesarzu... A pan profesor siedział... ooo, tam!

Wskazówka naukowca momentalnie wróciła Kaczmarka ze średniowiecznego Akwizgranu do nowożytnego Poznania. Szybkim ruchem głowy rozejrzał się po jasnym wnętrzu. Gabinet miał dwa okna, wychodzące wprost na ulicę Święty Marcin. Poranny wiaterek tarosił delikatnie firanę przez uchylone skrzydło okna, wpuszczając do wnętrza świeży podmuch. Na środku pokoju stało masywne, zapewne dębowe biurko, zavalone teczkami i kartami pełnymi liczb oraz wykresów. W rogu biurka ciągle świeciła się efektowna, ażurowa lampa.

- Nikt nie wyłączył? - skrzywił się Kaczmarek.

Jeszcze godzinę wcześniej w „Kurierze” rzuciła mu się bowiem w oczy krótka, acz treściwa reklama: „Kto oszczędza, ubezpiecza byt własny i rodziny, pomnażając majątek narodowy. Prezydent stołecznego miasta Poznania, Cyryl Ratajski”.

- Nie wypadalo - wyjaśnił pokornym tonem asystent profesora. - Zresztą, przez telefon zakazali nam dotykać czegokolwiek.

Kaczmarek momentalnie poczuł sympatię do przerażonego Szamotulskiego.

– A, skoro tak, to bardzo dobrze pan zrobił – pochwalił młodego doktora matematyki, jednocześnie bacznie przyglądając się przewróconemu do tyłu fotelowi. – No dobrze, szanowny panie. Proszę nam pokrótce opowiedzieć, co właściwie pan dzisiaj tu stwierdził?

Szamotulski z trudem panował nad swoimi drżącymi dłońmi. Chciał je schować za plecy, ale najwidoczniej zdał sobie sprawę z absurdalności tego rozwiązania, bo ostatecznie złożył je przed sobą jak do modlitwy, usiłując zachować spokój i skupić myśli.

– Przyszedłem do pracy jak zwykle o siódmej trzydzieści – rozpoczął z isticie matematyczną precyzją. – Chciałem pobrać na portierni klucz do gabinetu, ale portier powiedział mi, że wyjątkowo klucza nie ma, bo nikt go poprzedniego dnia nie zwrócił. Przyznaję, nieco się zdziwiłem, ale cóż... Profesorowi zdarzało się zostawać w gabinecie na noc. Zwłaszcza teraz, gdy mamy takie ciepłe lato...

– Nie rozumiem – wszedł mu w słowo komisarz, marszcząc brwi. – Niby dlaczego pan profesor Krygowski, człowiek w końcu w słusznym wieku, miałby tu zostawać na noc? I gdzie niby by spał? W tym niewygodnym fotelu?

– To z miłości... – jęknął Szamotulski.

– Z czego?

– Z miłości do matematyki, panie komisarzu. Oczywiście do matematyki! – poprawił się natychmiast asystent profesora. – Profesor Krygowski ma taki zwyczaj, że przed udaniem się na odpoczynek lubi zadać sobie jeszcze nieco trudu i zabrać się za bary z jakimś ekstraordinaryjnym zadaniem...

– Za bary z zadaniem? Z wywróconego fotela wnioskuje raczej, że mocował się z kimś bardziej namacalnym!

– Ano właśnie, panie komisarzu! – znowu załamał ręce doktor Szamotulski. – Wydaje mi się... Właściwie jestem więcej



niż pewny, że szanowny pan profesor padł ofiarą zamachu na swoje życie!

Kaczmarek zrobił duże oczy.

– A z czego pan tak wnioskuje, panie szanowny? – zapytał, przytłoczony ciężarem wysuniętego dopiero co, niezwykle sugestywnego, podejrzenia.

– A z tego, panie komisarzu – wybuchnął niemal płaczem Szamotulski, doskakując do wywróconego fotela.

Prawą dłonią celował teraz w coś na brązowym dywanie. Komisarz zrobił dwa kroki w przód i spojrzał w to samo miejsce. Na puszystym dywanie, nieopodal wywiniętej w górę nogi fotela, dostrzegł wyraźną szkarłatno-rdzawą plamę.

– Panowie, do roboty! – rozkazał natychmiast swojej ekipie.

Gdy przepuszczał policyjnego fotografa, zauważył, że dłonie Szamotulskiego znowu opanowały chaotyczne drgawki.

## Godzinę później, u wyjścia z Zamku w stronę Świętego Marcina

Przebiegły żurnalista zaczął się na Kaczmarka w wahadłowych drzwiach odgradzających hol korytarza od kamiennych schodów, wiodących na miejski trotuar. Miał na sobie tanią marynarkę, a w dłoniach dzierżył notes i ołówek. Na jego młodej, dość beczelnej twarzy błąkał się podejrzliwy uśmieszek.

– Redaktor Władysław Grabski z „Kurierem”! – krzyknął w stronę policjanta, usiłując zatarasować swoim wątlm

ciałem wyjście na zewnątrz. – Panie komisarzu Kaczmarek, czy to prawda, że zaginął profesor Krygowski?

Gruby komisarz zignorował pytanie, ale nie udało mu się zgrabnie wyminąć blokady utworzonej z nader chudego korpusu dziennikarza.

– To my się w ogóle znamy? – fuknął na gryzipiórka.

– Władysław Grabski<sup>[6]</sup> z „Kuriera”...

– Taaa, a ja jestem Ignacy Mościcki! – huknął rozeźlony na młodzika. – Proszę nie przeszkadzać w wykonywaniu czynności służbowych! Proszę się odsunąć!

– Kiedy ja mam pytanie...

– Panie, każdy ma jakieś pytania! Całe życie zmagamy się z pytaniami! Daj pan mi teraz spokój, jak kocham Boga!

– Panie komisarzu! Czy potwierdza pan nieoficjalną informację o zaginięciu profesora Zdzisława Krygowskiego?

O do diabła, przemknęło przez głowę Kaczmarka. Bez dwóch zdań mamy przeciek w komendzie!

– To niczym niepoparte plotki, panie redaktorze! – rzucił w stronę żurnalisty, skutecznie przepychając w końcu jego chudy korpus w kierunku Świętego Marcina.

– Skoro tak, to co tutaj panowie robicie? – redaktor Grabski okazał się jednak trudniejszym przeciwnikiem, niż się to komisarzowi wydawało.

Chwycił za poję marynarki komisarza i nie zamierzał odpuścić.

– Borowczak! – ryknął Kaczmarek, w najwyższej desperacji wskazując na wczepioną w siebie dłoń dziennikarza. – Weź mi z drogi tego barana! Bo jak nie, sięgnę po broń! A bardzo bym tego nie chciał! Bardzo!

Dziennikarz zbladł, puszczając garderobę komisarza.

– Czyli co? – zagadnął raz jeszcze, tym razem nieco chaotycznie. – Czyli mam napisać, że dzisiaj rano ekipa

dochodzeniowa z Prezydium Policji przyjechała na uniwersytet, żeby wypić sobie herbatkę?

W Kaczmarku zagotowała się krew.

– Słuchaj no, szcunie! – Teraz to on dorwał się do taniej marynarki Grabskiego. – Mamy w Rzeczypospolitej Polskiej wolność słowa, ale jeśli jutro, a nawet dziś po południu, wydrukujesz coś równie idiotycznego, osobiście stawię się w twojej zafajdanej redakcji i dopilnuję, żebyś zeżarł cały nakład „Kuriera”! Jeśli już koniecznie musisz coś napisać, to masz prawo podać jedno: komisarz Kaczmarek odmówił komentarza! Rozumiemy się?! No, to powtórz, ale szybko!

– „Komisarz Kaczmarek odmówił komentarza” – jęknął na wydechu młody dziennikarz.

– Brawo! I tego się trzymajmy! – komisarz odepchnął Grabskiego na schody, dbając wszakże, by dziennikarz z nich przypadkiem nie spadł.

Lepiej, żeby ten gryzipiórek nie miał niepotrzebnych punktów zaczepienia do swojej skandalizującej relacji.

– My się jeszcze policzymy! – usłyszał za plecami szczeniacką pogroźkę.

Przejął się nią tyle co zeszłorocznym śniegiem. Jego myśli krążyły bowiem wokół tego, co ustalił w gabinecie Krygowskiego. Musiał się tym szybko podzielić z podinspektorem Kayserem.

## Kwadrans później, w Prezydium Policji

– Jesteście pewni, że to krew profesora?

Pytanie podinspektora Kaysera wybrzmiało chłodno, a przy tym niezwykle prosto i logicznie. Komisarz Kaczmarek poruszył się niespokojnie na krześle.

– Pewność będziemy mieć, gdy nasi laboranci porównają grupę krwi z próbki z danymi z archiwum medycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Wystąpiliśmy już do rektora o takie informacje – odpowiedział.

– Mamy takie możliwości techniczne? – zainteresował się Kayser.

– Tak, laboratorium w Komendzie Głównej w Warszawie wykonuje takie analizy. Ale na wynik musimy poczekać kilka dni.

– To poczekamy. A póki co, opowiadaj, co tam jeszcze odkryliście.

Kaczmarek potargał nerwowo jeden ze swoich baków. Przez chwilę zastanawiał się, od czego zacząć, by relacja była spójna i nie prowokowała szefa do zadawania niepotrzebnych pytań.

– Przede wszystkim gabinet miał uchylone okno, a przy biurku profesora leżał przewrócony w tył fotel. Ciężki, obity skórą mebel, który nie mógł się przewrócić ot tak, bo Krygowski nagle się podniósł.

– Sugerujesz, że ktoś go zaatakował?

– Być może. Jak już wspomniałem, poza plamą krwi na dywanie nie zaobserwowałem żadnych innych śladów walki. Obok biurka, właściwie tuż pod nim, znalazłem za to rozdeptane wieczne pióro. Wyciekło z niego sporo atramentu.

– Należało do profesora?

– Tak. Jego asystent natychmiast je rozpoznał. Wszystko wskazuje na to, że wczoraj późnym wieczorem matematyk zasiadł swoim zwyczajem do jakiegoś niezwykle wciągającego zadania. Na biurku nadal spoczywała bowiem rzetelnie

zapisana karta papieru, a obok inne, z masą dziwnych wyliczeń.

– Dziwnych?

– Dziwnych dla mnie, szefie. Nigdy nie byłem mocny z przedmiotów ścisłych, więc nie potrafiłem się rozeznąć w tych profesorskich notatkach. Ale doktor Szamotulski, znaczy się jego asystent, powiedział, że profesor niemal rozwiązał skomplikowane zadanie z zakresu funkcji ekliptycznych...

– Chyba eliptycznych, Biniu?

– Zapewne tak, najmocniej przepraszam. W każdym razie, był już bliski finału, po którym być może udałby się na zasłużony wypoczynek w domu. Tyle że nie dane mu było skończyć zadania. To znaczy, nie dano mu ukończyć...

W gabinecie Kaysera zapadła na moment kłopotliwa cisza. Chwila była szczególna: obaj policjanci doskonale zdawali sobie sprawę, że poprzedniego dnia wieczorem w gabinecie profesora Krygowskiego, w pomieszczeniach uniwersyteckich doszło do czegoś w rodzaju aktu terrorystycznego lub porwania. Krew i zniszczone pióro na dywanie aż nadto dobitnie wskazywały, że naukowiec został zaatakowany przez nieznanych sprawców i zapewne spróbował stawić im opór. Co nastąpiło później, pozostawało największą zagadką. Tak czy owak, profesor zniknął. Dlaczego jednak nikt nie zauważył momentu porwania? I jak do niego doszło?

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nikt niczego nie usłyszał – odezwał się w końcu Kaczmarek tonem zdradzającym przygnębienie. – Portier na parterze klnie się na pamięć swojej matki, że wczoraj po godzinie dwudziestej pierwszej nikt nie wchodził na piętro Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego.

– No jak to, do diabła? – zeźlił się Kayser. – Nic nie rozumiem! Profesora porwały duchy? Czy może sam ulotnił się jak duch?

Komisarz znowu potargał palcami za prawy bak.

– Nie ulega dla mnie kwestii, że ktoś uprowadził profesora – orzekł w końcu. – Zdaję sobie sprawę, że okoliczności zniknięcia Krygowskiego wyglądają zgoła idiotycznie, ale na pewno po spokojnej analizie da się odtworzyć prawidłowy przebieg wypadków.

– Okno? – Kayser łypnął okiem na Kaczmarka.

– Niemożliwe. To w końcu pierwsze piętro! Poza tym na gzymsie nie odkryliśmy żadnych śladów – zachnął się Kaczmarek. – Wygląda na to, że uchylił je sam profesor, w końcu wieczór był ciepły i duszny.

– Tak, to się trzyma kupy – mruknął Kayser. – Czyli porwali go korytarzem...

– No właśnie nie, panie podinspektorze! – zaproponował komisarz. – Gdyby szamotali się z profesorem na korytarzu, portier musiałby coś usłyszeć albo zobaczyć. Zresztą, o dwudziestej drugiej zamyka drzwi w holu Zamku na klucz i zaczyna obchód poszczególnych pięter. Porywacze musieliby mieć cholerne szczęście, przemykając się z walczącym profesorem po korytarzach Zamku.

– Chyba że rychło go obezwładnili – podsunął szybką hipotezę śledczą Kayser. – W końcu, profesor najprawdopodobniej oberwał czymś w głowę. Nawet jeśli nie stracił wtedy przytomności, mogli go uśpić jakimś mocnym środkiem. Na przykład eterem...

– Mimo wszystko wydaje mi się, szefie, że bandyci nie ryzykowaliby holowania ciała profesora przez zamkowe korytarze – wyraził wątpliwość Kaczmarek. – A co do eteru, pełna zgoda. Musieli jakoś spacyfikować naukowca. Z tego, co

widziałem na zdjęciach, profesor mimo słusznego wieku nie należy w końcu do ułomków.

Kayser zaczął ubijać tytoniem swoją nieodłączną fajkę z cybuchem w kolorze wiśni.

– Skoro nie przez okno i nie korytarzem, to jak go, do diabła, porwali? – zirytował się. – Przecież nie rozplynęli się z nim w powietrzu!

Kaczmarek wytrzymał twarde spojrzenie przełożonego.

– I tu jest właśnie pies pogrzebany – potwierdził. – Myślę, że trzeba się będzie odwołać do wiedzy tajemnej.

– Tajemnej? Czyś ty, Biniu, aby nie zwariował?

– Szef się nie martwi, wiem, co mówię. Trzeba się odwołać do tajnej wiedzy o Zamku.

Poznań, kamienica przy ulicy Focha[7] 54, około jedenastej

Wystrój mieszkania na drugim piętrze nie pozostawiał wątpliwości, do kogo należy to lokum. Jeśli nawet szeroki korytarz nie zdradzał jeszcze profesji pana domu, to już szczerze obstawiony regałami salon i imponująca, licząca kilkaset woluminów biblioteka mówiły o właścicielu wszystko. Profesor Zdzisław Krygowski zgromadził niebywałą kolekcję wydań dzieł matematyków z całego świata – i niechybnie z niej korzystał, o czym świadczył jeden z tomów, odłożony na stolik obok bujanego fotela.

– Mąż bardzo lubi w nim siadać i analizować różnorakie zagadnienia logiczne – szepnęła małżonka naukowca,

składając ręce jak do modlitwy.

Jej podkrążone oczy zaświadczały, że ostatnia noc była dla niej koszmarem. Kaczmarek zapamiętał, że żona profesora zgłosiła zaginięcie jeszcze przed północą. Jego uwagi nie uszło wszakże, że wypowiedziała się o małżonku w czasie teraźniejszym. To dobry znak – pomyślał. To znaczy, że nadal jest dobrej myśli.

– Rozumiem, fotel sprawia wrażenie wielce wygodnego – przytaknął grzecznie.

– Może usiądziemy na sofie, panie komisarzu? – W spojrzeniu i ruchach małżonki profesora Kaczmarek wyczuwał niepewność.

– Dziękuję, bardzo chętnie.

Wierzchem dłoni starł kroplę potu, która spłynęła niespodziewanie po jego skroni. Letni dzień stawał się coraz bardziej gorący, robiło się duszno. Zanosiło się na burzę.

– Szanowny panie komisarzu... – Pani domu niespodziewanie położyła drobną, zimną dłoń na ręce policjanta. – Przepraszam, jestem bardzo zdenerwowana... Proszę mi obiecać...

– Tak?

– Proszę mi obiecać, że znajdzie pan mojego męża całego i zdrowego...

Kaczmarek chrząknął lekko, jakby usłyszał coś, z czym trudno mu się było pogodzić.

– Szanowna pani profesorowo – uśmiechnął się możliwie ciepło, choć zdawał sobie sprawę, że wypadł sztywno – mogę pani obiecać jedno: zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Ja rozumiem, ale jednak... Pański szef mówił...

– Łaskawa pani! – Komisarz postanowił od początku grać w otwarte karty. – Dopóki nie znamy, że tak powiem, prawdziwego tła tego, co niedawno się wydarzyło, doprawdy



trudno nam zobowiązywać się do czegoś więcej ponad rzetelną pracę nad wyjaśnieniem zaistniałej sytuacji...

– Sądzi pan... – Oczy żony profesora zaszyły nagle mgłą wzruszenia. – Mój Boże, czy on... czy nie żyje?

– Skądże znowu! – zaprotestował gwałtownie Kaczmarek, ściskając impulsywnie chłodną dłoń kobiety. – Skądże znowu! Na razie wiemy tylko tyle, że zniknął. I dlatego staramy się ustalić, co tak naprawdę się wydarzyło.

– Więc... jest nadzieja?

– Szanowna pani, nadzieja jest zawsze.

Kobieta w szarej garsonce westchnęła głośno, ale bez ulgi. Powolnym ruchem wyciągnęła swoją dłoń z dłoni komisarza. Widać było, że walczy ze sobą, próbując pohamować emocje.

– Słucham pana, panie komisarzu – oświadczyła w końcu z godnością. – Na pewno ma pan wiele pytań.

– Dziękuję. – Kaczmarek postanowił szybko przejść do rzeczy. – Pani mąż do późnych godzin wieczornych zmagał się wczoraj z pewnym zadaniem matematycznym. To z tego powodu zabawił w swoim gabinecie nieco dłużej. Wiemy z absolutną pewnością, że nie opuścił Zamku głównym wyjściem. Próbujemy odtworzyć szczegóły tamtej sytuacji i zorientować się, w jaki sposób oddalił się z terenu uniwersytetu...

Rzeczowy wywód Kaczmarka brzmiał cokolwiek sztywno i nienaturalnie, komisarz postawił sobie wszakże za punkt honoru unikanie sformułowań typu „porwanie” czy „uprowadzenie siłą”. Za żadne skarby nie zamierzał się też przyznać do zauważonych w gabinecie profesora śladów krwi. Pouczył zresztą w tej materii z rana doktora Albina Szamotulskiego. „Nie szokujmy rodziny” – zaproponował.

– Nie rozumiem – zdziwiła się profesorowa, a jej twarz przybrała wyraz bezgranicznego zaskoczenia. – To Zdzisiu...

nie wyszedł w ogóle z Zamku?

Cisza, jaka zaległa na moment między nimi, pozwoliła przebić się do pokoju metalicznym dźwiękom hamulców bimby[8] linii numer 4, zatrzymującej się właśnie na przystanku przy skrzyżowaniu Focha z Wyspiańskiego.

– Można tak powiedzieć – przyznał grzecznie Kaczmarek. – Choć nie mamy żadnych dowodów ani relacji świadczących o tym, że opuścił swój gabinet, faktem pozostaje, że jednak w jakiś sposób z niego... wyszedł.

Komisarz rozumiał zdumienie swojej rozmówczynie. Trudno przecież było w logiczny sposób zaakceptować tę dziwną konstrukcję faktów.

– Czyli został uprowadzony – oceniła nadzwyczaj trzeźwo żona profesora.

Komisarz musiał przyznać, że jej mąż mógłby być z niej dumny.

– Ten aspekt sprawy jest ciągle przedmiotem naszej analizy, szanowna pani. – Kaczmarek szybko prześlizgnął się na inne tory. – Ja natomiast mam do pani zwyczajowe w tej sytuacji pytania...

– Słucham.

– Po pierwsze, łaskawa pani: czy profesor miał jakichś wrogów?

– Nic mi o nich nie wiadomo – szepnęła profesorowa Krygowska. – O kim pan myśli, panie komisarzu?

– No... nie wiem. Może popadł w jakieś kłopoty finansowe? A może w złe towarzystwo?

– Złe towarzystwo? Wykluczone! – żona profesora niemal prychnęła śmiechem. – Zdzisław obraca się wyłącznie wśród ludzi na pewnym poziomie. Intelktualnym, rzecz jasna. Nic mi nie wiadomo, by miał też jakieś kłopoty natury finansowej. A proszę mi wierzyć, wiedziałabym o nich pierwsza.

– Nie wątpię, szanowna pani. Nie wątpię. A rodzina?

– Tak?

– Czy w najbliższej rodzinie... nie zdarzył się ostatnimi czasy jakiś zatarg? Może jakieś nieprzyjemne, że tak powiem, nieporozumienie?

Kobieta po raz pierwszy spojrzała na Kaczmarka podejrzliwie.

– Nie wiem, o czym pan mówi, komisarzu – odpowiedziała chłodnym tonem. – Czy mógłby się pan wyrażać... hm, odrobinę precyzyjniej?

Kaczmarek poczuł, że poci się jak żak, przyłapany na kompletnym nieprzygotowaniu podczas egzaminu. Musiał sięgnąć po chustkę, by obetrzeć zroszone potem czoło.

– Pani wybaczy mój brak precyzji... Moja praca nader często polega jednak bardziej na pewnym sondowaniu, niż zadawaniu z góry przygotowanych pytań – usprawiedliwił się szybko. – Przypomina często poszukiwanie w ciemnościach czy we mgle...

– Zapewniam pana komisarza, że Zdzisiu ma niezwykle serdeczne relacje z rodziną i cieszy się również wielką sympatią najbliższych. Zarówno krewnych, jak i przyjaciół.

– Skoro tak, to... miło to słyszeć, szanowna pani. Naprawdę miło! – westchnął zrezygnowany Kaczmarek.

Aby nie zdradzić swojego rozczarowania, powiódł szybkim wzrokiem po grzbietach matematycznych ksiąg, prężących się w biblioteczkę profesora.

– Zawsze byłem słaby z rachunków – zdobył się na samokrytykę.

Profesorowa przyjrzała mu się po raz pierwszy z sympatią, pomieszana zapewne ze współczuciem.

– Cóż, nie każdy jest... – przytomnie nie dokończyła puenty.

To jednak wystarczyło, by komisarzowi zrobiło się smutno, by nie rzec: przykro.

– Będę wdzięczny za wszelkie sygnały w sprawie pani męża – powiedział cicho, wstając z sofy i wręczając gospodyni swoją wizytówkę z numerem telefonu.

Wychodząc z mieszkania zaginionego profesora, Kaczmarek odetchnął z ulgą.

– Cóż, nie każdy musi być... – zmodyfikował sens przykrojonej sentencji, którą dopiero co usłyszał.

[1] Sznytka (gwara poznańska) – kromka chleba.

[2] Eka (gwara pozn.) – banda, grupa.

[3] Szczun (gwara pozn.) – chłopak.

[4] Wybiłokno (gwara pozn.) – łobuz.

[5] *Sic transit gloria mundi* (łac.) – Tak przemija chwała tego świata.

[6] Tak samo nazywał się dwukrotny premier rządu RP, minister skarbu i autor reformy walutowej w 1924 r.

[7] Dziś ul. Głogowska.

[8] Bimba (gwara pozn.) – tramwaj.



## 2. Honor i tajemnica

W głowie szumiał mu wodospad Niagara.

Cios tępym narzędziem musiał być potężny, bo ciągle dzwoniło mu coś w uszach.

Był niemal pewny, że z tyłu głowy ma nie do końca jeszcze zakrzepłą ranę. Nie mógł jednak tego sprawdzić.

Choć odzyskał przytomność, ciągle był oszołomiony.

Dopiero kwadrans później do jego świadomości dotarło, że ma skrępowane ręce i nogi. Siedział przywiązany do twardego, archaicznego – wnioskując z nikłej wygody – fotela. W zupełnych ciemnościach, co przywodziło na myśl jakieś katakumby albo kamieniczne piwnice. W powietrzu czuć było zapach wilgoci i stęchlizny. A może po prostu starych ziemniaków?

Szum w głowie nie pozwalał mu się skupić, utrudniał nawet zwykły nasłuch. Nie, nie był w stanie rozeznaczyć, gdzie jest. Nie był też w stanie krzyczeć. Jego usta blokował bowiem potężny knebel.

Po co to wszystko? – zastanawiał się. Po co ta cała maskarada?

Gdzieś w tyle głowy rodziła się z wolna jedyna logiczna odpowiedź.

Była na tyle straszna, że natychmiast porzucił wszelkie rozmyślenia.

## W tym samym czasie w Poznaniu, w Starym Ratuszu, około dwunastej

Podinspektor Kayser nieźle się nagimnastykował, by wytłumaczyć prezydentowi Cyryłowi Ratajskiemu w jego ciemnym gabinecie na pierwszym piętrze, co właściwie stało się feralnego wieczoru dnia poprzedniego z profesorem Krygowskim. A przynajmniej co zaszło w jego gabinecie w Zamku zdaniem policyjnych śledczych – bo co do tego, czy wersja policyjna to pełny obraz sytuacji, sam miał poważne wątpliwości. Nie zdradzał się wszakże z nimi, kierując się dobrze rozumianą solidarnością zawodową i zaufaniem do działań swoich podwładnych.

Prezydent – siwy, krótko ostrzyżony, krępy mężczyzna z nadal ciemnym wąsem, słuchał jego tłumaczeń z pełnym przekorym spojrzeniem. Zbliżał się do sześćdziesiątki, niejedno już widział i teraz z widoczną niecierpliwością czekał na koniec relacji.

– Czyli, reasumując... – Ratajski nieco mechanicznym ruchem poprawił krawat pod szyją i zmarszczył siwe brwi. – Profesor Krygowski został najprawdopodobniej porwany przez nieznanych nam dotychczas sprawców, w równie nieznanym celu. Prawda?

Pod natarczywym spojrzeniem włodarza miasta szef Wydziału Śledczego komendy miejskiej poczuł się w jednej chwili o połowę mniejszy.

- Z grubsza rzecz biorąc - zgodził się, unikając wzroku Ratajskiego.

Spojrzenie policjanta błędziło teraz po ciemno malowanych ścianach, witrażowych szybach w oknach gabinetu, wreszcie po rzeźbionym kominku w stylu renesansowym, widocznym za plecami prezydenta.

- A wy nie wiecie jeszcze, jak do tego doszło? - Gospodarz pochylił się w fotelu z wysokim oparciem ku Kayserowi.

- Pracujemy nad tym, panie prezydencie.

- Czy aby nie za długo to trwa?

- Staramy się, zapewniam...

- Daruje pan! W ciągu pół dnia fachowcy z naszej policji nie potrafią odpowiedzieć na podstawowe pytanie: jak uprowadzono tego szanowanego obywatela?

Zygfryd Kayser pożałował nagle, że zareagował tak gwałtownie na telefoniczne wezwanie z magistratu. Zamiast od razu pobiec do ratusza, zrobiłby znacznie mądrzej, gdyby poczekał na powrót Kaczmarka. Gdyby tak właśnie - roztropnie - postąpił, jego podwładny wiłby się teraz w gabinecie Ratajskiego jak piskorz, szukając w miarę zgrabnej, czy może raczej honorowej formuły przyznania się do porażki. Niestety, w Kayserze górę wzięło po raz kolejny stare, pruski dryl, wyćwiczony jeszcze w czasach niemieckiej *Kriminalpolizei*. Skoro przełożony wzywa, cały świat przestaje się w jednej chwili liczyć. Każdy rzetelny podwładny natychmiast porzuca wszelkie inne obowiązki, by jak najszybciej stawić się przed obliczem szefa. W Warszawie być może dopuszczalną byłaby odpowiedź: „Będę w ciągu pół godziny”, w Poznaniu Kayser nie mógł - ba! nawet nie potrafił! - odezwać się do sekretarza prezydenta inaczej niż: „Już pędzę!”. A skoro tak, właśnie zbierał gorzkie żniwo swojej wyrywności, zwanej tutaj ładnie poczuciem honoru.



– Drogi panie podinssspektorze! – łagodny dotychczas ton głosu prezydenta przeszedł gwałtownie w fazę irytacji, sygnalizowanej sykiem przy ostatnim słowie. – Przyznam się panu, że miałem pana dotychczas za przyzwoitego i zdolnego człowieka! Pamiętam doskonale ten piękny wyczyn pańskiego podwładnego w Bazarze, kiedy to w ostatniej chwili uchronił od śmierci mistrza Alechina<sup>[9]</sup>. I do dziś go doceniam. Ale to już wspomnienia. Prawda, że miłe – i niech takie pozostaną. A tymczasem życie rzuca nam nowe wyzwania. I nowe zagadki. Groźba unikniętego wówczas dyshonoru dla miasta nie przemija przecież na zawsze. Właśnie dziś, na początku lipca 1931 roku, stajemy przed możliwością kompromitacji znacznie większej!

Kayser pobladł, nie do końca wszakże rozumiejąc, o czym mowa.

– A czy pan wie, panie Kayser, co wydarzy się w naszym mieście 4 lipca? – zadał ostateczny cios Ratajski, celując w chudą postać podinspektora oskarżycielsko wyciągniętym palcem wskazującym.

– Oczy... oczywiście. – Przebudzenie świadomości Kaysera było tyleż gwałtowne, co bolesne. – Będziemy... To znaczy, pan prezydent będzie odsłaniał...

– Ano właśnie, panie Zygfrydzie! Ano właśnie! – Fakt, że Ratajski przemawiał do policjanta po imieniu, dodawał tylko całej sytuacji dodatkowej grozy. – Będziemy odsłaniać w Poznaniu pomnik prezydenta Wilsona, ufundowany hojnie miastu przez samego mistrza Paderewskiego. A to oznacza, że oczy całego kraju, a zapewne także naszych przyjaciół w Stanach Zjednoczonych, zwrócone będą tego szczególnego dnia na nasze skromne miasto stołeczne. I cóż w ten piękny, radosny dzień zobaczą nasi szacowni goście? Na przykład prezydent Mościcki, którego przyjazd do Poznania jest więcej

niż pewny? Albo szanowna małżonka prezydenta Wilsona, również anonsowana? O czym przeczytają w naszej prasie? Owszem, zapewne także o nowym pomniku przy ulicy Focha. Ale nie tylko, panie podinspektorze. Nie tylko! Jestem więcej niż pewien, że ta niewątpliwie przykra sprawa lada chwila przeniknie do prasy i zrobi się z tego gruba afera. Kto wie, czy zresztą nie międzynarodowa! – perorował Ratajski. – Czy pan wie, kim jest zaginiony profesor? Czy zdaje pan sobie sprawę, że naukowiec z naszego uniwersytetu to matematyk o międzynarodowej renomie? Że szkoła profesora Krygowskiego słynie na całą Europę? Że jego studenci są dumą tego kraju? Czy to wszystko pan wie i rozumie? I czy pan to w ogóle czuje?

Z każdą chwilą podinspektor Kayser coraz bardziej uświadamiał sobie, co tak naprawdę wydarzyło się poprzedniego dnia w Zamku. I z każdą kolejną minutą popadał w coraz większy strach. Zrozumiał, że sprawa jest znacznie poważniejsza, niż dotychczas sądził. Nawet nie podejrzewał, jak potężnymi stratami wizerunkowymi groziła miastu w tak niezwykle ważnym momencie w jego historii... Nawet o tym nie pomyślał, biegnąc w służbowym odruchu przez plac Wolności i w dół ulicy Nowej<sup>[10]</sup>, obok witryn sklepowych na parterze Bazaru. Gdzie jest ten cholerny Kaczmarek, do licha?! – przemknęło mu przez głowę. Nie mógłby przyjść i podrzucić czegoś nowego? Choćby nawet jakąś duperekę, byle tylko zaspokoić oczekiwania pryncypała...

– Czy pan mnie w ogóle słucha, panie Kayser? Halo?! Czy pan przypadkiem nie zasnął z otwartymi oczami?

Szef śledczych wzdrygnął się i poderwał z krzesła.

– Tak jest! Wszystko zrozumiałem! – meldował w krótkich frazach, jakby żywcem zapożyczonych z czasów, gdy terminował jako sztyft u niemieckich oficerów z Prezydium

Policji. Z tą wszakże różnicą, że strzelał teraz zdaniem po polsku: – Rozumiem, co trzeba zrobić! Przyspieszmy nasze śledztwo! Natychmiast! Pan prezydent może być całkowicie spokojny...

Cyryl Ratajski podniósł się zza majestatycznego, lśniącego czystością, dębowego biurka i podszedł niespiesznie do wyprostowanego jak struna podinspektora. Milcząc, spojrzął mu raz jeszcze głęboko w oczy, a potem ominął policjanta i podszedł do uchylonego okna, by wyrzucić na bruk Starego Rynku.

– No... Niech pan już idzie czynić swoją powinność – cmoknął w końcu, jakby zniesmaczony stuporem, w jaki zdawał się przed chwilą wpaść Kayser.

Szef Zbigniewa Kaczmarka i kilkunastu innych oficerów śledczych skłonił się prezydentowi i wyszedł z jego gabinetu.

Dopiero na korytarzu, gdy owionął go chłodny przeciąg, Kayser dramatycznym ruchem rozpiął guzik od kołnierzyka i po raz pierwszy zaczerpnął głęboko świeżego powietrza.

Poczuł niewypowiedzianą ulgę, ale choć w zakamarkach swojej wyświechtanej marynarki znalazł szybko woreczek z tytoniem i fajkę, nie uspokoiło to bynajmniej jego skołatanych nerwów.

Doskonale wiedział, że stary nie odpuści.

W tym samym czasie w jednej z knajp  
przy ulicy Focha

Nic tak nie poprawiało komisarzowi Kaczmarkowi nastroju, jak dobrze podgrzana kaszanka z delikatnie wysmażoną cebulką i solidną plamą musztardy. Ten zgoła plebejski przysmak kojarzył mu się z dawnymi, biednymi czasami, gdy po śmierci ojca na froncie zachodnim wegetowali z matką w suterenie kamienicy przy Świętym Marcynie, żywiąc się tym, co dał im – zwykle niezbyt łaskawy – los. Kaszak<sup>[11]</sup> należał wtedy do dań najszlachetniejszych. Ta słabość do krwistego flaka pozostała już z Kaczmarkiem na stałe. I choć stać by go było na znacznie lepsze jedzenie, w trakcie służbowych obowiązków przynajmniej raz w tygodniu zahaczał o jakiś podrzędny bar, byle tylko przypomnieć sobie smak gorzkiego dzieciństwa. A może raczej szybkiego dorastania. Można powiedzieć, że hołdował własnej, sformułowanej niegdyś zasadzie: nie masz cwaniaka nad dobrego kaszaka! Konsekwentnie się jej trzymał. Zauważył zresztą, że niemal nabożne spożywanie tej prostej potrawy zwykle pozwalało mu uspokoić się i uporządkować myśli.

Porządkował je więc po raz kolejny w swojej bez mała dziesięcioletniej karierze policyjnej, grzebiąc widelcem w kaszy i szukając lśniących fragmentów cebuli. Potrzebował tej chwili namysłu. Sprawa przedstawiała się bowiem co najmniej dziwnie. Zniknął jeden z najwybitniejszych umysłów Uniwersytetu Poznańskiego, w okolicznościach przywodzących na myśl zgoła gangsterskie porachunki. Od kilku godzin Kaczmarek zachodził w głowę, jak porywaczom (że było ich kilku, nie miał żadnych wątpliwości) udało się dokonać tak zuchwałego czynu w sposób tak dla policji upokarzający. A jednocześnie tak bezczelnie nieczytelny. Co jest, do diabła? – zastanawiał się. Jak ci ludzie dostali się znienacka do gabinetu profesora na terenie strzeżonej uczelni? Chyba nie są przecież duchami i nie przenikają przez ściany?! A skoro nie,

to jak mogli wpaść do sali, zaskakując skupionego nad zadaniem matematyka?

Jeśli profesor rzeczywiście – tak jak opowiadał Szamotulski – potrafił podczas wysiłku umysłowego kompletnie odciąć się od bodźców zewnętrznych, zaatakowanie go zniemacka zdawało się zadaniem łatwym. Pod jednym wszakże warunkiem: że jakimś cudem napastnicy znaleźliby się zupełnie niepostrzeżenie za jego plecami... Cholera, przecież nie wpadli do gabinetu przez kratkę wentylacyjną! Okno też sprawdził: nie było szansy wejść przez nie z zewnątrz. Za wysoko, a przy tym byłby to czyn doskonale widoczny z chodnika na Świętym Marcynie... Coś w tym wszystkim śmierdziało, cuchnęło. Bez dwóch zdań.

Wydłubując z talerza ostatni kawałek spieczonej cebulki, zrozumiał, że rozstrzygnięcie, jak porywacze dostali się do gabinetu profesora, jest kwestią absolutnie kluczową. Dopóki tego nie rozwiąże, dopóty będzie dreptał w miejscu jak opiekun zakładu dla nerwowo chorych.

– Trzeba by poszukać jakiegoś dojścia... – westchnął nad nędznymi resztkami czarnego flaka.

Przez szybę witryny dostrzegł czarnego chevroleta z Prezydium Policji, podjeżdżającego pod lokal. Za kierownicą zauważył skupioną twarz szofera Zygmunta Rogali. Przyjechał dokładnie o 12.30, jak mu polecił, i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu grubej sylwetki swojego pryncypała.

Kaczmarek wstał od stolika, poprawił marynarkę, a potem fałdę swojej filcowej fedory, którą następnie nałożył z gracją na głowę i ruszył ku drzwiom.

Trzeba by poniuchać nieoficjalnie – przemknęło mu przez myśl.

Wiedział już, kogo musi znaleźć.

## W Prezydium Policji, około trzynastej

- Musisz natychmiast przyspieszyć!
- Kiedy robię, co mogę...
- Za wolno!
- Właśnie wracam od profesorowej...
- Świetnie! Tylko tyle?!
- Zaraz wszystko opowiem. Choć prawdę mówiąc...
- Biniu, do jasnej cholery!
- Niech szef da mi w końcu powiedzieć...
- A masz w ogóle o czym?!

Kaczmarek był przerażony. Jeszcze nigdy nie widział swojego przełożonego w tak przemożnej panice. Zawsze miał swojego szefa za sprytnego koniunkturalistę, nie spodziewał się bowiem, że jedna sprawa, choćby i bardziej skomplikowana, tak łatwo może wyprowadzić go z równowagi. Nie wiedział wszakże i tego, że podinspektor Kayser został w międzyczasie wezwany do samego Najwyższego i odpowiednio „podkręcony do działania”.

- A co się stało, szefie? - zapytał zupełnie zdroworozsądkowo.

- Jak to co? Byłem na dywaniku u Ratajskiego! Domaga się szybszych rezultatów! Rozumiesz? Szybszych! A ja nie mogłem mu nawet odpowiedzieć na pytanie, jak uprowadzono tego całego profesora! - eksplodował frustracją Kayser, odrzucając na biurko nieodłączną zwykle fajkę. - Ty wiesz, co to znaczy? W dodatku na karku mamy odsłonięcie pomnika Wilsona. Przypominam ci, że to już czwartego lipca! Stary jest

dosłownie zesrany, że porwanie tego matematyka zepsuje mu święto!

Podinspektor Kayser zazwyczaj wyrażał się bardziej kurtuazyjnie, a słów powszechnie uważanych za obelżywe używał niezwykle rzadko. Kaczmarek pojął, że Ratajski musiał brutalnie przeczłgać jego szefa.

– Ale jak? Pomnik Wilsona? Co ma piernik do wiatraka? – zapytał lekko zdezorientowany.

– Biniu, czy ty tego nie widzisz?! – wściekł się Kayser, co już samo w sobie było wydarzeniem niezwykłym w przypadku kogoś tak z angielska flegmatycznego w reakcjach, jak jego szef. – Grozi nam poruta![\[12\]](#) Po-ru-ta! Nam, policji państwowej, a konkretnie Wydziałowi Śledczemu! Niech no tylko temat przedostanie się do prasy...

– Przecież prasa jeszcze o niczym nie wie – mruknął Kaczmarek, choć bez przekonania.

– ...a będziemy skończeni, nie tylko zresztą w tym mieście – kontynuował Kayser, któremu drżały ręce, co nie uszło uwagi komisarza. – Musimy wreszcie ruszyć z miejsca, chwycić jakiś trop. Cokolwiek, Biniu. Coś, co pozwoli nam wreszcie chwycić za ster śledztwa!

Łatwo się mówi – pomyślał komisarz. Tyle to on wiedział nawet bez wizyty w ratuszu przed obliczem Ratajskiego.

– Zamierzam zrobić wywiad w półświatku – odezwał się spokojnie, by pokazać, że panuje nad sytuacją.

– Bardzo dobrze... – pochwalił go Kayser.

– Przejdę się dziś wieczorem po spelunach.

– Dobry pomysł. Tylko czasu mało.

– Spróbuję dotrzeć do niejakiego Majsla[\[13\]](#).

– Kogo?

– Majsla. Takiego starego specja od wszystkiego. Nie znam go z nazwiska, to jego ksywa. Nie słyszał pan o nim, szefie?

– Pierwsze słyszę – wzdrygnął ramionami Kayser. – A w czym on nam może pomóc, ten cały magik?

Kaczmarek uśmiechnął się mimowolnie.

– Ponoć zna Zamek jak własną kieszeń.

– Tak?! – zainteresował się szef Wydziału Śledczego. – O, to ciekawe! A niby skąd?

– Bo pracował przy jego budowie. Jako jeden z podwykonawców za czasów Wilusia.

– O! To jest właśnie to! – zapalił się Kayser, radośnie zacierając dłonie. – Dlaczego od razu na to nie wpadliśmy?

– Bo Majseł zaginął...

– O matko, on też? Kiedy?

– O, to długa historia. Ponoć ostatnimi laty mocno się stoczył. To znaczy, zaplątał się i zgubił kierunek. Dlatego muszę zrobić rundkę po knajpach. Mam nadzieję, że mimo wszystko go odnajdę.

– Zrób, Biniu, zrób! Byle szybko – przytaknął chętnie Kayser.

– Jak to mówią, czas to pieniądz...

I twoja posada – pomyślał Kaczmarek.

Poznań, ulica Szkolna 10, pół godziny później

Zanim wyruszył w trasę po najbardziej podejrzanych fyrtlach i lokalach śródmieścia, zahaczył o własne mieszkanie w kamienicy przy Szkolnej 10. Wspinając się schodami na drugie piętro, rozmyślał o trudnym losie urzędników państwowych średniego szczebla, takich jak on sam. Mieli zdecydowanie najgorzej – z jednej strony musieli bezpośrednio



zarządzać najmniej kompetentnym i karnym elementem ludzkim, z drugiej – znajdowali się pod stałą presją oczekiwań swoich szefów z wyższej półki. „Średniacy” znajdowali się między młotem a kowadłem, w każdej chwili spodziewając się uderzenia. I nijak nie mogli go uniknąć. Tak właśnie czuł się komisarz Zbigniew Kaczmarek po zaledwie połowie czwartku, spędzonego przecież niezwykle intensywnie. Myśl o wieczornych poszukiwaniach pogłębiała jego depresję, acz zdawał sobie sprawę, że to kwestia dla śledztwa kluczowa.

Lonia Kaczmarek miała w oczach jakiś błysk. Od razu go dojrzał. Zaprosiła męża do środka, jakby od dawna na niego czekała – a przecież nie zapowiadał się w domu prędzej niż o szesnastej.

– Zjesz schabowego z kapustą? Tak biednie wyglądasz... – Pomogła mu zdjąć marynarkę i wrzuciła jego kapelusz na półkę w przedpokoju.

Zdziwił się, węsząc w tym jakiś podstęp. I zaraz sobie przypomniał, że za dwa dni są imieniny Longiny. Ale to dopiero za dwa dni. Więc o co w tym wszystkim chodzi?

– Może bym i spucnął<sup>[14]</sup> tego schabowego – mruknął, żeby coś powiedzieć.

Skierował się do łazienki, by umyć dłonie. Usłyszał, jak Lonia krząta się ochoczo przy piecu, a chwilę później mieszkanie wypełnił smakowity zapach odsmażanego mięsa.

– Biniu! Gotowe! – Wołanie żony wywabiło go z łazienki.

Usiadł za stołem i w zamyśleniu przyglądał się, jak Lonia nakłada na talerz gorący kotlet i ozdabia go kępką kiszzonej kapusty z marchwią.

– Musztardy?

– Poproszę.

Na moment usiadła naprzeciwko niego, wpatrując się dziwnie rozmarzonymi oczami, jak z wolna konsumuje

posiłek. Nie odzywał się, sprawiał wrażenie przybitego, a mimo to wytrwała przy nim niemal do końca schabowego, przyglądając mu się w milczeniu.

Gdy na widelec nadział ostatni kawałek mięsa, wstała, uśmiechnęła się tajemniczo i delikatnie kręcąc biodrami, wyszła do salonu.

Mięso było smaczne, dobrze przyprawione. Odkładając talerz do zlewu, Kaczmarek poczuł się odrobinę lepiej. Może jeszcze wypiłby małą kawę...

Z pokoju dobiegły do jego uszu zalotnie brzmiące słowa:

– Biniuuuu... A chodź tu, proszę!

– A co niby, skarbie? – zapytał *pro forma*.

Doskonale wiedział, co zwiastuje ten miękki ton głosu jego ślubnej.

– Ach... Zamek w spódnicy mi się zaciął, nie mogę sobie poradzić...

Rzucił okiem na zegarek – i nagle się ucieszył. Do wieczora pozostało wszak jeszcze trochę czasu...

– Już lecę, kochanie! – Omal nie przewrócił się o własny papeć, pędząc korytarzem ku małżonce.

W tej jednej, jakże ulotnej chwili jego pogląd na życie „średniaków” zmienił się diametralnie.

## Poznań, w Prezydium Policji, mniej więcej w tym samym czasie

Dwaj niespodziewani przybysze w lekkich prochowcach i kapeluszach wprowadzili podinspektora Zygryda Kaysera

w stan niemałej konsternacji. Zjawili się zupełnie niezapowiedziani kwadrans przed piętnastą w komendzie i legitymując się tajemniczymi dokumentami, które zobaczył tylko urzędujący w służbówce posterunkowy Schuppke – w dodatku w „przelocie” – zażądali natychmiastowego widzenia z szefem Wydziału Śledczego. Chcieli zresztą iść do samego komendanta, ale Schuppke był na tyle przytomny, by uświadomić im, że szef komendy wyjechał z wizytacją komisariatów na Wildzie.

– No to gut – orzekł z niemiecka wyższy z przybyszów, masywny i zdecydowanie silniejszy, zaczesany na bok, siwiejący trzydziestoparolatek. – Prowadź nas zatem do szefa śledczych.

Schuppke, który z podsuniętych mu pod nos legitymacji zapamiętał tylko dziwny kolor ich okładek i nazwisko Ciężki – należące właśnie do zwalistego mężczyzny – był tak zaaferowany, że nie śmiał nawet oponować. Poprowadził więc posłusznie przybyszów na piętro, do gabinetu zaskoczonego Kaisera.

Gdy goście zostali sami, okazało się, że szefa śledczych odwiedzili występujący w cywilu oficerowie Wojska Polskiego.

– Kapitan Maksymilian Ciężki – przedstawił się wyższy z nich. – A to jest inżynier Antoni Palluth, mój najlepszy przyjaciel i jednocześnie główny udziałowiec firmy radiotechnicznej AVA...

– AVA? Pierwsze słyszę – zachłysnął się dymem z fajki Kayser.

– Niemożliwe! – zachnął się Ciężki. – Na pewno słyszał pan o braciach Ludomirze i Stanisławie Danilewiczach.

– No, tak... – przytaknął szef śledczych, choć bez przekonania.

– Więc jednak słyszał pan też o AVA! – ucieszył się Ciężki.

– Podinspektor Zygfryd Kayser – gospodarz poczuł się w obowiązku dopełnić formalności. – Proszę usiąść. Ale, szanowni panowie... Czemu zawdzięczam tę nagłą wizytę? Czy chodzi o jakieś sprawy związane z radiotechniką?

– Poniekąd – mruknął cicho Ciężki. – Jesteśmy tu jednak absolutnie *incognito*.

Zamilkł, by okazać się Kayserowi legitymacją służbową. Na zdjęciu do niej przytwierdzonym Ciężki występował w mundurze. U dołu dokumentu Kayser zdołał odczytać nadruk: „Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego”.

Wywiad! – przemknęło mu przez głowę. A to ci dopiero afera!

– Wszystko jasne – rzucił spokojnym tonem do Ciężkiego i Pallutha. – Panowie, czego zatem oczekujecie od policji państwowej?

– Przede wszystkim działania, panie podinspektorze! – Ton głosu kapitana zmienił się nagle na mocno nieprzyjemny. – Ale na początek żądamy informacji: co udało się wam ustalić na temat zniknięcia profesora Krygowskiego?

## Poznań, na Starym Mieście, piętnasta z minutami

Lonia przeciągnęła się jak kocica, prezentując zgrabne, nagie plecy. A potem wtuliła się w Binia, jakby szukając u niego schronienia.

– Myślisz, że tym razem się uda? – zagadnęła z pomrukiem.

– No, jak nie teraz, to już naprawdę nie wiem kiedy! – westchnął Kaczmarek, udatnie markując skrajne zmęczenie.

– A może by tak... – napomknęła Longina i zachichotała, wcale nie niewinnie.

– Loniu, na miłość boską! – sapnął nieco zbyt teatralnie jej mąż. – Przede mną ciężki wieczór, muszę rozsądnie gospodarować siłami...

Dziecko! Od dawna było ich marzeniem, ale powoli stawało się też obsesją. Zwłaszcza Longiny Kaczmarek z domu Klupś, od czterech lat stanowiącej małżeńską parę ze Zbigniewem. Żona komisarza uważała, że jest w tym jakaś niesprawiedliwość: jej dwie serdeczne przyjaciółki, które wyszły za mąż w podobnym okresie, dawno już doczekały się rumianych dowodów miłości – a jej los ciągle szczydził tej radości. Doprawdy trudno było to pojąć i zaakceptować. Tym bardziej że Loni przecież niczego nie brakowało – mało tego, prezentowała się o niebo atrakcyjniej niż koleżanki. Potwierdzały to nawet ukradkowe spojrzenia, rzucane w jej stronę przez ich mężów w momentach towarzyskich spotkań. Biniu zresztą również zdawał się okazem zdrowia i męskiej tężyzny...

– Ejże, na pewno masz jeszcze sporo siły – zachęcała Lonia, gramoląc się apetycznie na męża.

I pewnie znowu usidliłaby Zbigniewa, gdyby w tym właśnie momencie radosnej ciszy ich małżeńskiego pożycia nie rozdarł techniczny cud XX wieku. Telefon rozdzwonił się jak wściekły, powodując u Kaczmarka służbowy odruch. Zerwał się na równe nogi, zrzucając Lonię na poduszki, i podbiegł – jak go pan Bóg stworzył – do aparatu.

– Pan komisarz? – Głos Borowczaka po drugiej stronie był jakiś inny, nie wiedzieć czemu wystraszony.

– A niby kto? Przecież nie Pius XI!

– Jak dobrze, że pana słyszę... – Słowa starszego przodownika nagle nabrały miękkości.

- No?! Co tam, do cholery?!
  - Awantura straszna w komendzie, panie komisarzu...
  - Znowu?
  - Przyjechali jacyś oficerowie. Robią taką drakę o tego zaginionego profesorka, że strach!
  - Oficerowie? Nasi czy wojsko?
  - Chyba wojsko.
  - Chyba?!
  - Diabli ich wiedzą, przyjechali w cywilu...
  - Fiu, fiu! – wyrwało się z ust Kaczmarkowi.
- W jednej chwili zrozumiał, ile go ominęło. Wcale tego nie żałował, o nie! Chwile spędzone z Lonią liczyły się dla niego potrójnie. Z drugiej jednak strony nagła wizyta tajniaków mocno go zaintrygowała.
- I dlatego pan podinspektor Kayser kazał przekazać... – ciągnął Borowczak.
  - Wszystko jasne. Będę u was za kwadrans.
- Wracając po garderobę, komisarz obrzucił tęsknym wzrokiem zgrabną łydkę Loni wystającą spod pościeli.
- Upolujesz mnie, jak wrócisz – zaśmiała się spod poduszki jego żona. – Będziesz miał motywację, by szybko zjawić się w domu.

## Poznań, znowu w Prezydium Policji, około piętnastej trzydzieści

Podinspektor Kayser był czerwony na twarzy jak rozżarzony tygiel. Albo jakby mu ktoś przyłożył oficerską rękawiczką.

– Panie kapitanie, przypominam panu, że jestem tu wyższy stopniem i domagam się poszanowania! – ryknął w skrajnej złości, w jakiej go jeszcze Kaczmarek nie widział.

– Pamiętam o tym, panie podinspektorze. – Ciężki dla kontrastu wypowiadał się bez emocjonalnego zaangażowania, co prawdopodobnie dodatkowo nakręcało Zygfrieda Kaysera. – Tym bardziej zwracam uwagę, że prosi panów o pomoc tajny organ Rzeczypospolitej Polskiej. „Dwójce” się nie odmawia!

– Chcecie wiedzy, a sami nic nie wyjaśnacie – sarknął Kayser. – A niby dlaczego mamy z wami współpracować? Bo pokazaliście nam legitymacje służbowe? Mamy na gwałt szukać profesora, ale ani słowem nie zamierzacie nam wyjaśnić, dlaczego jest on dla was taki ważny?

Milczący dotychczas towarzysz Ciężkiego – elegancik z muszką pod kołnierzykiem – wywrócił do góry oczami, poprawiając dłonią swoją misternie zaczesaną grzywkę. Wyglądał niemal na rówieśnika kapitana, a w jego zachowaniu – mimo niskiego stopnia sierżanta – znać było ograniczoną służbową podległość.

– Maks, coś im chyba możemy powiedzieć? – zagadnął do towarzysza.

Kapitan Ciężki głośno westchnął.

– No dobrze, może rzeczywiście... – zgodził się w końcu. – Otóż... Profesor Zdzisław Krygowski jest osobą niezwykle ważną dla obrony kraju. Tyle mogę wyjawić, mając wszakże nadzieję, że i ta wiedza pozostanie wyłącznie między nami.

Siedzący obok Kaysera komisarz Kaczmarek miał doskonałą okazję, by móc przyjrzeć się, jak z twarzy jego szefa odpływa krew.

– W dodatku macie nas za idiotów! – wypalił podinspektor, z pasją trzaskając swoją ukochaną fajką o blat stołu. – Macie, panowie, tupet! Nie ma co! Czy naprawdę sądziliście, że wasze

przybycie tutaj nie wzbudzi w naszych umysłach tej najprostszej refleksji?

– Przykro mi, więcej oficjalnie powiedzieć nie mogę.

– A nieoficjalnie? – wydusił z siebie Kaczmarek.

– Nieoficjalnie też nie. Zresztą, nie jestem absolutnie przekonany, czy muszę w ogóle tłumaczyć się z naszych żądań. – Ton głosu Ciężkiego znowu się usztywnił. – Pofatygowałem się do panów, bo zaginięcie profesora, tak to póki co nazwijmy, nosi wszelkie cechy wrogiej akcji, podjętej w związku z... że tak powiem, zasługami Krygowskiego dla Rzeczypospolitej.

– Zasługami? – podchwycił natychmiast Kayser.

– Tak. Zasługami.

– Jakimi zasługami, na miłość boską?

– Przykro mi. Nie zostałem upoważniony, by powiedzieć coś więcej na ten temat. Tajemnica państwowa!

## Nadal w Prezydium Policji, chwilę później

Cisza, jaka zapadła w gabinecie szefa Wydziału Śledczego, miała w sobie potężny ładunek dramatyczny. Bez dwóch zdań była to cisza przed kolejną burzą. Pierwszy cisnął nową błyskawicą Zygfryd Kayser.

– Czyli, panowie, proponujecie nam taki oto nierówny układ: wy gadajcie, co wiecie, i zasuwaszcie ze śledztwem, aż miło, a my wam nic pomóc nie możemy, bo „tajemnica państwowa”?! – Wściekł się po raz kolejny.



– Nie powiedziałem, że nie pomożemy – zaprotestował opanowanym głosem Ciężki. – Stwierdziłem jedynie, że nie możemy podać powodów, dla których interesujemy się tym wydarzeniem natury kryminalnej. A może niekoniecznie kryminalnej...

– A jakiej? Obyczajowej? A może kulturalnej? Panowie, bądźmy poważni! – Podinspektor Kayser nadludzkim wysiłkiem powściągnął emocje. – Wizyta panów w naszych skromnych progach niezbitnie dowodzi jednego: zaginiony pozostawał w wiadomych relacjach z naszym wywiadem, oddając mu, jak miemam, cenne usługi. Choć wzbraniacie się, panowie, jak tylko możecie, by to przyznać, jest to dla mnie takie oczywiste, jak, za przeproszeniem, zimna anyżówka w „Esplanadzie” po drugiej stronie ulicy!

– Bez komentarza – rzucił pospiesznie Ciężki, wymieniając szybkie spojrzenia z Palluthem.

– Właśnie, bez komentarza – syknął Kayser.

Złość z wolna z niego uchodziła, ale pozostała zawodowa gorycz. Słyszał wiele o nadętym ego oficerów wywiadu, o ich poczuciu wyższości. Nie spodziewał się jednak, że przyjdzie mu skonfrontować te plotki z rzeczywistością tak szybko.

Nieoczekiwanie inicjatywę przejął Kaczmarek.

– Panowie! Myślę, że w gruncie rzeczy pozostajemy sojusznikami – zauważył trzeźwo komisarz. – I my, i wy jedziemy w tym momencie na tym samym wózku. I nam, i wam zależy, by jak najszybciej sprawę rozwikłać i odzyskać profesora. – zawahał się – w dobrej formie.

– Prawda – przytaknął mu niespodziewanie asystent Ciężkiego.

– Zależy też na tym władzom miasta. A skoro tak, powinniśmy unikać spraw, które nas dzielą, a szukać wspólnego mianownika.

– Mówi pan jak rasowy matematyk – pochwalił Kaczmarka kapitan Ciężki.

– Nie sądzę, panie kapitanie. Z rachunków byłem kiepski.

– A już na pewno jak prawdziwy polityk.

– Boże broń! – wzdrygnął się komisarz.

Kayser obserwował swojego podwładnego jak dowódca, który na polu bitwy przygląda się zdradzie swojego najwierniejszego dotąd żołnierza. Jego twarz wykrzywiła się z niesmakiem.

– Biniu, do cholery! Miej swój honor!

Kaczmarek spojrzał na szefa z wyrozumiałością.

– W sytuacji, którą mamy, nie możemy iść na udry – odpowiedział spokojnie. – Jeśli szef chce udobruchać Ratajskiego, nie mamy wyjścia. A przynajmniej ja nie mam...

Kayser skinął głową na znak, że zrozumiał aluzję. W końcu to Kaczmarek miał być w tym śledztwie jego najważniejszym człowiekiem. A każdy policjant wie, że gdy brak punktu zaczepienia, liczy się każdy trop. Choćby brzmiał najbardziej głupio czy niedorzecznie.

Kaczmarek poczuł się pewniej.

– Panie kapitanie – zwrócił się do Ciężkiego. – Rozumiem, że wiąże pana tajemnica służby. Zanim jednak przekażę panu podstawowe informacje dotyczące prawdopodobnego porwania profesora Krygowskiego, muszę dowiedzieć się od pana, dlaczego osoba uprowadzona jest dla was tak cenna. I wy, i my pracujemy dla dobra Rzeczypospolitej. I my, i wy zrobimy wszystko, by wyjaśnić tę sprawę i uratować zaginionego. Jak mniemam, znajduję się wśród dżentelmenów. A dżentelmeni nie mają przed sobą tajemnic. Zwłaszcza w takiej sytuacji...

Kapitan Ciężki i sierżant Palluth wymienili ciężkie spojrzenia. Widać było, że przemowa Kaczmarka jest im mocno nie w smak. A jednak poczuli się zapewne w obowiązku coś od siebie dodać.

– No cóż... – chrząknął nieprzekonany. – Jak już ogólnie wspomniałem, profesor Krygowski, były dziekan Wydziału Filozoficznego naszego uniwersytetu to osoba zasłużona dla Oddziału II Sztabu Generalnego. Z racji swojego wykształcenia... hm... wziął swego czasu udział w pewnym tajnym projekcie...

– Jakim? – postawił twardo pytanie Kaczmarek.

Wywiadowcy znowu wymienili szybkie spojrzenia.

– Najogólniej rzecz biorąc... – zawahał się Ciężki. – Chodziło o pozyskanie dla naszych potrzeb najbardziej utalentowanych studentów matematyki. Dla potrzeb naszej jednostki dekryptażu – dodał pospiesznie, po czym zamilkł, jakby właśnie w tym momencie zdał sobie sprawę, że przekroczył już swoje uprawnienia.

– Kiedy to było, panie kapitanie?

Ciężki podrapał się w głowę, zwlekając z odpowiedzią.

– Kilka lat temu – odparł wymijająco. – Nie sędzę, by akurat ta informacja była panom potrzebna...

– Oby miał pan rację – odezwał się znowu Kayser. Tym razem jego głos nie zabrzmiał już tak nerwowo jak poprzednio. – W sprawach takich jak ta liczy się każdy szczegół. Każda informacja.

– Pozostanę przy swojej opinii, panie podinspektorze – zaoponował wojskowy.

– Ma pan prawo – mruknął niechętnie Kaczmarek. – Jak rozumiem, rozmawiamy o tajnym projekcie na kierunku niemieckim?

Ciężki pokręcił niezadowolony głową.

– Pan to jest z tych, którzy jak dostaną palec, to ciągną zaraz za całą rękę! – zirytował się bodaj po raz pierwszy.

– Pana odpowiedź też jest odpowiedzią – zauważył przytomnie Kaczmarek.

– Niczego nie powiedziałem – zastrzegł się natychmiast Ciężki.

– Tak, tak. Oczywiście! – przytaknął Kaczmarek, puszczając dyskretnie oko do markotnego ciągle Kaysera. – No i jaki był finał tego... projektu?

– Pozytywny – uciał dyskusję kapitan.

– Na tyle pozytywny, że strona niemiecka, ups... pardon, że wróg mógł być zainteresowany zaszkodzeniem Krygowskiemu? – dotarł do końca Kaczmarek.

W oczach Kaysera dostrzegł iskierkę czegoś na kształt zachwyty.

Ciężki nie wiedział, co odpowiedzieć. Toczył wewnątrz jakąś potworną walkę z samym sobą, a może raczej z wymogami formacji, której służył. Jego dotychczas nienagannie blada twarz niespodziewanie nabiegła krwią, a oddech uległ przyspieszeniu. Nerwowym ruchem dłoni poluzował uścisk krawata.

– Panie komisarzu, dość tej zabawy – powiedział zdecydowanym tonem do Kaczmarka. – Mam wrażenie, że i tak przekazałem panom wiedzę obszerniejszą, niż miałem prawo. Trudno, jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje. Tak czy owak, nic więcej powiedzieć nie mogę i nie zamierzam...

Mądrej głowie dość dwie słowie – przemknęło przez czerep Kaczmarka. Musiał uszanować opory Ciężkiego. I tak udało mu się z niego sporo wydobyć. W zasadzie rozumiał teraz, dlaczego nagłe zniknięcie profesora w tak bardzo podejrzanych okolicznościach postawiło na nogi wywiad wojskowy. Nie znał wprawdzie szczegółów, ale i bez nich zdawał sobie sprawę, że sprawa jest poważna.

– A teraz poproszę wreszcie o informacje śledcze dotyczące waszego postępowania. – Kapitan Ciężki westchnął

z wyrzutem. – W końcu jako policja państwowa jesteście nam winni wszelką pomoc. Zwłaszcza na tak strategicznym odcinku.

Kaczmarek uśmiechnął się cierpko do Kaysera, a ten przytaknął skinieniem głowy. Obaj doskonale wiedzieli, o jaki strategiczny kierunek chodzi. W zasadzie osiągnęli swoje.

– Na początek musicie panowie wiedzieć, że profesor nie opuścił swojego gabinetu dobrowolnie – zaczął relację Kaczmarek. – W pomieszczeniu nie było wprawdzie jednoznacznych śladów walki, ale mamy podstawy, by sądzić, że został ogłuszony...

## Poznań, restauracja Esplanada, kwadrans po szesnastej

– Ależ ich, Biniu, wykiwałeś! – Zygfryd Kayser wprost nie mógł wyjść z podziwu, stukając się kieliszkiem ze swoim podwładnym.

Lodowata anyżówka oszroniła dwie pięćdziesiątki, ale tylko na moment – zaraz potem rozgrzała gardła śledczych z komendy położonej po drugiej stronie ulicy.

– Uuuuuuch! – odreagował trudy dnia podinspektor Kayser.  
– Naprawdę, Zbigniewie, przeszedłeś sam siebie.

– Ech, nic takiego. – Kaczmarek wzruszył skromnie ramionami. – Po prostu wykorzystałem stary trik, szefie.

– Trik? Jaki trik?

– Stare, sprawdzone zagranie. Pan się nieco uniósł i zdenerwował, więc sam się pan niejako mianował tym „złym

policjantem”. Mnie pozostało przekonująco zagrać „dobrego”. Udało się, nabrali się na to nawet dwaj oficerowie wywiadu. A niby takie z nich bystrzaki...

– No, no, Biniu! Niezły z ciebie as, nie ma co! To jeszcze na drugą nóżkę. – Kayser nalał ponownie ognistego płynu do kieliszków i wychylił swoją dawkę duszkiem. – Aaach, jakie to szczęście, że właśnie dzisiaj przywieźli nową dostawę tej ambrozji! No, ale słuchaj, panie kolego... Teraz, kiedy znamy kulisy owej dziwnej historii, trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Kaczmarek wiedział, do czego zmierza Kayser.

– Gdyby nie telefon od Borowczaka, już byłbym w „Katakumbach” albo „Pod Niedźwiadkiem” – usprawiedliwił się natychmiast. – Ale nic straconego, szefie. Może to nawet lepiej, że ten rekonesans zrobię wieczorem. Większa szansa trafienia na ślad Majsla.

– Kogo?

– Majsla. Mówiłem już szefowi. To inżynier, który pracował niegdyś w Zamku.

– A tak, mówiłeś... Myślisz, że go znajdziesz?

– Spróbuję. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Trzymam za ciebie kciuki, Kaczmarek. Może wypijmy na szczęście...

– Może jednak już nie, panie podinspektorze. Muszę być na chodzie.

– Skoro rezygnujesz... – Kayser chętnie nalał sobie pięćdziesiątkę po raz trzeci. – Cholera jasna, ileż mnie kosztowała ta wizyta! No, na zdrowie, chłopcze!

– Na zdrowie – Kaczmarek uśmiechnął się, pozostawiając szefa samego przy stoliku.

Miał tylko nadzieję, że Kayser nie zaleje się w trupa. I że nie zniknie z „Esplanady” w równie tajemniczych okolicznościach, co Krygowski z Zamku.

[9] Mowa o śledztwie komisarza Kaczmarka z 1928 r., przedstawionym w powieści *Arcymistrz*.

[10] Dziś ul. Paderewskiego.

[11] Kaszak (gwara pozn.) – kaszanka.

[12] Poruta (gwara pozn.) – wstyd, kompromitacja.

[13] Majseł (gwara pozn.) – przecinak.

[14] Spucnąć (gwara pozn.) – zjeść szybko, ze smakiem.





### 3.

## Voilà! Czyli niespodzianka

Przyszli do niego późno. Było ich dwóch. Wydawali polecenia krótkimi frazami.

Zdażył się już zdrzemnąć i teraz, rozespany, zdrętwiały i nadal nic niewidzący, nie potrafił się zorientować, czy to południe, popołudnie czy może wieczór. Opaska na oczach uniemożliwiała mu rzecz nawet tak banalną, jak ocenę ilości światła w zatęchłym pomieszczeniu. Nie szarpał się, jak robiłby to zapewne na jego miejscu związany młody człowiek. Miał swoje lata i doskonale wiedział, że to nic nie da.

– Zupa – usłyszał ochryply głos.

– Będziemy cię karmić – dodał drugi z mężczyzn.

Zaraz potem dłonie jednego z bandytów zaczęły operować przy mocno już zwilgotniałym kneblu.

– Tylko nie próbuj wrzasków! – To był bardziej rozkaz niż propozycja. – Jak będziesz rozrabiał, nici z posiłku.

Skinął głową na znak, że rozumie. W nagrodę kilka sekund później wreszcie solidnie zaciągnął się piwnicznym powietrzem.

– Panowie... – wysapał cicho. – Nie wiem, o co...

– Zamknij się! – Polecenie nie pozostawiało marginesu na jakąkolwiek dyskusję.

Był głodny, więc chwilowo porzucił zamiar rozmowy z ludźmi, którzy go uprowadzili. Pozwolił się powoli karmić

łyżką przystawianą mu do ust. Zupa była letnia, prawie już wystygła. Smakowała jak grochówka, choć słabo doprawiona. Jadł ją skwapliwie, nie protestując. Zdawał sobie sprawę, że musi mieć siły na przyszłość.

Karmili go w milczeniu, ledwie słyszał ich powolne oddechy. Od jednego z nich ciągnęło jakimś tytoniem, ale nie znał się na tych wyrobach. Usiłował sobie ich wyobrazić, ale poza kilkoma dźwiękami, które dały mu nikłe wyobrażenie o ich tuszy, nie wiedział o porywaczach nic więcej.

Gdy zorientował się, że przełknął właśnie ostatnią porcję strawy, spróbował ponownie.

– Panowie, zaszło chyba jakieś nieporozumienie – powiedział, siłąc się na spokojny ton. – Wydaje mi się, że to nie mnie zamierzaliście...

– Stul pysk, dziadku! – odpowiedź nie pozostawiała żadnych złudzeń. – Masz tu siedzieć cicho tyle, ile będzie trzeba!

Chwilę później knebel powędrował na swoje dotychczasowe miejsce. Skrępowane dłonie i nogi więźnia nie doczekały się wytchnienia. Ciemny świat wokół niego zapadł się znowu w kompletnej głuszy.

Poznań, w śródmieściu, ulica Wielka 2/3, około  
dwudziestej

Mimo wczesnej pory lokal tonął w chmurach papierosowego dymu i zalaływał smrodem spoconych ciał. Opary taniej wódki i skisłego piwa rywalizowały z kiepskimi perfumami, które wylały na swoje odsłonięte szyje i dekolty mocno przechodzone

kokoty siedzące wzdłuż baru. Kilku amantów uwieszało się ich kibici, namawiając do małego „figo-fago” na stronie. Zdaje się, że trwały w tej kwestii zacięte negocjacje cenowe. Kaczmarek doskonale zdawał sobie sprawę, że niejakiego Majsla nie ma sensu poszukiwać w wytwornych lokalach typu Paladise de dance, Trocadero na placu Nowomiejskim<sup>[15]</sup> czy nawet w Moulin Rouge przy zawsze niespokojnej ulicy Kantaka. Nie, wykolejonego inżyniera z pewnością nie stać było na te ekskluzywne jak na poznańskie warunki knajpy. Zdecydowanie większe szanse odnalezienia zapijaczonego fachowca dawała wyprawa szlakiem sprawdzonych mordowni, takich jak choćby „Pod Niedźwiadkiem” na placu Sapieżyńskim 11 albo „Rydz” przy Piekarach 19. W niczym nie ustępował im zresztą „Solny” przy Szewskiej 9.

Dlatego też komisarz zabrał się do rzeczy fachowo, odwiedzając najpierw ten ostatni przybytek. Nie zabawił tam jednak długo, bo o mały włos nie rozpoznał go niejaki Badejski, młodociana prostytutka, którego wczesną wiosną Kaczmarek zamknął na miesiąc kozy za narzucanie się klientom staromiejskich lokali. Opuścił knajpę bez większego żalu, bo klienteli było w niej tyle co kot napłakał. A już z całą pewnością wśród gości nie dostrzegł wymizerowanej sylwetki Majsla. Ostatnim razem widział go ze trzy lata temu i nie spodziewał się, by ów spec od wszystkiego zmienił się nagle nie do poznania.

Z Szewskiej miał blisko na Wielką, do cieszących się niezmiennie złą sławą, a przez to niesłychanie popularnych „Katakumb”. Wchodziło się tam, schodząc po schodkach, bo lokal położony był poniżej poziomu ulicy. W pierwszej części na klientów czekał niezłe zaopatrzone bufet. W drugiej – co było tajemnicą poliszynele – zwanej szumnie „apartamentem”,

mieściły się zasłaniane kotarami separatki dla amatorów płatnej miłości.

Na efektowne westchnienia z za przepierzenia pora była jeszcze zbyt wczesna, nic więc dziwnego, że komisarz nie usłyszał nic specjalnie ekscytującego – może poza pijacką zaśpiewką jakiegoś żula, który usadowił się w kącie lokalu i piał jak najęty o przewagach Warciarzy nad Hajdukami Wielkimi<sup>[16]</sup>. Reszta towarzystwa, siedząca z prostytutkami przy barze, miała go serdecznie w nosie.

Kaczmarek przysiadł się do jedyne go wolnego stolika i rozejrzał się szybko w sytuacji.

Wśród coraz liczniejszej klienteli uwijał się jak w ukropie Franciszek Podolski, łysy właściciel knajpy. Ten sprytny, tęgi mężczyzna nosił w kieszeni spodni butelkę z wódką i gdy tylko było trzeba ochoczo polewał z niej bywalcom. Kaczmarek wiedział, że „Katakumby” nie mają koncesji na wyszynk alkoholu, tym razem jednak przymknął oko na to jawne obejście prawa. Był tu wszak *incognito*, przebrany w stare wytarte spodnie i lekką kurtkę, która miała upodobnić go do wielkomiejskiego robotnika. Dwudniowy zarost dodatkowo uwiarygodniał komisarza.

– Czego się napijemy? – Podolski stanął przed Kaczmarkiem, wydobywając nagle nie wiedzieć skąd literatkę z grubego szkła.

– Co lokal ma najlepszego.

– A wódeczka Baczewski to dobry sort?

– Wyśmienity. We Lwowie nie mają nic cenniejszego.

– Służę szanownemu panu. – Podolski skłonił się z nieco fałszywym uśmiechem, by następnie wydobyć z kieszeni obłą butelkę i nalać z niej do szklanki Kaczmarka. – Czy my się już z szanownym panem aby nie znamy? Twarz pańska wydaje mi się skądś znajoma...

– Niemożliwe, proszę pana. W Poznaniu jestem od niedawna. Pracy na stałe szukam. Może miałby pan coś...

– Ciężka sprawa – uciął wątek właściciel lokalu. – Z robotą kiepsko. Za to z dziewczynkami całkiem, całkiem... – Wskazał ruchem głowy w stronę kokot przy barze. – Może szanowny pan rozerwać się chciałby? Niedrogo biorą, a wybór, że głowa boli... Albo cycastle, albo chude w biodrach. Mam też taką skromną, w sam raz dla szanownego pana. Wszystkie zdrowe, jak baranki Boże. To jak, reflektuje pan szanowny?

Kaczmarek wychylił wódkę i wystawił literatkę w stronę życzliwego stręczyciela.

– Polej pan jeszcze, to się zastanowię.

– O, to lubię! Widać, że szanowny pan charakter ma niczego sobie – rozochocił się Podolski, nalewając lekko drżącą dłonią alkohol. – Tylko niech się pan szybko zastanawia, bo im dalej w noc, tym wybór gorszy. Od serca radzę...

Rwetes gdzieś przy wejściu znamionował nadciągającą awanturę. Podolski poderwał swój okazały brzuch i ruszył w stronę drzwi do knajpy. Szeroki w barach osiłek mocował się w nich z nieznacznie tylko niższym mężczyzną, który koniecznie chciał przekroczyć próg speluny.

Oczy wszystkich obecnych skierowały się na szamoczącą się parę.

– Kazimierski, za drzwi z nim! – ryknął z sali Podolski spieszący swojemu wykidajle z pomocą. – Mówiłem już temu gnojowi, że więcej tu nie wejdzie!

– Się robi, szefie!

Teraz! – pomyślał Kaczmarek, gdy burda w drzwiach nabrała kolorów.

Kilka sekund później był już w „apartamencie”.

## Poznań, w tym samym czasie, hotel Monopol przy placu Gwarnym

Wokół kilkunastu postawnych, świetnie zbudowanych mężczyzn w eleganckich marynarkach dyskutujących zawzięcie po niemiecku uwijało się drugie tyle dziennikarzy, a błyski fleszy co rusz oślepiały Adama Wojtasika, wątłego i bladego z emocji pracownika recepcji. Bokserska reprezentacja Niemiec, która zjechała do Poznania na mecz towarzyski z Polakami, właśnie zjadła kolację w sali restauracyjnej hotelu i wybierała się na krótki spacer po centrum miasta. Na jej czele brylował Erich Rüdiger, znany w całej sportowej Europie jako „dyktator pięściarski” i trener najlepszej drużyny bokserskiej na Starym Kontynencie. Mężczyzna pod czterdziestkę z siwą falką włosów zaczesaną na bok udzielał polskim dziennikarzom istotnych odpowiedzi. Do meczu, który miał zostać rozegrany na terenie reprezentacyjnej hali Targów Poznańskich, pozostały jeszcze dwa dni, które – jak zapewniał Rüdiger – niemieccy pięściarze zamierzali wykorzystać na intensywne treningi.

Wojtasik przyglądał się z podziwem muskulaturze zawodników z Niemiec, przebijającej przez cienki materiał ich koszul i marynarek. Ale całe to zamieszanie wokół niemieckiej ekipy tylko go drażniło. Syn powstańca wielkopolskiego, wychowany w duchu pogardy dla wszystkiego, co pochodzi zza zachodniej granicy, miał doprawdy mieszane odczucia. Jedyne, co trzymało go we względnej równowadze psychicznej, była szczerza nadzieja, że polscy reprezentanci – tacy jak choćby Kajnar<sup>[17]</sup> czy Majchrzycki<sup>[18]</sup>, srebrny

medalista mistrz Europy z Budapesztu – zbija tych wszystkich Ziglarskich<sup>[19]</sup> i innych Spannagelów na kwaśne jabłka. Zbliżający się mecz reklamowano wprawdzie jako symbol postępującej z wolna normalizacji stosunków między zwaśnionymi do niedawna krajami, Wojtasik liczył wszakże na to, że Niemcy nie wywiozą z tutejszego ringu miłych wspomnień; raczej masę siniaków.

– I co tam, Adam? – Czujny głos kierownika wyrwał recepcjonistę z objęć wyobraźni. – Jak się spisują nasze Niemiaszki?

Wojtasik lubił poczucie humoru swojego szefa, Augusta Koniecznego.

– Melduję posłusznie, że prężą muskuły – odpowiedział w wojskowym stylu.

– Jeszcze dwa dni i nie będzie im tak do śmiechu – mruknął Konieczny. – A te ich buźki na pewno zaciągną się ładnym fioletem.

Wymienili znaczące uśmiechy, zerkając wszakże nadal w stronę ekipy gości. Ich trener właśnie opędził się od tabunu żurnalistów i dał swoim podopiecznym znak ręką, by kierowali się ku wyjściu na ulicę.

– Pewnie idą odszukać pomnik Bismarcka – puścił oko Konieczny i parsknął śmiechem.

Wiadomo przecież było, że to jak szukać wiatru w polu.

Wojtasik również nie utrzymał powagi:

– A ja myślę, szefie, że chcą zobaczyć Zamek Wilusia. A raczej: po Wilusiu.

## Poznań, znowu „Katakumby” Podolskiego, czwartek 2 lipca 1931 roku, wieczorem

Harmider za plecami komisarza zdawał się potwierdzać, że podjął on właściwą decyzję. Zwykła bójka w drzwiach lokalu rychło przemieniła się bowiem w autentyczną chryję z szeroką obsadą. Dość powiedzieć, że do uszu Kaczmarka doszedł brzęk tłuczonego szkła, a potem dramatyczne jęki rannych.

Nie dbał o to, kto wyjdzie zwycięsko z tego mordobicia. Znalazł się bowiem w wąskim korytarzu, utworzonym z na wpół zasłoniętych, bordowych kotar stanowiących granice separarek. Każda z nich oczekiwała na tutejszych stałych bywalców. Ba! Niektóre z nich były już zajęte, co komisarz odkrył, rozsuwając delikatnie jedną z zasłon. Odsłonięte plecy kobiety siedzącej na półnagim kliencie uświadomiły Kaczmarkowi, że musi działać nadzwyczaj cicho i ostrożnie.

Mężczyzna w separacie z pewnością nie był poszukiwanym przez niego inżynierem o ksywie Majseł. Kaczmarek zrobił więc kilka kroków do przodu i zajrzał dyskretnie do kolejnego przybytku rozkoszy. Jego wzrok napotkał zaskoczone spojrzenie tęgiej kobiety o wydatnych piersiach, która właśnie pomagała równie szerokiemu w barach klientowi zdjąć koszulę.

– A pan tu czego?! – zeżliła się momentalnie, podnosząc alarm. – Kierowniku, zboczeniec jakiś! Ludzi podgląda!

Draka u wejścia do lokalu niespodziewanie ucichła. Znienacka za przepierzeniem pojawił się za to umazany krwią osiłek znany mu już jako Kazimierski – i w trzech skokach dopadł do komisarza w cywilu.



– Tej, kolego, coś taki wcidupny!<sup>[20]</sup> – Olbrzym chwycił Kaczmarka za poły kurtki i chuchnął mu wyzywająco piwnym odorem w twarz .... – Lepiej idź weg<sup>[21]</sup>, pókim dobry!

Policjant, choć zdecydowanie niższy i gorzej zbudowany, nie dał się jednak zastraszyć.

– Widzisz ten węborek?<sup>[22]</sup> – Wskazał na stojące w kącie korytarza wiadro. – Jak zaraz mnie nie puścisz, wrzucę tam twoje kości...

Śmiała groźba zaskoczyła bramkarza lokalu Podolskiego. Nie można jednak powiedzieć, żeby mu się spodobała. Spurpurowiał na nagim czerepie, a jego szczęki zacisnęły się w napadzie złości.

– Szeffie! – ryknął za siebie drab urażony do żywego. – Obić ryja temu kozakowi?!

Nim jednak doczekał się odpowiedzi Podolskiego, otrzymał celnie wymierzony kopniak w słabiznę, po którym wypuścił garderobę komisarza z pięści. Zaraz potem Kaczmarek wydobył spod pachy służbowe parabellum i wycelował z niego prosto w skrwawioną twarz wykidajły.

– Co jest? – zbaraniał Kazimierski. – O co chodzi, do jasnej cholery?

Na korytarz „apartamentu” wtargnął sam Podolski. Widząc Kaczmarka z wymierzoną do swojego człowieka bronią, momentalnie złagodniał.

– Panie szanowny, po co zaraz takie tam... – Rozłożył ręce w geście dobrej woli.

– Komisarz Zbigniew Kaczmarek, wydział śledczy. – Policjant uznał, że najwyższa pora się przedstawić.

Mimo wszystko zamierzał opuścić tę budę o własnych siłach.

– A jednak się znamy... – westchnął Podolski, jakby nieco zawstydzony okolicznościami spotkania. – Słucham pana komisarza. O co chodzi?

Kaczmarek nie opuszczał broni. Wolał, by potężne pięści „bramkarza” pozostały możliwie daleko od jego twarzy.

– Szukam kogoś – wyznał spokojnym tonem. – Chodzi o osobnika znanego jako Majseł. Słyszałem, że bywa tu od czasu do czasu. Mówi wam to coś?

Podolski zrobił głupią minę. Jego pies Kazimierski też nie miał dużo mądrzejszej.

– Pierwsze słyszę – wyznał szef speluny.

Zdanie wybrzmiało wyjątkowo szczerze.

Kaczmarek zaklął cicho. Ani nie znalazł inżyniera-degenerata, ani nie dowiedział się niczego ciekawego. Zapowiadała się długa, w dodatku pełna mordegi wędrówka po kolejnych lokalach miasta. A przecież mógłby spędzać tę noc z Lonią!

Gdzieś za plecami komisarza ktoś się poruszył. Zza kotary wychynęła niespodziewanie głowa skąpo odzianego brodacza w bliżej nieokreślonym wieku.

– Majseł? – zapytał. – A po co on panu?

– Ja tutaj zadaję pytania. – Kaczmarek opuścił broń i odwrócił się w stronę nieoczekiwanego źródła głosu. – Znasz go?

– Znam. Kto nie zna Majsla, panie szanowny!

– Gdzie go znajdę? Pilnie potrzebuję jego wiedzy.

– Teraz? Do „Katakumb” już nie przychodzi. Nie na jego kieszeń, panie, te uciechy!

– Czyli gdzie?! Gadaj, człowieku, bo każę cię zaraz aresztować w tych gaciach!

– Zaraz, zaraz, panie władzo... Nie bądź pan taki nerwerwer!  
[23] – Brodacz nagle zmiękł. Najwyraźniej wizja nocy spędzonej na dołku momentalnie przewietrzyła mu głowę. – Już mówię, jak najbardziej mówię... Majseł mieszka w takiej norze

niedaleko Ogrodowej. To właściwie buda z kartonu i desek na jednym z podwórek...

– Numer domu?

– Boże święty...

– Ty mi Boga w takim miejscu nie wzywaj!

– Kiedy ja nie pamiętam! Ale...

– No?!

– ...ale niewykluczone, panie władzo, że o tej godzinie naciąga innych na piwo na Piekarach.

– Piekary? Gdzie konkretnie?

– Najczęściej w „Rydzu”. Wie pan komisarz, gdzie to jest?

– Wiem. I obyś miał rację! W przeciwnym razie zrobię tu pokazowy nalot obyczajówki! Chętnie sprawdzą waszym dziewczynkom czarne książeczki<sup>[24]</sup>. A twoja ślubna dowie się o wszystkim!

– Jaka ślubna, panie władzo? Nie mam żadnej...

– Taaa! A ta obrączka to co? Nie masz pan za grosz wstydu!

## Okolice restauracji Esplanada, w tym samym czasie

Chwiejne nogi podinspektora Zygfrieda Kaysera – mimo poważnych problemów natury obiektywnej – prowadziły bohatercko ich właściciela tam, dokąd sobie tego życzył. A że szanowny śledczy życzył sobie przede wszystkim ominąć zgrabnym łukiem wejście do położonego naprzeciwko Prezydium Policji i skierować się ulicą 27 Grudnia w stronę

ukochanych Jeżyc, poniosły Kaysera w kierunku pięknie podświetlonej fasady Banku Cukrownictwa.

Rześki podmuch od strony mostu Teatralnego przyjemnie chłodził twarz oficera. Anyżówka w dużych ilościach grzała za to wewnątrz podinspektora, gdy – mijając zabudowane kamienicami wejście do Teatru Polskiego – zastanawiał się resztkami świadomości, czy nie zahaczyć jeszcze o niedaleką cukiernię Dobskiego przy ulicy Fredry, pod dwunastką. Nie zdążył wszakże podjąć decyzji, czy się skusić, bo nagle naprzeciwko jego lekko zawianej postaci pojawiła się grupa kilkunastu grubo ciosanych mężczyzn w eleganckich marynarkach. Wyglądali na dobrze odzianą ekipę budowlaną. A może raczej jak drużyna atletów zmierzająca na jakiś raut. Szli szybkim krokiem w stronę placu Wolności, rozprawiając o czymś w gardłowo brzmiącym, obcym języku.

– *Und die Polen werden wirklich die schwere Gegner...*<sup>[25]</sup> – doleciało do uszu Kaysera.

– *Ja, ja, es ist möglich. Sie haben letzstens grosse Fortschritte gemacht*<sup>[26]</sup> – odpowiedział wyraźnie starszy mężczyzna, wyglądający na lidera grupy.

Niemcy w Poznaniu? – skonstatował zaskakująco trzeźwo Zygfryd Kayser. A co oni, do licha, tu robią?

Pozwolił im gładko wyminąć się na chodniku, a przeskakując przez szyny na pochyłości ulicy Mielżyńskiego, uskoczył nie bez trudu przed pnącym się mozolnie w górę tramwajem linii numer 10.

W głowie ciągle szumiała mu ukochana anyżówka, ale równie mocno dźwięczały niemieckie frazy, usłyszane niedawno na ulicy. *Schwere Gegner... Grosse Fortschritte...* – huczało mu między uszami. Dawny wychowanek pruskiej Kriminalpolizei z grubsza rozumiał, o czym była ta mowa. A jednocześnie nie wiedział, do czego się odnosiła. Tak był

zaaferowany tym, co usłyszał z obcych ust, że na śmierć zapomniał o bezach i ekstra mocnej czarnej u Dobskiego. Minał szklane wejście do hotelu Monopol, zostawił za sobą witrynę słynnej kawiarni i strzelistą neogotycką wieżę kościoła ewangelików pod wezwaniem św. Pawła. Na wysokości Opery głośno czknał – i dopiero wtedy zorientował się, że Niemcy ani chybi rozprawiali coś o jakiejś walce. O zbliżającym się starciu z... Polakami.

I wtedy momentalnie otrzeźwiał. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Cholera – zastanawiał się, stojąc na chwiejnych nogach – przecież ledwie kilka godzin temu usłyszał od oficera wywiadu o pewnym tajnym projekcie „na kierunku niemieckim”. Ten irytujący kapitan Ciężki niemal wprost zasugerował, że tajemnicze zniknięcie profesora Krygowskiego może mieć związek z tamtym przedsięwzięciem. Czy wizyta osiłków wykrzykujących po niemiecku o jakiejś bitce to tylko przypadek?

Kolejne głośne czknięcie nie pomogło mu odpowiedzieć na to frapujące pytanie.

## Knajpa, a raczej speluna Rydz, Piekary 19, około dwudziestej pierwszej

Do wątpliwej sławy lokalu, położonego w jednej z kamienic zachodniej pierzei Piekar, prowadziły w dół wąskie żelazne schodki. Knajpa mieściła się w ciemnej suterenie z małymi oknami, ledwo wystającymi ponad poziom chodnika. Przed

wejściem podpierały latarnie dwie nie pierwszej świeżości „parkietówki”. Jedna z nich, wyraźnie starsza, zaczepiła Kaczmarka, chwytając bezpardonowo ręką za poły jego kurtki.

– Przyjacielu – zagadnęła, mrużąc przymilnie. – Może chciałbyś odwiedzić jaskinię rozkoszy?

– Chyba poruty! – Komisarz strzepnął obcesowo jej dłoń. – Lepiej stąd spadaj, kobieto. Nie mam nastroju na żadne takie...

– Patrzcie go! Cholerny impotent... – syknęła kokota, ale było to zdecydowanie wszystko, na co ją było stać.

Kaczmarek puścił tę niewyszukaną obelgę mimo uszu. Spieszył się do „Rydza”. Odepchnął więc cherlawego żula blokującego dostęp do schodków i szybkim krokiem zagłębił się w czeluść mordowni.

Z wnętrza śmierdziało tanim tytoniem i wszechobecnym potem. Choć przy odrobinie wyobraźni nazwa lokalu mogła zostać odebrana jako nawiązanie do godności jednego z bohaterów wojny z bolszewikami, wystrój jamy w żaden sposób nie zaświadczał o jej elitarnym charakterze. W środku, w tunelu z ceglanych, tchnących wilgocią ścian kłębił się szemrany tłum obu płci. Dominowała klientela w roboczych, drelichowych spodniach i skąpo odziane, niezbyt urodziwe panienki o podejrzanym reputacji. Większość gości bawiła się na stojąco, trzymając szklanki z tanim piwem w dłoniach lub na drewnianych półkach.

Wejście Kaczmarka nie zostało specjalnie zauważone przez zebranych. Pewnie dlatego, że jego plebejski strój nieźle komponował się z wszechobecnym, szarym tłem. Tutaj, w spelunie na Piekarach bawiła się klasa pracująca, ludzie o szorstkich dłoniach i popękanych od słońca ustach. Klasy wyższe o tej samej porze popijały szampana albo włoskie chianti w niedalekim Paladise de Dance, albo w Trocadero

przy placu Nowomiejskim, nie wiedząc nawet o istnieniu takich dziur, jak ta na Piekarach.

Jeśli brodac z „Katakumb” mówił prawdę, Majseł powinien kręcić się w „Rydzu”, szukając kompana do piwa. A raczej – sponsora trunku. Kaczmarek stał przez chwilę wśród bywalców lokalu, przyzwyczajając wzrok do panujących w nim warunków. Gdy wreszcie uznał, że świetnie widzi wszystko wokół, ruszył przed siebie, bezpardonowo rozpychając się łokciami.

Raz czy drugi żylasty klient speluny obrócił się gniewnie w stronę komisarza, widząc jednak niezwykłą determinację na twarzy tego niepozornego, lekko otyłego mężczyzny, schodził mu przezornie z drogi. Komisarz brnął tymczasem w głąb lokalu, rozglądając się uważnie. Ciągle jednak nie mógł dostrzec charakterystycznej, pękatej sylwetki Majsla...

– A pan właściwie czego tu szukasz? – Ktoś mocnym chwytem pod ramię osadził nagle Kaczmarka w miejscu. – Bo mnie się wydaje, że guza.

Komisarz odwrócił się, strząsając rękę intruza. Przed sobą miał kafara w obleśnym podkoszulku, spod którego wystawały siwiejące włosy na klatce piersiowej. Od krzepkiego mężczyzny po czterdziestce wionęło wódką.

– Może byś się pan najpierw przedstawił – zaproponował Kaczmarek, na wszelki wypadek chowając prawą dłoń pod swoją lewą pachą.

Chłód parabellum dodał mu pewności siebie.

Osilek zauważył ten ruch i zinterpretował go właściwie.

– Szukała. Teodor Szukała. Jestem szefem tej knajpy – wyznał niechętnie. – A ty?

Kaczmarek zignorował pytanie właściciela.

– A ja nie – wyznał lekko. – Muszę kogoś odnaleźć.

– U mnie? – uśmiechnął się szyderczo Szukała. – U mnie psy się nie bawią. Psy szczekają w swoich policyjnych budach.

Komisarz po raz drugi udał, że nie słyszy zaczepki.

– Majsel. Mówi ci to coś?

Szef speluny wydał wargi. Gdyby nie ręka Kaczmarka, spoczywająca pod pachą, pewnie już dawno zrobiłby użytek ze swojej przewagi wzrostu i kubatury. Jeśli jednak chciał zaliczyć ten wieczór do udanych, musiał trzymać dystans.

– Majsel... – powtórzył bezwiednie. – Majsel... Niestety, panie dzielnicowy, nic mi ta ksywka nie mówi.

– A szkoda – westchnął Kaczmarek, powoli wyciągając dłoń spod kurtki.

Nie na tyle jednak, by pokazać to, co w niej trzymał.

– A kto to jest, jeśli wolno...

– Inżynier po przejściach. Mieszka gdzieś tutaj niedaleko. Ludzie widzieli go na Ogrodowej, to pewnie i tutaj zagląda.

– Inżynier, powiadasz pan? – W oku Szukały błysnęła iskierka zainteresowania. – Taki, co to się lubi przechwalać?

– Mniej więcej.

– A już najwięcej, to opowiada o Zamku cesarza? Głędzi o nim jak nakręcony?

– Widzę, że jednak się znacie.

Rysy szefa „Rydza” jakby złagodniały, a jego sylwetka nagle nabrała miękkości. Cofnął się nawet o krok, nie patrząc już na ukrytą dłoń grubego faceta, stojącego wyzywająco przed nim.

– Może nawet go gdzieś widziałem – przyznał chętnie.

– Świetnie. Gdzie?

Szukała rozejrzał się na boki, jakby chciał się upewnić, że negocjacje z niskim, przysadzistym gliniarzem w śmiesznej kurtce nie mają zbyt wielu świadków. Lustracja terenu nie wypadła chyba najlepiej, bo zaraz potem ściszył głos.



– Jeden warunek, panie... posterunkowy – syknął. – Jeden warunek.

– Wal.

– Obiecaj mi pan, że jak ci wskażę tego mitomana, to nie będziesz go pan tutaj przesłuchiwał, tylko wyjdziecie grzecznie na świeże powietrze i już nie wróćcie. To chyba czysty układ, co nie? Pan mi tylko opinie zepsujesz, jak będzie inaczej...

Kaczmarek udał, że przez chwilę zastanawia się nad propozycją Szukały, ważąc racje za i przeciw. Osobiście bardzo nie lubił, gdy ktoś, a już zwłaszcza ktoś taki jak spocony zawiadowca mordowni, mówił mu, co powinien zrobić. Z reguły nie negocjował z żulią, co najwyżej rąbał ją w pysk. Tym razem jednak sprawa przedstawiała się mniej przejrzyście. Gdyby doszło do jakiejś nieplanowanej rozróby, stabilna sytuacja mogła się w jednej chwili zawalić. A przecież nie przyszedł tu bić się z całą eką penerów z Piekary... Koniec końców, komisarz uznał, że wyjątkowo może przymknąć oko na bezczelność meliniarza.

– Gdzie on jest? – przeszedł do sedna sprawy.

– Weźmiesz go pan na powietrze?

– Wezmę.

– Układ stoi.

– No i?

– Znajdziesz go pan pod kibelem.

– Gdzie to jest?

– Cały czas prosto, a potem skręt w prawo. Śmierdzi moczem, na pewno pan trafisz...

Piekary 19, chwilę później

Wskazówki Szukały okazały się precyzyjne. Kierując się nimi oraz sugestiami własnego nosa, Kaczmarek szybko wydostał się ze strefy alkoholowych oparów i trafił do murowanego zaułka, trącającego zdecydowanie uryną. Pod dawno niemalowanymi drzwiami do wychodka oparty plecami o ścianę siedział na wilgotnej betonowej podłodze szeroki w pasie, siwy mężczyzna w wieku trudnym do ustalenia. Jedną z nogawek jego zdecydowanie zbyt szerokich spodni była mokra, co mogło świadczyć o tym, że jakiś czas temu nie zdążył z potrzebą do muszli. Albo że ktoś mu zablokował dostęp do ustępu. Tak czy owak, zarówno spocona, nieogolona i wymizerowana twarz Majsla, jak i całokształt jego upadłej sylwetki stanowiły obraz skrajnej nędzy i rozpacz.

Kaczmarek szybko pojął, że doprowadzenie inżyniera do stanu użyteczności zajmie mu trochę czasu. Nie przejął się tym jednak. Zdecydowanym ruchem chwycił menela za lepką od potu koszulę i stękając z wysiłku, uniósł go tak, by nogi Majsla znalazły sobie znowu oparcie.

– Sssso jessst... kurwa... do cholery... – nowa pozycja zdecydowanie nie spodobała się moczymordzie w stanie upojenia.

Przez wpół przymknięte powieki spoglądał na Kaczmarka jak na wroga, tyle tylko że nie był w stanie mu nic zrobić. Jego ciężkie jak dwa bochny chleba pięści zwisały bezwładnie wzdłuż wzdętego korpusu, a z jego kiszek wydostawało się jedynie pijackie czkanie lub puszczone bez pardonu gazy.

– Sssso jessst... Ssssoo do chooolery...

– Stul pysk, pijusie! – Kaczmarek jedną ręką przytrzymał pijaka w pozycji pionowej, dociskając go do ściany, a drugą

operował przy drzwiach ubikacji. – Lepiej trzymaj się drzwi! O, tak! Musimy tu wejść, rozumiesz?

Szczęśliwym trafem ustęp był pusty. Kaczmarek naparł więc ramieniem na tułów Majsla, kierując go nieudolnie, acz mocno do środka.

Pijany inżynier runął jak długi, omal nie uderzając głową w żeliwny zlew. Komisarz nie zdążył go złapać.

– Sssso jesssst... Sssoo ty, kurwa... – zaklął Majsel, gramoląc się niezgrabnie z zasikanej podłogi.

Najwidoczniej chciał odpowiedzieć czymś na coś, co potraktował jako atak. Tyle że kompletnie odcięło mu zasilanie.

– Zamknij mordę! – Komisarz porzucił nadzieję na uniknięcie kontaktu swoich spodni ze śmierdzącą posadzką i klęczał teraz nad żulem, usiłując go podnieść. – Trzymaj się zlewu! O, tak! A teraz w górę, ochleju! Nooooo! Raaaaz!

Majsel ważył na pewno pod sto kilo. Kaczmarek zobaczył przed oczyma czarne cętki, gdy mokry z wysiłku wypchnął ciało inżyniera w górę. Mordęga się opłacała: Majsel przechylił się teraz jak wór kartofli nad brzegiem żeliwnego zlewu, zapierając się jednocześnie chwiejnymi nogami o podłogę. Kaczmarek tylko na to czekał: bez ceregieli chwycił dziada za siwe kudły i wpakował jego głowę pod krótki kran. Majsel był tak pijany, że nie dał rady stawić oporu. Policjant szybkim ruchem lewej dłoni otworzył kurek i na głowę pijaka żwawo popłynął zimny strumień.

– Aaaaa! – zaczął się drzeć Majsel, jakby go obdzierali ze skóry. – Aaaaaa! Zabiję, kurwa! Zabijęęęęę!

## Poznań, noc z 1 na 2 lipca 1931 roku, na Świątym Marcinie

Ciepła noc gwarantowała, że niejaki Majseł, niegdyś znany w mieście inżynier, a ostatnio czołowy ochlapus, degenerat i łachudra, nie dostanie zapalenia płuc. Gdyby to była jesień, trząsłby się zapewne z powodu mokrej głowy i zawilgoconej koszuli. Ale że rzecz działa się w lipcu, było mu wystarczająco ciepło. W dodatku w ciągłym ruchu utrzymywał go niespodziewany kompan: młodszy od niego, krępy mężczyzna w lekkiej kurtce, który uparł się, by w rekordowo krótkim czasie wyrwać swojego podopiecznego z objęć piwnych procentów.

Kaczmarek też był mokry, ale zawzięte holowanie półprzytomnego Majseła ulicami Poznania tak go rozgrzało, że zupełnie zapomniał o tej niedogodności. Utrzymanie grubego, mocno podpitego człowieka w pionie kosztowało go morze siły, ale zdawał sobie sprawę, że tylko wprowadzenie pijanego w przymusowy, uporczywy ruch pozwoli wyparować oparom alkoholu z jego czaszki. Sporo dobrego zrobiła zimna kąpiel, zaordynowana przez komisarza głowie Majseła. Gdyby jednak nie decyzja o wytransportowaniu go na zewnątrz, były inżynier zapewne prędzej czy później znowu zapadłby się w sobie i stracił wątek.

A tymczasem wątek u niego wracał, choć bardzo powoli. Dopiero gdzieś na wysokości kamienicy Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej Majseł czknął i po raz pierwszy w miarę przytomnie zapytał:

– Aaaa... ty kto?

Komisarz zignorował to pytanie. Zamiast udzielić odpowiedzi, ścisnął mocniej licheski pasek w spodniach pijaka i przynaglił go do szybszego, nieco bardziej składowego marszu.

Gdy mijali kamienicę z neonem „Vesty” na szczycie, Majseł szarpnął się i zadał kolejne pytanie. I znowu całkiem do rzeczy:

– Zaaaa... A my... dokąd?

– Do Zamku! – ryknął mu w ucho Kaczmarek.

Majseł spojrział na niego jak na wariata, ale komisarz nie pozwolił mu na nic więcej. Nie dał mu ani chwili do namysłu. Raz jeszcze mocnym szturchnięciem zmusił ochlapusa do marszu. Szli, stąpając ciężko w stronę majaczącej w zachodnim krańcu ulicy wieży zegarowej Zamku, zwieńczonej charakterystycznym stożkowym dachem. Markizy świętomarcińskich sklepów, zdobiące za dnia ich witryny, były o tej porze zwinięte i schowane. Kaczmarek jednym okiem przyglądał się wyeksponowanym za szybami towarom, drugim pilnował właściwego azymutu. Siłując się z półprzytomnym klientem, nie miał łatwego zadania.

Zupełnie niespodziewanie pod wpływem rosnącej w oczach sylwetki Zamku Cesarskiego, w holowanym Majsele obudziły się dawne, rzewne wspomnienia. Ze wzruszenia zaczął pociągać nosem, a jego oczy zaszyły wilgocią.

– Ech, to były, panie, czasy... – rozkrochmalił się nagle.

Kaczmarek pozwolił mu nacieszyć się obrazami z przeszłości. Najważniejsze było to, że Majseł nadal grzecznie dawał się prowadzić ku Zamkowi. Mało tego – jego krok jakby się nieco wzmocnił i wyraźnie przyspieszył.

Gdy stanęli przed schodami, na których jeszcze przed południem natrętny redaktor Grabski usiłował wydobyć z komisarza jakiegokolwiek zeznanie, wskazówki podświetlonego

zegara na wieży wskazywały kwadrans przed dwudziestą trzecią.

Stary inżynier zapatrzył się na wieżę i westchnął głośno filozoficznym tonem:

– Wie... Wiedziałem, że tu wrócę.

– No właśnie – mruknął Kaczmarek.

– Ale panie, co mnie pan tak szarpiesz? I kim pan jesteś? – zdenerwował się wracający do życia Majstel, usiłując odepchnąć komisarza.

Kaczmarek nie dał mu się wyrwać i szybko osadził narwańca w miejscu.

– Policja państwowa, komisarz Kaczmarek! – huknął na Majsła.

– A ja jessstem...

– Wiem, kim pan jesteś. A raczej, kim byłeś. Nieważne! – uciął komisarz. Jakoś nie miał nastroju na pogawędkę z nie do końca trzeźwym pomocnikiem. – Jesteś tutaj, bo potrzebuję twojej pomocy. Podobno znasz Zamek jak własną kieszeń.

– Możliżna tak powiedzieć... – zaperzył się Majstel.

– No właśnie. Ponoć pracowałeś przy Zamku, gdy budowano go dla cesarza.

– *Richtig...*[\[27\]](#)

– No więc znasz pewnie różne takie zakamarki czy inne tajemnice...

Majstel wyprostował się i strzelił znieńcka obcasami, jakby właśnie odpytywał go sam Najwyższy Majestat, Jego Wysokość Wilhelm der Zweite.

– *Jawohl!*[\[28\]](#) – przytaknął skwapliwie, a na jego policzkach wykwitły zdrowe rumieńce.

– Liczę na to, że pomożesz mi je odkryć.

Śmierdzący ciągle piwskim i moczem degenerat wytrzeszczył oczy.

– *Kein Problem, Herr Komissar...*[\[29\]](#) – zapewnił ochoczo.

## Zamek Cesarski, gabinet profesora Krygowskiego, kwadrans później

Portier przy wejściu był zdziwiony późną porą przybycia Kaczmarka, w dodatku z wyraźnie niedysponowanym, pękatym jegomościem „pod pachą”. Kiedy jednak komisarz pokazał mu swoją policyjną legitymację, przypomniał go sobie, podał mu klucz do pokoju profesora i bez oporów wpuścił dziwną, niezwykle kontrastową dwójkę gości do windy. Ta znacznie ułatwiła Kaczmarkowi kwestię transportu Majsla na piętro.

Korytarz Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Poznańskiego był teraz półciemny, doświetlały go tylko dyskretne światła z kinkietów. Kaczmarek znowu poczuł się niepewnie w dawnej siedzibie Kajzera. Zamkowe wnętrza podziały za to ożywczo na jego towarzysza. Majseł jakby zupełnie oprzytomniał – wyrwał się w końcu komisarzowi i lekko się chwiejąc, szedł obok policjanta, rozglądając się wokół z wyraźną satysfakcją. Zdaje się, że przed jego oczyma stanęły znowu obrazy sprzed ponad dwudziestu lat, gdy uwijał się tu ze swoją ekipą murarską, by zdążyć na czas i zadowolić samego cesarza. Z kroku na krok szedł coraz pewniej, a w jego ruchach dało się zauważyć autentyczne, ozdrowieńcze ożywienie.

Chwilę później stanęli przed podwójnymi, dębowymi drzwiami, wiodącymi do gabinetu profesora. Majseł czekał

i bekał, ale poza tym zachowywał się całkiem przyzwoicie jak na swój stan – trzymał się nieźle w pionie, opierając się o obramowanie drzwi. Kaczmarek zerwał lak policyjnej pieczęci na sznurku, broniącym dostępu do środka, przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi do środka.

Kolejnych nie musiał już otwierać kluczem.

Gdy weszli w milczeniu do pogrążonego w mroku gabinetu, Kaczmarek nie omieszkał zapalić światła. Znowu zobaczył efektowną boazerię z brązowymi reliefami, odwzorowującymi fragmenty relikwiarza Karola Wielkiego z katedry w Akwizgranie. Okna gabinetu były tym razem zamknięte i szczelnie zasunięte zasłoną. Na środku pokoju ciągle stało masywne biurko, pełne teczek i zapisanych kart. Z tą jedynie różnicą, że do niedawna przewrócony fotel stał teraz grzecznie na nogach, po bożemu, przy brzegu biurka. Najwidoczniej policyjny fotograf udokumentował już studium jego upadku. Na dywanie przy biurku nadal widać było za to czerwoną plamę...

– Byłeś tu pan kiedyś, Majseł? – Kaczmarek nie zamierzał marnować czasu.

W oczach starego inżyniera dostrzegł jakieś błyski.

– Znasz to miejsce? Poznajesz?

Majseł nie odpowiedział. Zamiast tego wyciągnął przed siebie dłonie, jakby nagle musiał znowu poszukać równowagi albo jakby zamierzał coś pokazać i podszedł do ściany. Zaczął się jej bacznie przyglądać. Jeszcze chwila – i już wodził palcami po płaskorzeźbach zdobiących boazerię blisko rogu pokoju. Z niekłamaną fascynacją przyglądał się scenom z życia Karola, figurom niemieckich cesarzy i królów. Wyglądał, jakby w jednej chwili zupełnie i nieodwołalnie otrzeźwiał. A już na pewno oprzytomniał.



– Byłeś tu już kiedyś, Majseł? – odezwał się znowu Kaczmarek. – Poprzedniej nocy z tego gabinetu uprowadzono pewnego człowieka. Tyle że nie przez drzwi. I nie przez okno. Jak widzisz, nie ma tu żadnej innej drogi ucieczki. A jednak ten człowiek zniknął...

Inżynier słuchał słów Kaczmarka, a jednocześnie wodził nadal palcami po drewnianych płaskorzeźbach. Zupełnie, jakby znajdował w tym jakieś przedziwne upodobanie. Operował teraz dłońmi w okolicy postaci z tiarą, która przedstawiała zapewne papieża.

– Czy wiesz, Majseł, jak to się mogło stać? Skup się proszę, to bardzo ważne...

Na spoconym, skacowanym obliczu inżyniera wykwił zniecka kolejny rumieniec, a potem jego usta wykrzywił złośliwy uśmiezek.

– Ech, pulicaje... – mruknął lekko pogardliwie.

– Słucham? – podchwycił komisarz.

Ale stary inżynier tylko machnął ręką.

Zaraz potem natężył się, zaparł lewą nogą o podłogę, a prawą dłonią napał na jedną z figur.

W pierwszej chwili nic się nie stało i Kaczmarek chciał już zganić pijusa za próbę dewastacji płaskorzeźby – gdy nagle obaj usłyszeli suchy trzask. Od równej dotychczas powierzchni boazerii odstąpiła nagle na kilka centymetrów poryta dłutem artysty tafla.

– *Voilà!*<sup>[30]</sup> – zakrzyknął radośnie Majseł, wpychając swoje brudne palce w czarną, ziejącą grobowym chłodem szparę.

Pierwsza zagadka została rozwiązana.

[15] Dziś pl. Cyryła Ratajskiego.

- [16] Warta Poznań i Hajduki Wielkie (później Ruch Chorzów) – czołowe kluby ówczesnej polskiej ligi piłkarskiej.
- [17] Pseudonim przedwojennego boksera Warty Poznań i olimpijczyka, Czesława Cyraniaka, który zginął 11 września 1939 r. w bitwie nad Bzurą.
- [18] Walter Witold Majchrzycki – dwukrotny wicemistrz Europy w boksie.
- [19] Hans Ziglarski – niemiecki pięściarz, wicemistrz olimpijski z Los Angeles w 1932 r.
- [20] Wcidupny (gwara pozn.) – dowcipny.
- [21] Weg (gwara pozn.) – spieprzaj.
- [22] Węborek (gwara pozn.) – wiadro.
- [23] Nerwerwer (gwara pozn.) – nerwus.
- [24] W okresie międzywojennym obowiązkowy dokument prostytutek, w którym odnotowywano badania kontrolne.
- [25] *Und die Polen werden wirklich die schwere Gegner...* (niem.) – A Polacy będą rzeczywiście trudnym przeciwnikiem...
- [26] *Ja, ja, es ist möglich. Sie haben letztens grosse Fortschritte gemacht* (niem.) – Tak, tak, możliwe. Poczynili ostatnio duże postępy.
- [27] *Richtig!* (niem.) – zgadza się.
- [28] *Jawohl!* (niem.) – właśnie tak!
- [29] *Kein Problem, Herr Komissar...* (niem.) – Nie widzę problemu, panie komisarzu...
- [30] *Voilà!* (franc.) – proszę bardzo!



## 4. Jeśli to piekło

Noc była duszna i bardzo chciało mu się pić.

Niestety, nie miał komu o tym powiedzieć. Zresztą i tak by nie mógł – knebel skutecznie go zagłuszał. Siedział zdrętwiały w fotelu, skazany na jedną i tę samą pozycję. W jego wieku takie „rozrywki” groziły wyłącznie przykrościami i bólem. Dziwił się, że tym, którzy go tak urządzili, zabrakło podstawowej wyobraźni. Przecież wiedzieli, ile on ma lat!

Ból unieruchomionych nóg i pleców nie pozwalał mu zasnąć. I ta suchość w gardle... Jak oni go traktują!

Wszystko się w nim burzyło. Gotów był stanąć oko w oko z tymi bandytami, byle tylko uwolnili mu ręce i nogi. Osiągnął słuszny wiek i w bójce zapewne nie miałby już szans. Jakże jednak honorowe byłoby to wyjście! Zupełnie odmienne od tego upokarzającego położenia!

Poznań, tej samej nocy, czwartek 2 lipca 1931  
roku, tuż po północy

Majsel trzeźwiał w imponującym tempie. Trudno było mu się dziwić: tajne przejście, które odnalazł – a może tylko sobie przypomniał – pobudzało jego wyobraźnię. Zawieszona na niewidocznych zawiasach tafla płaskorzeźby odsłoniła wąskie przejście, prowadzące niemal z samego kąta gabinetu profesora do...

No właśnie, dokąd? Kaczmarek rzucił się jak szalony do tajemniczego wejścia, odpychając dość obcesowo parującego jeszcze alkoholem poznańskiego Schliemanna<sup>[31]</sup> od jego Troi. Na twarzy poczuł zimny, lodowaty wręcz powiew, który musiał dochodzić gdzieś z głębokiego dołu. Powietrze przesycone było bowiem wilgocią i specyficzną stęchlizną starych, zagrzybionych piwnic. Powiew był tak mocny i wyczuwalny, że wywoływał potężny przeciąg, pochodzący zapewne z dalekich zakątków zamkowych podziemi.

– Co to jest, Majsel? – Komisarz odwrócił się do swojego towarzysza. – Co to jest, panie kolego?!

Stary inżynier wykrzywił spoconą twarz w dzikim uśmiechu.

– Są na ziemi rzeczy, które... które się nie śniły... – w tym momencie znowu głośno czknął.

– ...filozofom – dopowiedział za niego komisarz.

– O! Właśnie, ten tego... – ożywił się Majsel. – To zwykłe przejście w ścianie między gabinetami na tym samym piętrze. Mało kto o tym wie, ale niektóre ściany w tym zamku są... są...

– Podwójne?

– Brawo, mistrzu. – Wyraz twarzy inżyniera wskazywał raczej na drwinę niż szczerze uznanie. – Podwójne.

– Ale jak? Dlaczego?

Majsel otarł wierzchem dłoni zroszone potem czoło.

– Ech... – mruknął. – Na osobiste życzenie cesarza... A może raczej szefa jego dworu... Tak chcieli, to tak zbudowali...

Chodziło o względy... względy... No, ten tego...

Kaczmarek rozumiał, o jakie względy zadbali ludzie odpowiedzialni za cesarza Wilhelma II i jego rodzinę. Jako mały brzdąc, ale i później – już w dorosłym życiu – słyszał plotki o podziemnych przejściach, łączących rzekomo Zamek z odległą Cytadelą, zbudowaną przez Prusaków jeszcze w XIX wieku na Wzgórzu Winiarskim. Nigdy jednak nie traktował ich poważnie. W Poznaniu uchodziły za rodzaj miejskiej legendy – opowieści z gatunku tajemnic czy grozy, które opowiada się dzieciom albo wnukom przed zaśnięciem. Czyżby jednak rzeczywiście było coś na rzeczy? Czyżby tkwiło w nich ziarno prawdy?

Nic dziwnego, że zaraz potem Kaczmarek zadał kolejne, jakże logiczne pytanie:

– Dokąd prowadzą te przejścia?

W tym samym czasie, na ulicy Święty Marcin,  
przed Zamkiem Cesarskim

Wycieczka niemieckich pięściarzy zabawiła w jednym ze staromiejskich lokali dłużej, niż planowała. Miejscowe piwo przypadło im do gustu, a luźna atmosfera sprzyjała miłemu spędzaniu czasu. Ze Starego Rynku wracali inną drogą, niż do niego doszli – ich kierownik i jednocześnie trener Erich Rüdiger prowadził ich teraz wzdłuż najbardziej okazałej ulicy śródmieścia. O tej porze miasto zdawało się już wymarłe, a oświetlone witryny sklepów tylko potwierdzały, że na gości zza zachodniej granicy z pewnością czekają już wygodne łóżka

hotelu „Monopol”. Rüdiger uparcie prowadził ich jednak do miejsca noclegu, nadkładając drogi. Zupełnie, jakby miał w tym jakiś cel.

Gdy ulica, którą zmierzali na zachód, nagle rozrosła się w arterię z szerokim trotuarem, zrozumieli, dokąd zmierzali. Trener najwyraźniej celowo przyprowadził ich przed wielką, licowaną kamieniem budowlę z efektownymi wieżami i wieżyczkami, przywodzącymi na myśl średniowieczne eposy o największych niemieckich cesarzach: Henryku Ptaszniku, Ottonie Wielkim czy Fryderyku Barbarossie.

– Panie trenerze, czemu się zatrzymaliśmy? – zapytał przytomnie Hans Ziglarski, as w talii Rüdigera.

Wszyscy stali jak wryci, wpatrując się w potężne, schowane w ciemnościach mury zamczyska.

Szef ekipy powiódł po swoich podwładnych dumnym spojrzeniem.

– Panowie – odezwał się głosem, w którym znać było wzruszenie. – Zapamiętajcie dobrze ten widok...

– Dziwnie znajomy – wyrwało się Berensmeierowi.

– Nic dziwnego, Ludwig. To Zamek cesarza Wilhelma, ostatniego z Hohenzollernów. Czyż nie jest imponujący? To symbol dawnej wielkości Niemiec. Tę wielkość musimy im kiedyś przywrócić...

Sportowcy słuchali niespodziewanej przemowy trenera w milczeniu. Nie znali Rüdigera od tej strony i dla niektórych z nich słowa, które wypowiedział właśnie w tę niepozorną, lipcową noc, były zaskoczeniem. Ale nie dla wszystkich.

– Wszystko przed nami, trenerze – uśmiechnął się szeroko Ziglarski.

– Tak jest, Hans. Wszystko przed nami. To przecież nie do pojęcia, żeby pamiątki naszej narodowej tężyzny miały teraz służyć Polakom.

I temu ich sezonowemu państwu – dopowiedział już tylko w myślach Rüdiger.

Tylko on wiedział, że ledwie szesnaście lat wcześniej w tym wielkim gmachu pracowało pełną parą dowództwo frontu wschodniego. To stąd słał rozkazy do ofensywy feldmarszałek Paul von Hindenburg, zresztą syn niemieckiego Posen...

Ten fakt był dla niego zobowiązaniem.

W jednym z okien na piętrze dostrzegł mizerne, nocne światełko. Ktoś jeszcze pracował o tej porze? Przed wyjazdem do Poznania Rüdigerowi obilo się o uszy, że złośliwi Polacy urządzili w zamku po cesarzu swój uniwersytet. Tylko oni mogli wpaść na równie perfidny, przewrotny pomysł! Czyżby jakiś polski uczone ślęczał tam jeszcze nad księgami?

– Jeszcze przyjdą lepsze czasy dla Rzeszy... – westchnął i machnął ręką na swoich podopiecznych, ponaglając ich do marszu ulicą Kościuszki ku hotelowi.

Zakręcili w prawo, mijając masywne wejście do ciężkiego, ceglanego budynku z wąskimi, udającymi gotyk okienkami i blankami na dachu.

Na razie objemy im mordy na ringu – pomyślał Erich Rüdiger. Był tego więcej niż pewien.

Ta wdzięczna perspektywa przywróciła mu beztroski uśmiech na twarzy.

W Zamku, w gabinecie profesora Krygowskiego,  
2 lipca 1931 roku, kwadrans po północy



– A czy te przejścia... muszą gdzieś prowadzić? – odpowiedział pytaniem Majselem.

Zdawał się już myśleć i wypowiadać zupełnie rozsądnie, by nie powiedzieć: trzeźwo. Najwidoczniej waga sprawy i natężenie umysłu czyniły cuda, przywracając niedawnego moczymordę ze stanu głębokiego upojenia do całkiem przyzwoitego poziomu konwersacji.

– Nie rozumiem.

Majselem znowu uśmiechnął się krzywo.

– Ej, panie władza... – Podniósł palec wskazujący prawej dłoni, jakby chciał nim pogrozić. – To tylko zwykłe przejście między ścianami...

– Skąd wiesz?! Znasz je? Szedłeś już kiedyś tędy?

– Raz czy drugi tu zajrzałem. Ale to było dawno temu, jeszcze za Wilusia... Daleko nie zaszedłem, nie było czasu. Poza tym Szkiebry pilnowały jak cholera. Nie pozwolili...

– To skąd wiesz, że to nic ważnego? A może ten korytarz prowadzi jednak gdzieś dalej?

– E, nie wydaje mi się.

– Zobaczmy! – uparł się Kaczmarek.

– *Gut!* – rzucił z niemiecka inżynier.

– Cholera, przydałaby się latarka – mruknął Kaczmarek. – Czekał pan, skoczę do portiera...

Dawno już nigdzie nie biegł, a już zwłaszcza tak szybko. Na śliskich, pogrążonych w półmroku posadzkach zamkowych korytarzy ryzykował co najmniej skręcenie kostki, szczęśliwym trafem dopadł jednak bez kontuzji do windy i zjechał na parter. Chwilę później wracał na górę z niezłej jakości latarką w dłoni. Portier wyglądał tak, jakby tylko czekał, by mu ją podarować.

– No, to idziemy, Majselem! – zakomenderował rozgrzany biegiem komisarz.

Zimny powiew na twarzy tylko dodawał mu werwy.

W korytarzu było cokolwiek wąsko, nie na tyle jednak, by krępy Kaczmarek miał problem z poruszaniem się do przodu. Obcierał jednak rękawy kurtki o wystające ze ścian cegły. Gorzej miał Majsel, szerszy w ramionach i słabszy – przesuwając się za komisarzem, ciężko sapiąc. Snop światła z latarki poprowadził ich kilka metrów w przód. Chwilę dalej zorientowali się, że droga... ma jednak ciąg dalszy! Za gwałtownym skrętem w lewo posadzka zaczęła się nagle obniżać, przechodząc w zwykłe, betonowe schody.

Coraz chłodniejszy powiew uświadomił Kaczmarkowi, że schodzi w dół, prawdopodobnie ku poziomowi zamkowych piwnic. Na razie byli z Majslem zdecydowanie wyżej, gdzieś na wysokości parteru – schody wszakże nieubłaganie prowadziły ich coraz niżej i niżej.

– O Boże... – wyrwało się umęczonemu technikowi. – To chyba droga do piekła...

Kaczmarek poczuł na plecach dreszcz emocji. Udzielił mu się tajemniczy klimat tej niespodziewanej wyprawy. Wyobraził sobie w jednej chwili, co czuli pierwsi odkrywcy dalekich lądów, wcześniej nikomu nieznanych. Sam czuł się teraz jak człowiek, który zbliża się do wielkiej tajemnicy.

– Jeśli to piekło, to mają tu całkiem przyjemnie – odpowiedział Majsłowi, głównie po to, by dodać sobie otuchy. – Przynajmniej jest tu sucho...

Gdzieś z dalekiego, skrytego za maską ciemności dołu dobiegł ich uszu dziwny dźwięk, przywodzący na myśl smętne wycie halnego. Było w nim coś niepokojącego i budzącego grozę.

– Może... jednak zawrócimy? – zaproponował starszy z odkrywców.

– Nie ma mowy! – burknął komisarz, wyraźnie obruszony. – Weź się pan w garść! To tylko przeciąg, nic więcej...

Uuuuuuuu! – zawyło znowu z odległych ciemności.

Nie ulegało kwestii, że korytarz, którym podążali w dół, jest znacznie dłuższy, niż mogli sobie wyobrazić. Czyżby naprawdę prowadził aż na Cytadelę? I czy właśnie wtedy nieznani sprawcy uprowadzili obezwładnionego profesora?

Kaczmarek znowu ruszył wolno przed siebie, starannie stawiając nogi na najbliższych, oświetlonych latarką schodkach. Jednocześnie zastanawiał się, czy wraz z Majslem znajdują się już poniżej poziomu gruntu i czy wyszli poza obrys murów Zamku. Prędzej czy później musiało to nastąpić. Z jego pobieżnej orientacji wynikało, że musieli zagłębiać się pod ziemię w kierunku Ogrodu Różanego, graniczącego z bryłą Zamku od północy. Czyli jednak szli ku Cytadeli?

Stary majster człapał za nim coraz wolniej, ale – chcąc nie chcąc – musiał mu towarzyszyć; tylko Kaczmarek miał bowiem przy sobie źródło światła.

Niespodziewanie wąskie schody przeszły znowu w korytarz z poziomą posadzką. A ceglane ściany tego osobliwego ciągu komunikacyjnego nieco się od siebie oddaliły, ułatwiając im ruchy. Kaczmarek zatrzymał się znowu, błędząc strumieniem światła po ścianach i betonowej podłodze. Mimo lata ciągnęło od niej cmentarnym chłodem. Czy tędy ciągnęli profesora? A może go nieśli? Ilu ich było: dwóch? A może trzech? Czy porwany był przytomny, ale skrepowany – czy zupełnie pozbawiono go świadomości?

W jednej chwili komisarz doszedł do wniosku, że o ile porywaczom udało się dotaszczyć profesora przez wąski korytarz i schody do tego miejsca – dalej mieli już zdecydowanie łatwiej. Jeśli tylko go nieśli, mogli teraz

przyspieszyć bez obawy, że obetrą dłonie czy garderobę o szorstkie cegły.

Odwrócił się ku Majslowi – i skrzywił z obrzydzenia. Twarz spowiła mu nagle lepka pajęczyna. Widocznie stawonóg szybko ją odbudował, porywacze musieli ją przecież naruszyć...

– Weź pan tę lampę! – wściekł się stary inżynier, oślepiiony przypadkowo przez oczyszczającego gwałtownie twarz Kaczmarka.

– Nie drzyj się, Majsel, jak stara baba! Lepiej mi się przyznaj, czy byłeś tu kiedykolwiek.

– Nie byłem. W życiu nie byłem.

– I nie wiesz, dokąd prowadzi ten korytarz? – Komisarz posłał snop światła w wilgotną ciemność przed nimi.

Jasny słup utonął w niej jak we mgle, nie wyławiając z mroku żadnych konkretnych kształtów.

– Nie wiem, panie władza. Pojęcia nie mam.

Lękliwy ton głosu inżyniera mówił Kaczmarkowi wszystko. Wyprawa w zamkowe podziemia zdecydowanie przestała się Majslowi podobać. A już na bank był trzeźwy jak nigdy wcześniej.

Uuuuuu! – zawyło znowu gdzieś z mrocznej oddali, wywołując dreszcze na plecach odkrywców.

– Może jednak zawrócimy? – zaproponował znowu niedawny ochlapus.

– Masz pan fefry[\[32\]](#), panie Majsel? Nie żartuj pan, jak Boga kocham. Teraz albo nigdy!

Tej samej nocy, gdzieś na Jeżycach

Podinspektor Zygfryd Kayser miał wyjątkowo ciężki sen. Nadmiar schłodzonej anyżówki ciążył mu na wątrobie, a buszujący w arteriach alkohol podsuwał dziwaczne, a przy tym męczące imaginalcje.

Śniło mu się, że znalazł się w tajemniczym, oświetlonym ledwie jedną świecą pomieszczeniu. Pokój był nieduży. Siedział w fotelu, wpatrując się w stojące naprzeciwko, podłużne pudło. Było dobrze widoczne, bo właśnie przy nim stał wąski lichtarz. Co to jest? – zastanawiał się Kayser ni to w półśnie, ni na jawie, przewracając się nerwowo z boku na bok. Co to za pudło i po co tu stoi?

Ponieważ żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy, zaczął się denerwować, a pytanie „Co to za pudło?” stało się udręką – nieproszonym mottem dla jego mizernego wypoczynku. Co to jest? Co to? Co? – szepty z tyłu głowy doprowadzały go do szaleństwa. Miotał się po łóżku, jakby miał gorączkę, nie znajdując ani odpowiedzi, ani nocnego spokoju.

Nagle ściany wielkiego kartonu rozpadły się na boki i oczom podinspektora ukazały się... czyjeś zwłoki! Profesor! Matko Boska, to pewnie zagubiony profesor!

Poderwany z fotela niejasnym przeczuciem, zbliżył się do leżącego ciała. Gdy tylko się nad nim pochylił, natychmiast zrozumiał swoją pomyłkę.

Mężczyzna w rozdarłej trumnie z kartonu był zbudowany jak prawdziwy atleta. Miał twarz Niemca, którego Kayser zobaczył ledwie kilka godzin wcześniej na placu Gwarnym.

– A więc jednak... – wymamrotał przez sen ciężko doświadczony alkoholem śledczy. – A więc jednak...

## Gdzieś w śródmieściu, około pierwszej w nocy

Po trudach schodzenia wąskimi, ciemnymi schodami ich marsz przed siebie przypominał teraz jazdę szeroką, wygodną i przyzwoicie oświetloną drogą. Kaczmarek był już przekonany, że wraz z Majslem opuścili zamkowe podziemia i zdecydowanie wyszli poza obręb murów byłej siedziby cesarza, a obecnie Uniwersytetu Poznańskiego. Z jego gorączkowo czynionych, prowizorycznych obliczeń wynikało, że posuwają się podziemnym korytarzem na północ. Jeśli się nie mylił, musieli znajdować się gdzieś pod Ogrodem Różanym, a może nawet dalej, na wysokości gmachu Urzędu Ziemskiego, dawnej siedziby niesławnej Komisji Kolonizacyjnej<sup>[33]</sup> przy ulicy Fredry. Dawno temu, jeszcze za czasów rządów Wilhelma II, młody Zbigniew słynął w skautach ze świetnej orientacji w terenie. Nigdy nie zgubił się ze swoim zastępem podczas manewrów w Kobylnicy albo Puszczykowie. Tyle że wtedy prowadził swoich podwładnych w świetle dnia, z kompasem w dłoni. Teraz musiał się rozeznać w sytuacji, ukryty pod ziemią jak kret.

Szczyśliwym trafem murowany tunel, poprowadzony dziwnym zygzakiem, był na tyle wysoki, że nie musieli się schylać. Aż trudno im było uwierzyć, że na powierzchni miasta trwała zapewne ciepła letnia noc. Pod ziemią ciągnęło chłodem, który spowodował, że mimo posiadania kurtki, komisarz szybko zaczął pociągać nosem. W najlepszym wypadku zapowiadał się niezły katar.

Od jakiegoś czasu szacowny inżynier wyraźnie bojkotował współpracę. Albo dawały mu się we znaki trudy tej nocy, albo po prostu nieźle się wystraszył własnego odkrycia. Tak czy owak, szedł za Kaczmarkiem coraz wolniej, marudząc coś pod nosem.

– Panie władza, może lepiej by było zawrócić? – usłyszał znowu komisarz.

– Posłuchaj, Majsel – zirytował się Kaczmarek. – Czujesz ten cholernie zimny wiatr?

– No... tak.

– No właśnie. Skoro jest tu przeciąg, to znaczy, że gdzieś tam przed nami jest drugi koniec tego korytarza.

– Niby tak...

– A więc gdzieś na pewno wyjdziemy, człowieku – pocieszył malkontenta śledczy.

– Tylko kiedy?

– To już wiedzą tylko ci wysoko nad nami – podsumował nieco patetycznie Kaczmarek.

Zupełnie nie w swoim stylu, bo nigdy nie należał do ludzi przesadnie nabożnych.

Majsel tego nie wiedział, przyjął więc wypowiedź Kaczmarka za dobrą monetę. Szedł nadal przed siebie, jednak wyraźnie powłócząc nogami.

Przed nimi i za nimi były ciemności, ale nagle – gdzieś od przodu – powiało ku nim jakby cieplejszym powietrzem.

– O! Czujesz to? – Kaczmarek zatrzymał się, by klepnąć nadspodziewanie serdecznie starego w plecy. – Coś mi się zdaje, że jesteśmy bliżej końca, niż pan myślisz...

Ta uwaga jakby dodała Majslowi sił. Przyspieszyli kroku, ponagleni dodatkowo słabnącym nagle światłem z latarki. Baterie były bliskie agonii. Kaczmarek za żadne skarby nie chciał stracić lampy w decydującym momencie. Na szczęście

zaraz za kolejnym zakrętem betonowa posadzka zaczęła się lekko unosić, a za dwoma następnymi – przeszła w wąskie schody! Po ich bokach ekspedycja badawcza w składzie Kaczmarek-Majsel dostrzegła solidnie wykonane balustrady, pamiętające pewnie jeszcze czasy pruskie.

– Jak myślisz, Majsel? Czy to już Cytadela?

Inżynier nie odpowiedział. Sapał ciężko za plecami Kaczmarka, najwyraźniej totalnie umęczony wydarzeniami ostatnich, jakże intensywnych w jego wydaniu godzin. Wizja wdrapywania się teraz w górę nie należała do przyjemnych, zwyciężyła więc w starym człowieku nad instynktem odkrywcy.

– Idź pan sam – wyszeptał do Kaczmarka. – Ja sobie wejść powoli... W swoim tempie...

– Nie potrzebujesz pan latarki?

– A po cholere mi ona?! – zeźlił się kompan komisarza. – Jak mam barierki, to dam sobie radę.

– Jak pan chcesz – podsumował Kaczmarek.

Nie chciał przyznać wprost, że propozycja Majsla bardzo mu odpowiadała.

Zostawił więc inżyniera w tyle i zaczął się szybko piąć po wyprofilowanych stopniach z betonu. Coraz bardziej anemiczne światło latarki w minimalnym już tylko zakresie pokazywało mu obrys kolejnych schodów. W końcu zgasło – akurat w momencie, gdy komisarz poczuł na twarzy podmuch doskonale wyczuwalnego, lipcowego powietrza.

Musiał być blisko wyjścia z podziemi, bo z każdym krokiem w górę robiło mu się cieplej. Zasapany Majsel został gdzieś daleko w dole, ale Kaczmarek przestał się już nim martwić. Wiedział, że stary sobie poradzi – teraz koncentrował się tylko na tym, co było ważne dla śledztwa. W końcu tylko dla niego wlaź pod ziemię!



Spocony i umorusany, parł w górę. Jeszcze cztery schody, jeszcze dwa – i nagle wyrznął głową w coś zimnego i twardego.

Było to tak niespodziewane, że uderzenie na moment go zmroczyło.

Gdyby nie chwycił się przytomnie poręczy, prawdopodobnie stoczyłby się w dół schodów, pociągając za sobą umęczonego Majsla.

– Co jest, do diabła?! – zdenerwował się. – Takie numery u końca drogi?

Masując obolałe czoło, przypomniał sobie nagle o pudełku zapalek, które zwędził poprzedniego ranka z gabinetu Kaisera. Potrzebował kilku zapalek na wykałaczki, a teraz ich nadmiar okazał się błogosławieństwem. Sięgnął do kieszeni spodni i szczęśliwy wydobył z nich tekturowe pudełko z draską. Chwilę później siarka zasyczała i chwiejny płomyczek rozjaśnił mrok.

Choć zapalka płonęła raptem kilkanaście sekund, Kaczmarek zdołał rozeznac się w sytuacji. Przed sobą, a raczej nad sobą miał ciężką, masywną pokrywę, zasuwającą wyjście z tunelu. Rdza przywodziła na myśl żelazo, ale pomiędzy nitami komisarz dostrzegł też fragmenty drewna. Musiała być to stara robota, w stylu i formie naśladowująca nieco neoromańskie detale z Zamku.

Pokrywa nie przylegała dokładnie do brzegów włazu, komisarz czuł wyraźnie ciepły podmuch z zewnątrz. To powiew powietrza zdmuchnął mu pierwszą zapalkę. A także dwie kolejne. W czasie, w którym oświetlały małą, klaustrofobiczną przestrzeń wokół włazu, zdołał ustalić, że zasuwka nie została w pełni dociągnięta do końca. Niewiele się namyślając, namacał palcami szparę, wcisnął w nią prawą dłoń i część lewej – i z całej siły swoich szerokich ramion pociągnął w przeciwną stronę.

Metaliczna skorupa zgrzytnęła przeraźliwie, ale ledwie drgnęła. Szpara powiększyła się ledwie o kilka milimetrów. Spróbował raz jeszcze, ale nie dał rady – to było zadanie ponad siły jednego, w dodatku działającego z dołu człowieka.

– Szlag by to trafił – syknął Kaczmarek.

Z dołu usłyszał postękiwanie, utrzymane w podobnej, tyle że bardziej wulgarnej tonacji. Był to znak, że niejaki Majseł właśnie nadrobił spóźnienie i dotarł do śledczego.

Kaczmarek odpalił o draskę kolejną zapałkę. Paliła się na tyle długo, by zobaczyć znowu spocone fizis starego technika i jego niechlujny, zaciągający moczem strój. I na tyle długo, by posiadacz zasikanych spodni zdążył obrzucić zaskoczonym spojrzeniem żelazną przegrodę, uniemożliwiającą im dalszy marsz.

Chwilę później drewniana drzazga zaskwierczała i zgasła. Znowu poczuli się jak we wspólnym grobie. A może raczej w grobowcu.

– Sam nie dałem rady – przyznał się Kaczmarek.

– Czekał pan, zdejmij tę jupkę[34]. Spróbujemy razem roztworzyć[35] to чудо...

Hol Urzędu Ziemskiego przy ulicy Fredry,  
kwadrans później, w samym środku nocy

Antoniemu Wandtke kleiły się oczy. W swojej położonej pod schodami na piętro stróżówce robił, co mógł, żeby tylko utrzymać głowę w pionie: a to podparł się lewym łokciem, a to prawym – wreszcie w akcie desperacji skierował na swoją

twarz ostry strumień światła z dość wrednie świecącej biurowej lampy. Wszystko na nic. Z każdą minutą, sekundą, z każdym tchnieniem coraz rozpaczliwiej wpadał w objęcia Morfeusza, skrzydlatego bożka snu. A wszystko przez trzecią już z rzędu nockę w potężnym, dostojnym gmachu Urzędu Ziemskiego. Jego jedyny nocny zmiennik Alojzy Frąckowiak zaniemógł, powalony przez grypę, więc Wandtke, chcąc nie chcąc, musiał sam ciągnąć ten niewdzięczny wózek. Już za drugim razem czuł się nieswojo, ale trzecia kolejna nocka to – mimo dziennych „odsypianek” – było stanowczo ponad jego siły. Snuł się po ciemnych korytarzach majestatycznego gmachu jak duch, ciągnąc coraz wolniej nogę za nogą. Aż w końcu opadł bez sił na krzesło w stróżówce, a z dawna wystygła herbata w szklance – trzecia tej nocy – nie podniosła już jego możliwości fizycznych. Właśnie raz, a nieodwołalnie wszedł w fazę marzeń sennych, jego ramiona zmiękły, a jego głowa opadła z miękkim mlaśnięciem czoła na blat stolika. I tylko wykrzywiona w górę lampa za plecami śpiącego rzucała na ścianę snop światła, w którym ewidentnie zabrakło cienia.

Naraz po głuchych dotąd korytarzach poniósł się przeraźliwy zgrzyt. Zupełnie, jakby nagle po ścianach lub posadzkach budynku przejechał gigantyczny, ostry brzeszczot. Albo monstrialny pilnik.

Wandtke zrazu nie zareagował. Chrapał w najlepsze, nieświadomy głośnej rewolucji, jaka zdawała się następować. Kiedy jednak potworny rumor ponownie pogwałcił nocną ciszę, do resztek świadomości stróża dotarło, że wokół dzieje się coś niedobrego. Jego lewe oko łypnęło niechętnie przez szybę stróżówki na korytarz, by przynaglić prawą powiekę do poderwania się w górę.

– Co jest, do jasnej Anielki? – warknął wściekły nie wiadomo na co, a może raczej na kogo. – Kogo to diabli niosą?

A diabli rzeczywiście kogoś nieśli, i to w spektakularnym stylu, który zbudziłby ze snu nawet zmarłego, o skromnym strózu nie wspominając. Koszmarny metaliczny zgrzyt spotęgował się do tego stopnia, że wystraszony Wandtke wypadł ze stróżówki na korytarz, z chaotycznie szamoczącym się w piersi sercem rozglądając się w panice za miotłą albo innym sprzętem, który od biedy mógłby posłużyć mu za broń.

Nie zdążył jednak nic znaleźć, bo oto w drugim końcu korytarza pojawiły się nagle dwa duchy. Jeden z nich – gruby i raczej zniszczony życiem – ledwo ciągnął za sobą nogi. Drugi, zdecydowanie młodszy i energiczniejszy, ciągnął za to kompana za kołnierz, przynaglając go do szybszego marszu. W mroku korytarza obie zjawy wyglądały jak mocno zakurzone postaci z jakiegoś pomnika, które nie wiedzieć czemu nagle opuściły cokół i przyszły przywitać się z nocnym stróżem...

Przezorny Wandtke przeżegnał się nabożnie. Mimo swoich pięćdziesięciu wiosen nigdy czegoś podobnego nie doświadczył.

To koniec – pomyślał samokrytycznie. Pora wreszcie skończyć z degustacją kobylepolskiego Kozięła<sup>[36]</sup> na służbie...

– Panie starszyyyy! – krzyknął młodszy z duchów, a echo poniosło jego słowa po gmaszysku jak pociski. – Panie starszy, gdzie my jesteśmy?!

Z wrażenia stróża zatkało. Stał jak posąg soli, a jego przerażone oczy rejestrowały zbliżanie się obu zjaw w niemym zdumieniu.

– Co jest? Języka pan zapomniałeś w gębie?! – pieklił się młodszy z przybyszów. – Panie starszy, czy to nie jest przypadkiem...

Młodszy z duchów doszedł do miejsca, w którym nagle otworzył mu się widok na pograżony w mroku, kwadratowy

i osłonięty z góry szklanym dachem dziedziniec – i zrozumiał, gdzie jest. Klepnął się z satysfakcją po udzie i wydał triumfalny okrzyk:

– Ha!

Zupełnie, jakby zjawą doszła właśnie do jakiegoś odkrywczego wniosku.

Stróż Wandtke niewiele z tego rozumiał, ale trzask dłoni ducha po nodze wydał mu się jednak cokolwiek materialny. Więc to jednak byli ludzie!

Starszy z niespodziewanych gości szturchnął tymczasem tego młodszego i, wpatrując mu się głęboko w oczy, zapytał:

– Kolego komisarzy, a obiecane piwko?

[31] Heinrich Schliemann (1822–1890) – niemiecki archeolog, odkrywca m.in. Troi i Myken.

[32] Masz pan fefry? (gwara pozn.) – Boisz się pan?

[33] Gmach Hakaty, obecnie Collegium Maius UAM przy ul. Fredry.

[34] Jupka (gwara pozn.) – kurtka.

[35] Roztworzyć (gwara pozn.) – otworzyć.

[36] Jedno z piw produkowanych w okresie międzywojennym w browarze Mycielskich na Kobylimpolu.



## 5. A nie mówiłem, Biniu?

Ta noc była koszmarem.

Skrepowane dłonie straciły czucie, a niewygodna pozycja na fotelu ostatecznie pognębiła z dawna schorowany kręgosłup, skutkując morderczym bólem w lędźwiach.

Z powodu narastającego bólu nie zmrużył oka. Gdy tylko przez wąską szparę w zabitym deskami okienku dostrzegł szarość brzasku, zaczął się modlić. Z każdym kwadransiem pacierz przybierał na gorliwości i sile, zajmując jego myśli wyłącznie kwestiami wiary.

Modlił się o lepszą jutrznię, o wytrwanie i o nadzieję.

Niezachwiana nadzieja była mu bardzo potrzebna. Prawdopodobieństwo szybkiej odsieczy wyliczył na zaledwie dziesięć procent.

Poznań, nadal noc z 1 na 2 lipca 1931 roku,  
w okolicy Zamku Cesarskiego

Obiecane piwko Majseł wypił zapewne sam. Dwa złote, które wręczył mu komisarz z wdzięczności za znaczący wkład

w śledztwo, wystarczyły zapewne na co najmniej pięć kufli u „Rydzia”. Kaczmarek nie dbał jednak o to, co stary wykolejony inżynier zrobił z nagrodą – zdecydowanie ważniejsze były teraz kolejne kroki w śledztwie.

Jeszcze tej samej nocy komisarz postawił na nogi policyjnych techników. Około godziny trzeciej ekipa stawiała się na Zamku, w gabinecie profesora Krygowskiego. Kaczmarek wskazał podwładnym tajemne przejście i nakazał drobiazgowo zbadać każdy metr tunelu, prowadzący do piwnicy gmachu Urzędu Ziemskiego. Uzbrojeni w potężne reflektory, weszli do ukrytego korytarza niczym do starożytnego labiryntu, gotowi w każdej chwili spotkać Minotaura. Komisarz nie miał ani odrobiny litości dla ziewających specjalistów z zespołu aspiranta Grzegorza Anioły. Uśmiechał się złośliwie, widząc ich z lekka niezborne, ociężałe ruchy.

– I coście tam naśrupali?<sup>[37]</sup> – zapytał Aniołę pół godziny później. – Macie coś ciekawego?

Aspirant skrzywił się, jakby usłyszał coś bardzo nieprzyjemnego.

– Niespecjalnie – przyznał niechętnie. – W korytarzu ciasno jak cholera, ale dziwnym trafem bandyci nie zostawili żadnych pierwszorzędnych śladów.

– A drugorzędne? – zmarszczył brwi Kaczmarek.

– E... Też ich brakuje. Musieli dobrze przygotować się do tej operacji.

– Z czego to wnioskujesz, Grzesiu?

– Wydaje mi się, panie komisarzu, że świetnie znali tę trasę. Wiedzieli, gdzie i kiedy są schody czy decydujące zakręty. W przeciwnym wypadku – nawet zakładając, że posługiwali się jakimś źródłem światła – musieliby zahaczyć o jakiś kant albo obetrzeć rękawy o ściany. Tym bardziej że targali ze sobą spore ciało. To znaczy – Anioła szybko zmiarkował się, że



wypowiedział się w tonie zbyt pesymistycznym – chciałem powiedzieć: szanownego pana profesora.

– My z Majslem poobdzieraliśmy sobie odzienie na ramionach – mruknął Kaczmarek sam do siebie.

– Słucham?

– Nic, nic... Pracujcie dalej, Grzesiu. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że te dranie nie pozostawiły kompletnie żadnych śladów. W końcu nie były to mory<sup>[38]</sup>. Ktoś musiał dźwigać profesora. Ktoś z krwi i kości. To naprawdę niełatwe w tych egipskich ciemnościach...

– Święta prawda, panie komisarzu. Dlatego sądzę, że drogą tą posłużył się ktoś, kto świetnie ją znał. I wiedział, jak lawirować z... profesorem.

– Właśnie – zgodził się Kaczmarek.

Lubił pracować z Aniołą. Główny technik z komendy przy Ratajczaka był człowiekiem niezwykle drobiazgowym i wręcz pedantycznym. W jego specjalizacji cechy te – w połączeniu z cierpliwością, której akurat Kaczmarkowi czasem brakowało – przynosiły wspaniałe efekty.

– No, wracaj do swoich. – Komisarz wysłał znowu Aniołę do tajnego korytarza, a sam oparł się o ścianę gabinetu profesora i zebrał myśli.

Jemu bynajmniej nie chciało się spać. Dzięki odkryciu Majsla adrenalina buzowała w nim na takim poziomie, że mógłby teraz w środku nocy ruszyć na piechotę do Holandii, w której skrył się po wojnie światowej Wilhelm II Hohenzollern, i z marszu przesłuchać Jego Majestat w sprawie tajnego przejścia w Zamku. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że były władca zabezpieczył się niegdyś w ten sposób na wypadek nagłej, a niespodziewanej agresji na jego siedzibę. Tym samym plotki, jakie Kaczmarek słyszał od dzieciństwa – a które huczały w ostatnich kilkunastu latach

na podwórkach od Garbar po Jeżyce – okazały się prawdziwe. Z tą wszakże różnicą, że podziemny tunel nie prowadził wcale na Cytadelę – tylko znacznie bliżej, do ówczesnego budynku Komisji Kolonizacyjnej. Dla uratowania życia cesarza dystans do przebycia wydawał się zupełnie wystarczający. Skąd jednak o tej przemyślnej drodze ewakuacyjnej wiedziały zbiry, które zasadziły się na szanownego profesora matematyki?

– Borowczak?!

– Słucham pana komisarza! – Zza drzwi gabinetu wychynęła natychmiast głowa starszego przodownika.

– Smaruj po tego wywijasa z Urzędu Ziemskiego.

– Chodzi panu komisarzowi o tego nocnego stróża?

– Taaaa jest! Przyrowadź go zaraz do mnie do Prezydium! Tylko żeby był na pewno przytomny, rozumiemy się?

## W Prezydium Policji, czwartek 2 lipca 1931 roku, nad ranem

Obawy o kondycję Antoniego Wandtke okazały się całkowicie bezpodstawne. Stary cerber aż trząśł się z emocji, kiedy Borowczak posadził go na krześle przed biurkiem komisarza. Było wykluczone, by w trakcie przesłuchania cieć nagle stracił wątek i zwyczajnie zasnął. Zachodziła raczej obawa, czy jego sterane serce wytrzyma trudy konfrontacji z gniewnym obliczem śledczego.

– Panie Antoni. – Kaczmarek zaczął nieco jowialnie, licząc na rozluźnienie atmosfery. – Rozumiem, że wydarzenia ostatnich godzin mogły lekko wyprowadzić pana z równowagi...

– Lekko! – sarknął staruszek. – Dobre sobie!

– No właśnie... Chciałbym pana serdecznie za nie przeprosić. Proszę jednak zrozumieć, że nie pojawiliśmy się na pana „włościach” dla draki czy rozrywki. Proszę mi wierzyć: prowadzimy bardzo ważne śledztwo, którego stawką jest los, być może nawet życie, niezwykle szanowanego obywatela tego miasta. Więcej powiedzieć nie mogę...

Podkrążone oczy dozorczy rozszerzyły się, jakby dopiero co łyknął smolistej kawy.

– Był atak na prezydenta? – wypalił znieczeka.

– Panie Wandtke, wybaczy pan, nie podejmę takiej rozmowy. Liczę natomiast, bardzo liczę, na to, że pańskie wskazówki czy spostrzeżenia pomogą nam dotrzeć do przestępców, których szukamy.

– Ale jak?

– Powolutku, szanowny panie. Powolutku!

Kaczmarek podniósł się zza biurka, ominął chudą sylwetkę stróża i podszedł do okna. Nad zdobną w tympanony linią dachu Bazaru wznosiła się właśnie czerwona kula słońca, rzucając złociste promienie na gładką powierzchnię Plajty<sup>[39]</sup>. Długie cienie rzucane przez latarnie sygnalizowały, że czwartek drugiego lipca rodzi się właśnie w bólach wczesnego poranka. Drugiego lipca! Gdzieś tam, w swoich mieszkaniach, miejscy decydenci właśnie budzą się, by rozpocząć kolejny dzień pracy – i by skontrolować efekty pracy takich „średniaków”, jak on, Zbigniew Kaczmarek. Choć komisarz o swój rachunek był spokojny, poczuł nagle ból w skroni. Nieprzespana noc po raz pierwszy dała o sobie znać.

– Wie pan co, panie Antoni? – Kaczmarek odwrócił się z uśmiechem do dozorczy. – Co by pan powiedział na dobrą policyjną kawę?

– A i owszem – zgodził się Wandtke, powstrzymując się od ziewania.

– Borowczak! Dwie kawy, ale na jednej nodze!

– Dwie czarne?

– Jasne, że czarne, huncwocie! Byle szybko!

Chwilę później na blacie biurka dymiły z policyjnych kubków dwie aromatyczne kawy brazylijskiej marki Santos. Fakt ten bardzo podniósł na duchu nocnego strażnika. Już po kilku ostrożnych łykach gorącego wywaru na policzkach starszego pana wykwitły świetnie zauważalne rumieńce.

– No, teraz można pracować. – Kaczmarek usiadł znowu za biurkiem, częstując Wandtkego kostką cukru z pudełka. – A więc, drogi panie Antoni...

– Tak?

– Od jak dawna pracuje pan w Urzędzie Ziemskim jako stróż?

– Od dwóch lat, panie szanowny. Dorabiam sobie...

– Rozumiem. Wygląda pan na mocno przemęczonego tą pracą.

– E! Tak się zbiegło, że ostatnie trzy nocki sam ciągnę. To i jestem wypruty.

– Trzy noce z rzędu? Czyli poprzednia noc była już drugą pańską nocką z rzędu na służbie?

– Zgadza się. – Dozorca siorbnał gorącej kawy.

– Bo widzi pan, ja chciałem właśnie porozmawiać z panem o tej drugiej nocy. O nocy z wtorku na środę. A więc z 30 czerwca na 1 lipca.

– Proszę bardzo, panie komisarzu. – Ręce Wandtkego jakby przestały drżeć.

– O której przyszedł pan we wtorek do pracy?

Dozorca podrapał się w siwą głowę.

– To było po siódmej wieczorem. No, o siódmej trzydzieści. Bo się bimba zepsuła i musiałem kawałek podejść.

– Czy był pan odpowiednio wypoczęty?

– Odespałem co nieco poprzednią nockę w domu. Ale wie pan... To nie to samo, co normalna gara<sup>[40]</sup>.

– Chce pan powiedzieć, że nie był pan w najwyższej formie?

– A co to znaczy, proszę pana?

– No... Że szybko był pan senny. Albo że chciało się panu spać. I raz czy drugi zmrużył pan oko...

Wandtke poczuł się dotknięty.

– Panie komisarzu, ja swoje obowiązki znam i...

– Panie Antoni, nie ma się co denerwować – uspokoił go natychmiast Kaczmarek. – Tylko że biologia ma swoje nieubłagane prawa. To nic złego w pana wieku, że po jednej nieprzespanej nocy organizm domagać się będzie odpoczynku.

– Ale do czego... do czego pan właściwie zmierza, panie komisarzu?

Policjant uśmiechnął się z wyrozumiałością.

– Zmierzam do tego, że tamtej nocy na kontrolowanym przez pana terenie wydarzyło się coś ważnego. A pan z jakichś względów tego nie zauważył albo nie usłyszał.

– Ale jak to? Co się niby wydarzyło? – zaniepokoił się znowu Wandtke. – Ja nic takiego nie pamiętam...

– No właśnie, panie Antoni. – Kaczmarek mrugnął do starego mężczyzny. – No właśnie. Proszę się przyznać: naszła pana gara, dlatego nic pan nie zauważył...

Twarz stróża oblała się purpurą. Mężczyzna musiał być przyzwoitym człowiekiem, skoro tak właśnie zareagował.

– No... Może raz czy dwa mnie gara przydusiła... – wyznał, błędząc wzrokiem po podłodze gabinetu. – Ale tylko na pół godzinki... No, może godzinę...

– O której to było, panie szanowny?

Cieć zasepił się. Widać było, że po trzech nieprzespanych nocach z rzędu jego mózg pracuje na zwolnionych obrotach.

– Chyba zaraz na początku. Gdzieś około dziesiątej wieczorem... Jak się ocknąłem, było przed dwunastą.

To by pasowało – skonstatował szybko w myślach komisarz. Profesora porwano gdzieś pomiędzy dwudziestą pierwszą a siódmą trzydzieści rano dnia następnego, gdy asystent Szamotulski odkrył dowody uprowadzenia. Wszystko wskazywało jednak na to, że do ataku na Krygowskiego doszło jeszcze przed północą, gdy pochylony nad biurkiem rozwiązywał swoje ukochane zadania. Gdyby napaść nastąpiła później i profesor by spał, w gabinecie nie zostałyby żadne ślady oporu z jego strony.

– I nic pan nie widział? Ani nie słyszał?

– A co miałbym niby usłyszeć? – zainteresował się cerber z Urzędu Ziemskiego.

– Hałas podobny do tego, który wywołaliśmy z Majslem następnej nocy.

– Z kim?

– Nieważne, panie Antoni. Słyszał pan podobne zgrzyty? Aż mi się nie chce wierzyć, że pana nie obudziły.

– Kiedy naprawdę... Nic a nic nie słyszałem!

– A czy wiedział pan o istnieniu podziemnego przejścia do Zamku?

– W życiu, panie komisarzu.

– A w piwnicy urzędu pan bywał?

– W trakcie obchodu tam nie zaglądałem, bo i po co?

– A tę ciężką zasuwę pan widział?

– Tę nad przejściem? No tak, widziałem ją kiedyś raz czy drugi. Zawsze jednak była zablokowana żelazną sztabą. Więc nikogo nie kusila, mnie też nie.

– A pański zmiennik? Jak on się nazywa?

- Frąckowiak. Alojzy Frąckowiak!
- A on znał tajemnicę tej zasuwy?  
Wandtke zrobił wielkie oczy.
- Nie mam pojęcia, panie komisarzu. Proszę go o to zapytać.

## Tymczasem na Jeżycach, szósta z minutami

Podinspektor Zygfryd Kayser przebudził się z niewielkim kacem – i znacznie potężniejszym poczuciem winy. Zdawał sobie sprawę, że poprzedniego wieczoru pozwolił sobie na chwilę słabości. Wprawdzie schłodzona anyżówka w rozsądnych ilościach zawsze działała na niego stymulująco, pomagając otrząsnąć się z paraliżującej presji przełożonych; tyle tylko, że poprzedniego dnia w „Esplanadzie” Kayser odrobinę przesadził. Zaraz jednak usprawiedliwił się sam przed sobą stresem, który zżerał go od wewnątrz, zwłaszcza po przykrej rozmowie z prezydentem Ratajskim. Poczucie winy przynagliło go do poderwania się z pościeli, narzucenia strojnego szlafroku w srebrne pasy i zabrania się za wczesne śniadanie.

Starokawalerski żywot Kaysera miał tę zaletę, że po wieczorach takich jak ostatni nikt nie bręczał<sup>[41]</sup> mu nad uchem, że jest pijak i moczymorda. Dzięki temu szybko doszedł do względnej równowagi duchowej i intelektualnej. Popijając kawę i przegryzając suchary, zastanawiał się, czy jego podwładny zdołał cokolwiek ustalić. Czy Kaczmarek dotarł do człowieka, który znał architektoniczne tajemnice Zamku? Jak mu tam było? Dynks czy Majseł?

O wpół do siódmej wyrzął na korytarz i ucieszył się, bo w skrzynce przy jego drzwiach czekała już złożona w pół świeża gazeta. Zasiadł zadowolony na sofie i rozłożył przed sobą „Kuriera Poznańskiego”.

Zaraz potem znowu poczuł się słabo.

Na pierwszej stronie bił w oczy tytuł, którego miał nadzieję nigdy nie zobaczyć:

## TAJEMNICZE ZAGINIĘCIE PROFESORA. POLICJA BEZRADNA

– A niech ich szlag! – zaklął i chcąc nie chcąc, zatopił się w lekturze artykułu.

Autorem był niejaki Grabski, zdaje się młody pistolet w starej redakcji. Kayser gdzieś już słyszał to nazwisko. Nie miał jednak czasu, by zastanawiać się nad tym gdzie.

*Do sensacyjnego zdarzenia natury zapewne kryminalnej doszło w nocy z wtorku na środę na terenie Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Poznańskiego – donosił „Kurier”. – Jak dowiadujemy się z miarodajnych źródeł, w pomieszczeniach Zamku doszło do pożałowania godnego czynu o charakterze terrorystycznym: do uprowadzenia powszechnie szanowanej osoby byłego dziekana tegoż wydziału i wybitnego matematyka, prof. Zdzisława Krygowskiego. Ostatnią osobą, która widziała go we wtorek 30 czerwca w godzinach wieczornych, był asystent naukowca, dr Albin Szamotulski. Wczoraj korespondent „Kuriera” był świadkiem działań śledczych, podjętych na miejscu tajemniczych zdarzeń przez Policję Państwową. Kilku funkcjonariuszy Wydziału Śledczego komendy miejskiej stawilo się nad ranem w gabinecie prof. Krygowskiego. Prowadzący ekipę śledczą komisarz Zbigniew Kaczmarek*



*zachował się nadzwyczaj arogancko, odmawiając nam komentarza na temat porwania. Powiedział jedynie: „To niczym niepoparte plotki”...*

No! Chociaż Biniu wiedział, jak w tym wszystkim się zachować! – ucieszył się w nieszczęściu Kayser.

Oddychał ciężko, nie mogąc się pogodzić z przeciekiem. Wiedział, że teraz będzie dużo trudniej – od tej chwili przyjdzie im wszak pracować pod naciskiem opinii publicznej. To, co jeszcze wczoraj wieczorem było tajemnicą, dziś stało się sensacją dnia i z pewnością awansowało na pierwszorzędnny temat ulicznych dysput. Oczami wyobraźni podinspektor już widział te rozgorączkowane głowy w kawiarniach takich, jak „Esplanada”, „Pod Kaktusem” czy „Grand Café”<sup>[42]</sup>. „Skandal! Policja została okpiona! W Zamku, niemal pod jej nosem, porwano profesora! A teraz próbują udawać, że nic się nie stało! Wstyd i hańba!...” – huczało w głowie Kaysera – i nie był to wcale katzenjammer<sup>[43]</sup>. Szef Wydziału Śledczego w lot zrozumiał, że śledztwo w sprawie zniknięcia profesora Krygowskiego zostało mocą dziennikarskiego druku wywyższone do rangi sprawy, którą żyje całe miasto.

Było mu z tym ciężko. Kawa i suchary przestały mu nagle smakować. Najchętniej cisnąłby kubkiem o ścianę pokoju i wyrzucił jedzenie za okno. Te cholerne pismaki! Co oni sobie, do diabła, myślą? Że Biniu zachował się „nadzwyczaj arogancko”? Że im wszystko wolno, nawet ferować wyroki, kiedy śledztwo dopiero nabiera rozpędu?

No właśnie, czy na pewno nabiera?

Zaraz potem podinspektor przypomniał sobie znowu, że jego najbliższy podwładny wyruszył ostatniej nocy z bardzo odpowiedzialną misją. Czy udało mu się popchnąć sprawę do przodu?

– Cholera, trzeba to sprawdzić!

## Prezydium Policji, czwartek 2 lipca 1931 roku, w tym samym czasie

Gdy Zygfryd Kayser porzucił lekturę „Kuriera” i wylał do zlewu z nagłą gorzką kawę, jego podwładny Zbigniew Kaczmarek był już dawno po kolejnym przesłuchaniu. Bez litości dla mocno zakatarzonego Alojzego Frąckowiaka ściągnął go policyjnym fiatem do Prezydium Policji, ale dla własnego bezpieczeństwa usadził stróża w odległym rogu gabinetu. Nie zamierzał bowiem rozchorować się w środku upalnego lata. A już tym bardziej zafundować takiej niespodzianki Loni.

Frąckowiak nie wniósł do sprawy nic przełomowego. Przyznał, że „od zawsze” wiedział o istnieniu tajemniczego wjazdu w piwnicy Urzędu Ziemskiego, ale nigdy nie kusiło go, by sprawdzić, co kryje się za żelazną zasuwą, zwykle zamkniętą na trzy spusty. Owszem, nocny stróż słyszał tu i ówdzie plotki o „jakichś podziemiach po Hakacie”, ale prawdę mówiąc, nigdy nie pchał nosa w nie swoje sprawy. Nie potrafił nawet odpowiedzieć na pytanie, kto sprawuje nadzór nad tajnym wejściem – nie wiedział zresztą, że do tunelu.

Schorowany cieć i jego zmiennik zostali rychło zwolnieni – Kaczmarek był na tyle honorowy, że nakazał Rogali odwieźć psikającego wokół Frąckowiaka do jego mieszkania na Górczynie. Zaraz potem otworzył szeroko okno gabinetu i wyszedł, pozwalając ewentualnym zarazkom opuścić swoje lokum. W tym samym czasie w pełnej szczęśliwości

spalaszował gorącą kaszanke z cebulką w dopiero co otwartej stołówce na parterze komendy,

Kwadrans po siódmej do Prezydium wpadł jak bomba podinspektor Kayser. W ręce gniótł najnowsze wydanie „Kuriera”, a wzrokiem ciskał wokół pioruny. Wyglądał jak gniewny grecki bóg wojny, co zupełnie nie przystawało do jego z reguły flegmatycznego usposobienia.

– Kaczmarek! – ryczał od progu. – Kaczmarek do mnie!

Przestraszony posterunkowy Schuppke schował się za pulpitem stróżówki, ani myśląc szukać komisarza. Na szczęście poszukiwany napatoczył się sam, ciągle w tej samej skromnej jupe, w której dokonał nocnego odkrycia. Jego błogi wyraz twarzy wprost rozsierdził Kaysera.

– Biniu, do jasnej Anielki! Gdzie jesteś, jak ciebie wołam!

Anyżówka – pomyślał Kaczmarek, usiłując zachować spokój. Tak właśnie zachowuje się człowiek z poczuciem winy, w dodatku ciągle pod wpływem alkoholu.

– Słucham, szefie – odpowiedział łagodnym tonem.

– Szybko do mnie! – rozkazał Kayser i wskoczył na schody.

Mimo trudów nocy, Kaczmarek podążył ochoczo za przełożonym.

Gdy zamknęli się w gabinecie, Kayser rzucił na blat swojego biurka zmiętą płachtę „Kuriera”.

– Zobacz, jak nas obsmarowali! – poskarżył się.

Komisarz przebiegł szybkim wzrokiem sensacyjny tytuł i kilka pierwszych zdań informacji. W morzu dalszych słów wyłowił szybko własne nazwisko. „*Prowadzący ekipę śledczą komisarz Zbigniew Kaczmarek zachował się nadzwyczaj arogancko, odmawiając nam komentarza...*” Hm, w zasadzie była to prawda. Gówniarz Grabski przesadził tylko z tą arogancją... Kaczmarek złożył to na karb jego oślego wieku.

– I co ty powiesz, Biniu?! – Kayser tymczasem nerwowo nabijał swoją fajkę, którą wydobył z szuflady. – Czy oni nie pozwalają sobie na zbyt wiele?!

– W gruncie rzeczy nie napisali nic wielkiego – machnął ręką Kaczmarek.

Po wczorajszym, niemiłym incydencie z dziennikarzem spodziewał się tego artykułu, nie stanowił więc on dla niego żadnej niespodzianki.

– Ale zobacz! „Policja bezradna”! To się kwalifikuje na ostrą reakcję! Ostrą!

– E! – wydał wargi komisarz. – Kiedy to gówno prawda.

– Co powiadasz? Że gówno co? – Kayser omal nie udławił się pierwszym obłoczkiem dymu, który wciągnął nazbyt łapczywie w płuca i walczył teraz z łzami w oczach. – O czym ty w ogóle mówisz, Biniu?! Co ustaliłeś tej nocy?

Jedni żłopali wódeczkę, a inni pracowali – przemknęło przez głowę komisarza.

– Melduję posłusznie, że wiemy, jak porywacze uprowadzili matematyka – oświadczył z dumą w głosie. – Razem z niejakim Majslem dokonaliśmy epokowego odkrycia.

## Hotel Monopol, tego samego dnia kwadrans przed ósmą

Co by złego o nich nie mówić, pieczywo mają świetne – mruknął Erich Rüdiger, z niekłamaną przyjemnością chrupiąc kolejną już, czwartą bułeczkę, zwaną także tutaj – cokolwiek przewrotnie – kajzerką. Była wyborna: pachnąca świeżo

wypieczonym, delikatnym ciastem, pulchna w środku, a na zewnątrz pokryta bynajmniej nie twardą, za to kruchą skórką. Podwładni trenera jedli hotelowe śniadanie z równym apetytem, z animuszem rozcinając kolejne bułki i pakując w nie masło, plastry soczystej słonej szynki lub pleśniowego sera, w dodatku z kawałkami pomidorów. Ekipa niemieckich bokserów wyglądała w tym momencie jak grupa wycieczkowa, szykująca się do kolejnego, obfitego we wrażenia wypadu. I tylko bycze karki mężczyzn i ich nadzwyczaj szerokie bicepsy dawały kelnerom do zrozumienia, że nie obsługują turystów, lecz sportowców. W dodatku reprezentujących ukochany w Niemczech sport.

Rüdiger spoglądał z dumą na swoich mistrzów: masywnego Ziglarskiego, wygoloną głowę Berensmeiera, zaciętą minę Langa, szczupłe, acz umięśnione sylwetki Pierentza i Rennera, wreszcie na krępego Balla i spoglądającego na wszystko i wszystkich z wyższością Poltera. Tak, to oni, młodzi krzepcy chłopcy zbudują nowe, zdrowe, silne Niemcy – pomyślał z radością. – Niemcy, w których kult ciała będzie tak samo ważny jak kult ducha. W których nie będzie już nigdy miejsca na słabości i wątpliwości. I które zmyją hańbę Wersalu. Odzyskają utraconą dumę, prestiż i granice!

Trener skończył żuć pieczywo i popił ostatnią kajzerkę czarną kawą z cukrem. Jego myśli nieodparcie krążyły wokół nowych czasów, których nadejścia był więcej niż pewien. Jest! Już jest! Nareszcie na niemieckim firmamencie politycznym pojawił się człowiek, który gwarantował, że hańba klęski nigdy się już nie powtórzy. Który rozumie, że wielki naród wymaga wielkich celów – i wielkich czynów. Który wskaże drogę błądzącemu, zagubionemu narodowi niemieckiemu i wydobędzie go z dna zapaści. Znowu uczyni go wielkim – kto

wie, może największym na świecie. Wystarczy wierzyć i być cierpliwym.

Te dwie cnoty wyznaczały mu drogę na najbliższe lata, odkąd w maju 1929 roku zobaczył na własne oczy mistyka Hitlera. Tak, mistyka, był bowiem przekonany, że to człowiek o nadludzkich umiejętnościach, zesłany Niemcom przez Opatrzność. Nikt inny nie ma takiego daru porywania tłumów. Żaden inny człowiek nie potrafi tak magnetycznym, a jednocześnie tak bezemocjonalnym, zimnym wzrokiem przyciągać milionów wyznawców. Ten jeden jedyny człowiek, polityk przyszłości, ma właściwą receptę na słabość i letarg Niemiec. Tylko z nim ten uśpiony gigant zerwie marę snu i wstanie z kolan...

– Panie trenerze, co teraz?

Z rozmyślań wyrwał Rüdigera Hans Ziglarski. Potężny sportowiec pochyłał się nad stolikiem trenera z zafrasowaną twarzą.

– Wiadomo, Hans. Trening. Czas zapoznać się z miejscem walki – odpowiedział z lekko wymuszonym uśmiechem. – Tylko mi nie mów, że dziś jesteś niedysponowany. Mecz z Polakami to jedno, ale przecież za rok olimpiada! Przecież marzysz o medalu w Los Angeles<sup>[44]</sup>.

– Prawda. – Szeroką twarz Ziglarskiego rozszerzył szczery śmiech. – Dla medalu olimpijskiego warto się pomęczyć.

W Prezydium Policji, około ósmej rano

Euforia, w jaką wpadł podinspektor Kayser, szef Wydziału Śledczego policji w stołecznym mieście Poznaniu, przewyższała najwyższe szczyty Karpat. Pędząc do komendy, nie spodziewał się nawet, jak wielka niespodzianka go czeka. W jednej chwili poczuł, jak dobry los – a może raczej jego zdolny podwładny, pracujący wszak pod jego światłym kierownictwem – zdejmuje mu z ramion duszący ciężar. Nareszcie poczuł się panem sytuacji i odzyskał swój policyjny wigor.

– Genialnie, Biniu! – Zdobył się na niebywałą pochwałę Kaczmarka. – Wspaniale! To wreszcie daje mi, to znaczy nam, argument w rozmowach z magistratem. Taka wiadomość! Zaraz zadzwonię do prezydenta Ratajskiego. Niech wie, że policja nie próżnuje!

Na wspomnienie wieczornego zaangażowania szefa komisarz uśmiechnął się dyskretnie. Pod wpływem dobrych wieści anyżówka w jednej chwili wyparowała z głowy Kaysera. Dobre i to!

– Zanim szef zadzwoni, trzeba podjąć decyzję, co dalej – zaproponował Kaczmarek. – Technicy Anioły przedstawią nam niebawem wyniki swoich badań. Wydaje mi się, jeśli wolno, że powinniśmy wypracować hipotezę śledczą, a może nawet kilka hipotez, i konsekwentnie je weryfikować.

– Świetna myśl – podchwycił ochoczo Kayser. – Jaka jest zatem twoja hipoteza?

Komisarz spojrzał na surowe oblicze Piłsudskiego, wiszące nad głową podinspektora i zmarszczył brwi równie groźnie jak sportretowany Marszałek.

– Moja wersja jest stosunkowo prosta. Zakładam, że nieznanemu sprawcy w liczbie co najmniej dwóch wprowadzili szanownego profesora. Być może zrobili to dla okupu – odpowiedział.

Kayser spojrzał na podwładnego z niedowierzaniem.

– Tak po prostu? Tylko tyle?

– A ile? – odpowiedział dość bezczelnym pytaniem Kaczmarek.

Jego przełożony zaczął go właśnie irytować. Nie dość, że poprzedniego dnia zalał się w trupa, w niczym mu nie pomagając, to jeszcze teraz podważa jego wnioski.

– Biniu, spójrz na sprawę w szerszym kontekście! – Kayser wypuszczał z ust ku sufitowi jedną chmurkę dymu za drugą, z lubością gładząc fajkę. – Czy wizyta wysokiego rangą oficera Dwójki, denerwującego nas obu Ciężkiego nie uświadomiła ci, jak ważną personą był profesor Krygowski dla bezpieczeństwa państwa? To oczywiste, że jego zniknięcie musi mieć związek z tajną misją, którą wykonywał na prośbę czy życzenie naszego wywiadu.

– Dlaczego szef tak się upiera? – zdziwił się komisarz. – Ma szef jakieś dowody na poparcie swojej hipotezy?

Kayser strzelił palcami, odkładając cybuch na podstawek.

– Mam coś, co powinno nas zainteresować – oświadczył niespodziewanie. – Czy ty wiesz, że po Poznaniu kręci się podejrzana grupa Niemców?

– Dlaczego podejrzana? Jaka grupa?

– Widziałem ich wczoraj wieczorem, kiedy... eee, kiedy wracałem do domu. – Pewny głos Kaysera nagle nieco się załamał.

Kiedy szef był nie do końca przytomny – przemknęło przez głowę Kaczmarka.

– Tak? I co takiego robili ci Niemcy?

– Szli zwartą grupą obok Banku Cukrownictwa. I rozmawiali o jakiejś walce. Z Polakami!

– Walce?

– Ich lider, chyba ich wódz, perorował, że Polacy będą twardym przeciwnikiem. Bo poczynili ostatnio postępy.



*Fortschritte!*

*Ja, ja!* – pomyślał nie bez złośliwości Kaczmarek. Ewidentnie było widać, że jego szef nie jest na bieżąco z wydarzeniami w mieście.

– A czy przypadkiem... nie byli to ci sami Niemcy? – zgadnął rezolutnie, sięgając po „Kuriera” i otwierając go na stronie sportowej.

„WIELKI MECZ Z TRUDNYM PRZECIWNIKIEM. Już jutro nasza pięściarska reprezentacja zmierzy się w Poznaniu z Niemcami!” – głosił bity przez całą szpaltę tytuł.

Kayser pochylił się nad znienawidzoną jeszcze niedawno gazetą z zainteresowaniem. Na zdjęciu, zamieszczonym pod tytułem, dostrzegł bodaj ośmiu mężczyzn z walizkami, sfotografowanych niechybnie na peronie dworca głównego. Ich sportowe, prężne sylwetki wydały mu się nagle dziwnie znajome

– To oni! – wykrzyknął. – Wszystko jasne! Trzeba się im koniecznie przyjrzeć. Objąć ich kontrolą operacyjną!

## Chwilę później, w gabinecie podinspektora Kaysera

– Ale szefie, przecież to żaden dowód!

– Jak to? Krygowski pracował dla wywiadu? Pracował. A jak myślisz, przeciwko komu? Przecież nie przeciw Sowiecom.

– Ale na to szkoda czasu i atłasu!

– To jest trop, komisarzu Kaczmarek! Innego nie mamy – podinspektor Kayser zrobił się nagle bardzo zasadniczy, co nie

wróżyło dobrze dalszym losom dysputy.

– Panie podinspektorze! – Kaczmarek uznał, że musi odpowiedzieć w podobnym stylu. – Wybacz pan, ale to jest... mało odpowiedzialne.

– Komisarzu, pozwala pan sobie na zbyt wiele – zeźlił się Kayser. – Rozkazuję objąć ekipę niemieckich bokserów natychmiastową kontrolą! Mają być od rana do nocy inwigilowani! Proszę mi meldować o każdym ich ruchu.

– Kiedy...

– Ani mru-mru! Jestem przekonany, że obecność Niemców w Poznaniu akurat w momencie, gdy porwano profesora, nie jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Zresztą, bez urazy, Biniu, wpadłby na to każdy głupi...

– No właśnie – mruknął komisarz i zasepił się.

– Zaraz, zaraz... – Kayser jakby sobie nagle coś przypomniał.

– Jak to było z tym profesorem? Krew z rozbitej brwi, tak? A kto go tak załatwił? To przecież oczywiste, że jakiś bokser...

Kaczmarek załamał ręce. Nie mógł uwierzyć, co presja wysokich przełożonych uczyniła z tym dotychczas niezwykle opanowanym, wręcz flegmatycznym oficerem, który – co gorsza – był jego przełożonym.

– Po pierwsze, krew nie z rozbitej brwi, tylko z głowy – sprostował zaczepnym tonem. – A cała reszta wnioskovania jest, za przeproszeniem, o kant...

– No, no, no! – Kayser uniósł palec wskazujący w geście groźby. – Biniu, ostrzegam cię! Póki co ja tutaj rządzę! Póki co! I dlatego nakazuję objąć niemieckich pięściarzy ścisłym nadzorem. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

– Wystarczająco – warknął Kaczmarek.

W jednej chwili odechciało mu się wszystkiego. Nie poznawał, naprawdę nie poznawał swojego szefa! Owszem, Kayser często zachowywał się koniunkturalnie, w pierwszej

kolejności dbał o własny tyłek, ale to, co odstawił w ostatnich dwóch dniach, przechodziło ludzkie pojęcie. Komisarz miał tylko jedno wyjaśnienie tej sytuacji: Kayser panicznie bał się kompromitacji. Pewnie dlatego zachowywał się tak absurdalnie: wybierał najprościej, nie wysilając zanadto własnego intelektu.

– Skompletuj ekipę, niech zaraz namierzą Niemiaszków i zaczną ich śledzić. Ja tymczasem zadbam, żeby na wszystkie punkty graniczne wyszła jasna, precyzyjna informacja o możliwej próbie nielegalnego przetrzutu profesora do Niemiec. Postawię też na nogi wszystkie komendy w przygranicznych powiatach. – Kayser z każdym wydawanym poleceniem coraz mocniej wierzył w słuszność obranej przez siebie drogi. – Raporty od was chcę otrzymywać regularnie co dwie godziny. Sytuacja jest na tyle nadzwyczajna, że musimy mieć Niemców ciągle na oku.

– A inne działania? – zaryzykował pytanie Kaczmarek.

– Mogą poczekać. – Kayser był już na tyle spokojny i zrelaksowany, że sięgnął po swoją ukochaną fajeczkę. – Coś czuję, że z tej naszej obserwacji wynikną ciekawe wnioski.

– Tak jest – sapnął bez entuzjazmu Kaczmarek i ruszył w stronę drzwi.

W tym momencie ktoś w nie zapukał.

– Wejść!

W drzwiach stanął aspirant Grzegorz Anioła, szef ekipy techników. Wyglądał na zmęczonego, ale jego oczy zdradzały jakieś podniecenie.

– Macie coś? – Kaczmarek doskonale widział, że Anioła niesie ważną wiadomość.

– Melduję posłusznie, że w tunelu pod Ogrodem Różanym znaleźliśmy zapałki.

– Zapałki? Wypalone, czy jak? Ile sztuk?

– Melduję, że mamy całe pudełko.  
– O! To już coś! A co to za zapałki?  
– Niemieckie, panie komisarzu. Wyprodukowane w Schneidemühl[45]...

Za plecami komisarza rozległo się radosne klaśnięcie w dłonie.

– A nie mówiłem, Biniu? – Kayser aż promieniał ze szczęścia.  
– Brawo, Anioła! Brawo! Nareszcie nasze śledztwo wskoczyło na właściwe tory!

[37] I coście tam naśrupali? (gwara pozn.) – Coście tam wyskrobali?

[38] Mory (gwara pozn.) – zmory, mary.

[39] Popularne w dwudziestoleciu międzywojennym gwarowe określenie pl. Wolności w Poznaniu.

[40] Gara (gwara pozn.) – sen.

[41] Nie bręczał (gwara pozn.) – nie marudził.

[42] Pod Kaktusem, Grand Café – popularne w przedwojennym Poznaniu kawiarnie, obie przy pl. Wolności.

[43] Katzenjammer (niem.) – potocznie: kac.

[44] Hans Ziglarski – pochodzący z Białegostoku reprezentant Niemiec został w Los Angeles srebrnym medalistą w kategorii koguciej.

[45] W okresie międzywojennym niemiecka nazwa Piły.



## 6. Tylko godne oferty

Przebudzenie nie należało do szczególnie przyjemnych.

Pierwsze, co poczuł, to potworny ból. Skrępowane kończyny zdawały się wprost pulsować męką. Prawdziwe katusze nastąpiły jednak wtedy, kiedy uniósł pochyloną przez pół nocy głowę i wzdłuż jego steranego nienaturalną pozycją kręgosłupa przeszła paraliżująca, elektryczna iskra.

*Ecce homo*[\[46\]](#) – przeszła mu przez udręczony mózg pokorna maksyma.

Bolało go dosłownie wszystko: odrętwiałe, zimne nogi, skatowane biodra, umęczone plecy, wykręcone ramiona. Dużo by dał, żeby choć na moment móc wstać z tego fotela katuszy i rozprostować członki. Usłyszeć znowu własny, starzejący się już organizm: zdrowy, niczym niezakłócony obieg krwi w tętnicach, miarową pracę serca.

I właśnie kiedy rozmyślał, czy to w ogóle realne, usłyszał czyjeś ciężkie kroki. A potem ktoś zabrał się za kłódkę i zgrzytnął starymi drzwiami.

Ktoś stanął w wejściu.

Choć ich nie widział, wiedział, że znowu jest ich dwóch. Mężczyźni szybko podeszli do jego fotela. Jeden z nich schylił się nad nim i szybkim ruchem uwolnił dłonie więźnia. Wyszarpnął mu także knebel. Nie zdecydował się wszakże na zdjęcie mu opaski z oczu.

- Śniadanie – powiedział ten, od którego cuchnęło tytoniem.
  - Nie wygłupiaj się, dziadku, to się najesz. Jasne?
  - Jasne – odpowiedział im posłusznie.
- Pusty żołądek dopominał się o swoje, a z głowy wywierały myśli o buncie.
- Panowie, ja musiałbym na stronę – powiedział tylko.
- Zapadła chwila ciszy. Wyobraził sobie, że konsultują się na migi, co zrobić.
- Po śniadaniu coś się załatwi – usłyszał chrapliwy głos drugiego z porywaczy.
- Mimo wszystko wziął to zapewnienie za dobrą monetę.

## Gabinet rektora Uniwersytetu Poznańskiego w Collegium Minus, kwadrans przed dziesiątą

Komisarz czuł się cokolwiek nieswojo. Ze ścian spoglądali bowiem na niego wszyscy dotychczasowi rektorzy młodego uniwersytetu. Choć uczelnia liczyła sobie ledwie dwanaście wiosen, zdążyła mieć już sześciu kierowników. Wszyscy przedstawieni przez malarzy w gronostajach, prezentowali się nadzwyczaj godnie, ale także groźnie. Pierwszy w szeregu wisiał profesor Heliodor Świącicki, lekarz, społecznik, założyciel i pierwszy rektor Uniwersytetu Poznańskiego, powołany na tę zaszczytną funkcję w 1919 roku, świeżo po odzyskaniu narodowej wolności. Przedstawiono go z aktem erekcyjnym uczelni, nawiniętym na zdobną, drewnianą kolumnę. Zaraz za nim następował profesor Zygmunt Lisowski, szczyły mężczyzna w binoklach. Największy respekt

– nie tylko z racji zadartych w górę wąsów à `la cesarz Wilhelm  
– wzbudzał wszakże profesor Stanisław Dobrzycki, sławista i historyk literatury polskiej. Za nim z portretu spoglądali na komisarza profesor Ludwik Sitowski, który z powodzeniem przeprowadził uniwersytet przez trudne czasy kryzysu, prezentujący się jak król profesor Jan Gabriel Grochmalicki, wreszcie znany Kaczmarkowi z widzenia profesor Edward Lubicz-Niezabitowski, którego poznał bliżej przy okazji uroczystego otwarcia Pewuki<sup>[47]</sup>.

Komisarz czuł na sobie baczne, nieufne spojrzenia byłych sterników uczelnianej społeczności. Siódmy – aktualny – rektor Stanisław Kasznica siedział właśnie przed Kaczmarkiem i przyglądał mu się z równie marsową, by nie powiedzieć niepokojącą miną. Zza binokli spoglądały na Kaczmarka surowe oczy prawnika.

Siedzieli w gmachu dawnej niemieckiej Królewskiej Akademii, która powstała, by utwierdzać panowanie zaborcy nad tym miastem i prowincją. I stanowiła jeden z obiektów tzw. dzielnicy zamkowej, którą cesarz Wilhelm II zbudował z myślą o tej dominacji. W sumie ten cały Kajzer nie był wcale taki zły – przemknęła nagle przez głowę Kaczmarka krotochwilna myśl. Zostawił nam takie piękne budynki i abdykował...

– Dziękuję, że raczył pan do mnie przyjść – odezwał się w końcu rektor. – Wprawdzie liczyłem na kogoś wyższego rangą, no ale cóż... Doskonale pan rozumie, że sytuacja jest nadzwyczajna i wymaga nadzwyczajnych środków. Dlatego postanowiłem osobiście państwa o coś poprosić.

– Słucham uprzejmie. – Kaczmarek mimowolnie podrapał się prawą dłonią po policzku.

– Chodzi o małżonkę profesora Krygowskiego. – Rektor miał nadal poważną minę, co powodowało, że komisarz siedział



w fotelu jak na szpilkach. – Wiem, że byliście panowie u niej wczoraj, ale... Rozumie pan, ona niepokoi się najbardziej.

– Rozumiem, to oczywiste.

– No właśnie. Stąd też bierze się moja prośba do państwa, prowadzących bezpośrednio śledztwo w sprawie tego, daj Boże, jedynie przykrego incydentu. Nie wątpię, że niebawem odzyskamy naszą matematyczną sławę w dobrej formie, lecz zanim to nastąpi, proszę wziąć pod uwagę delikatną konstrukcję psychiczną żony pana dziekana. Ona... nie potrafi sobie z tym poradzić. Może dobrze by było, gdyby pan lub ktokolwiek doświadczony w takich sytuacjach odwiedził ją ponownie i zwyczajnie podtrzymał na duchu. Naprawdę nie chciałbym, by również jej stało się coś złego...

Kaczmarek oczyma wyobraźni wybiegł już do przodu, widząc siebie w mieszkaniu zaginionego profesora. Choć bardzo się starał, nie potrafił sobie wyimaginarować siebie w roli psychologa, pomagającego żonie naukowca pokonać traumę. W uszach ciągle dzwoniła mu fraza wypowiedziana przez kobietę: „Cóż, nie każdy jest...”. Właśnie, nie każdy jest geniuszem.

– To się da zrobić, panie rektorze. – Uśmiechnął się dla niepoznaki do profesora Kasznicy. W jego oczach po raz pierwszy dostrzegł coś w rodzaju sympatii.

– Cieszę się, że policja państwowa ma tak inteligentnych pracowników – pochwalił Kaczmarka rektor.

Ta opinia zupełnie nie przystawała do samokrytycznych myśli komisarza.

– Może herbaty? – zaproponował profesor. – Zaraz zawołam panią Bogusię i...

– Dziękuję, panie rektorze, ale nie skorzystam. – Kaczmarek wszedł delikatnie, acz dość stanowczo gospodarzowi w słowo.

– Pozwoli pan rektor, że zadam mu kilka pytań.

– Oczywiście.

– Przejdę od razu do rzeczy. Po pierwsze: w jakim to projekcie z udziałem Wojska Polskiego uczestniczył profesor Krygowski?

Kaczmarek odniósł wrażenie, że oczy rektora za szklami binokli urosły niemal dwukrotnie.

– Pan wybaczy, panie komisarzu... Nie jestem upoważniony, by wypowiadać się w takich kwestiach...

– Kiedy to kwestie kluczowe dla rozwiązania tej sprawy! – zirytował się Kaczmarek.

Po raz kolejny ktoś niewątpliwie posiadający wiedzę o tajemniczym zaangażowaniu zaginionego profesora odmówił mu podzielenia się nią, zasłaniając się dziwną tajemnicą. Jak policja ma czynić swoją powinność, jeśli nie chcą z nią współpracować tacy szanowani obywatele, jak oficer Wojska Polskiego czy rektor uczelni?

– Pan wybaczy, panie komisarzu. – Głos rektora Kasznicy stał się dziwnie oficjalny. – Z pewnych tajemnic zwolnić może mnie jedynie sąd.

– Oby tylko nie był to Sąd Ostateczny – wymusnęło się Kaczmarkowi.

Rektor puścił tę jawną bezczelność mimo uszu.

– Czy ma pan jeszcze jakieś kwestie do poruszenia? – zapytał.

– Tak. – Komisarz nie zamierzał się tak łatwo poddać. – Wiem, że profesor świadczył armii jakieś usługi dotyczące kryptologii. Nie wnikając nadmiernie w szczegóły, chciałbym poznać osobistą opinię pana rektora, czy te nadprogramowe – jak mniemam – obowiązki profesora Krygowskiego mogły na niego ściągnąć czyjąś zemstę?

Profesor Kasznica chrząknął znacząco, jakby chciał powiedzieć: „Ależ pan uparty, do licha!” Zamiast tego odparł

jednak:

– Wybacz pan, ale pytanie pańskie pozostawię bez komentarza.

– Pięknie dziękuję – mruknął śledczy.

Właśnie w jednej sekundzie stracił resztki dobrego samopoczucia. A może także humoru.

– Mam zatem pytanie numer trzy – raz jeszcze pozbierał myśli. – Profesor Krygowski miał zapewne grono bliskich współpracowników? I nie myślę tu wyłącznie o owej tajnej misji, o której i tak huczy już całe miasto...

Kaczmarek przegiął z rozmysłem, usiłując sprowokować rektora do szczerej, impulsywnej odpowiedzi. Profesor Kasznica okazał się jednak wybitnym przeciwnikiem. Po raz kolejny zignorował sarkazm bijący ze słów policjanta.

– Jak każdy szanowany naukowiec z dorobkiem, w dodatku były rektor Politechniki Lwowskiej, profesor Krygowski gromadził, przepraszam, gromadzi wokół siebie liczne grono zaufanych i szczerze mu oddanych pracowników naukowych – odpowiedział chłodno.

Kaczmarek starł wierzchem dłoni pot z czoła.

– Poproszę zatem o nazwiska i adresy tych najbliższych.

## Pół godziny później, w Prezydium Policji przy ulicy Ratajczaka

Kaczmarek przyglądał się uważnie tekturowemu pudełku z nadrukiem „*Streichhölzfabrik Schneidemühl, Breiterstrasse 12, Tel. 3375*”. Od Anioły wiedział, że znajdują

się w nim jeszcze zapałki, ale – choć aspirant wyjaśnił, że nie zachowały się na nim żadne ślady linii papilarnych – sam nie zaglądał do środka.

– I powiadasz, Grzesiu, że gdzie leżało to pudełko?

– Blisko końca tunelu, panie komisarzu – pospieszył z wyjaśnieniem główny technik komendy. – Dokładnie rzecz biorąc, w narożniku przy wejściu na schody, które prowadzą do wjazdu. Obok leżały też dwie wypalone zapałki.

– Kto je znalazł?

– Ja, panie komisarzu.

– Jakież uwagi?

– To wszystko bardzo dziwne, jeśli tak można powiedzieć.

– Bo?

– No bo proszę sobie wyobrazić, panie komisarzu: dwóch bandytów tacha obezwładnionego profesora, a jednocześnie używa zapałek, by oświetlić sobie drogę?

– Czyli było ich trzech. Co najmniej trzech. Bo tej dwójce musiał ktoś oświetlać drogę.

– Tak sądzę, panie komisarzu. Ale nawet jeśli było ich więcej, po jaką cholere używaliby zapałek? Dziś, w dwudziestym wieku? Na pewno posługiwali się nowoczesnymi latarkami.

– Też tak myślę, Grzesiu – pochwalił go komisarz. – Uważasz zatem, że te zapałki to może być zwykła podpucha?

– Może być, panie komisarzu. Tym bardziej że...

– Tak?

– Specjalnie przeszedłem się raz jeszcze z latarką po tunelu i metr po metrze sprawdziłem, czy nie ma tam innych wypalonych zapałek.

– I co? Nie ma?

– Właśnie, panie komisarzu! Jedyne wypalone leżały obok tego pudełka. Jakby ktoś celowo je zapalił i wyrzucił. Na pewno nie posługiwał się nimi wcześniej.

– Ciekawe – mruknął Kaczmarek. – Komuś ewidentnie zależało, byśmy skojarzyli go z fabryką zapalek po niemieckiej stronie. Czyli w skrócie: z Niemcami...

– Na to wygląda, panie komisarzu.

No tak – pomyślał Kaczmarek, gładząc dłonią swoje rozwichrzone baki. Ta nieudolna ustawka ze strony porywaczy to dowód, że podejrzenia jego szefa idą w złą stronę. To znaczy w kierunku pożądanym przez bandytów. A to niedobrze, bardzo niedobrze... Podinspektor Kayser powinien szybko zapoznać się z tokiem rozumowania Anioły. Chociaż... niewykluczone, że wcale się z nim nie zgodzi. Może więc poczekać z podzieleniem się tymi wątpliwościami?

– Dobra robota, Grzesiu – pochwalił aspiranta. – A przy okazji: macie już wyniki badań próbki krwi z dywanu gabinetu profesora?

Anioła złapał się za głowę.

– No przecież, na śmierć zapomniałem! Wyniki przyszły porannym ekspresem ze stolicy.

– O! Jak szybko się uwinęli! I co, mój orle?

Aspirant sięgnął do szuflady swojego biurka, by wyciągnąć z niego kartkę z nadrukiem policyjnego laboratorium w Warszawie.

– Grupa krwi zgadza się z danymi, uzyskanymi u lekarza uniwersyteckiego.

– A więc jednak!

Uprowadzenie profesora z użyciem środków przemocy stało się w tym momencie stuprocentowo potwierdzonym faktem.

W centrum Poznania, w tym samym czasie

Od personelu hotelu Monopol zabiegany Borowczak dowiedział się, że ekipa niemieckich bokserów, których miał śledzić, wyjechała ponad godzinę wcześniej na trening. Udało mu się ustalić, że pięściarze trenują w jednej z hal targów poznańskich, w której zresztą miał odbyć się szeroko zapowiadany mecz z reprezentacją Polski. Chcąc nie chcąc, wskoczył więc w tramwaj i podjechał kilka przystanków dzielących hotel od wejścia na teren targów. Po drodze zerknął w okna holu niedawno otwartego kina Styłowego<sup>[48]</sup> – dumy miasta. Chciał zobaczyć na afiszach, co obecnie grają. Niestety, bimba jechała zbyt szybko, szarpiąc przy tym niemiłosiernie. Ratując się przed upadkiem, zdołał ledwie dostrzec neon „PKO Zaufanie Społeczeństwa”, wieńczący modernistyczną bryłę kina. Kątem oka zauważył jeszcze postać Kościuszki na wysokim cokole równie nowiutkiego pomnika, i był już na miejscu.

Dwa smukłe pylony, wsparte na doryckich kolumnadach, przypomniały Borowczakowi czasy Pewuki, gdy stał w kolejce po bilety do kas znajdujących się w podcieniach. Tym razem jednak o żadnym postoju nie było mowy. Szybko okazał się policyjną odznaką, dowiedział się, że Niemcy trenują w Hali Reprezentacyjnej i wszedł pewnym krokiem na teren targowy. Zaraz za bramą skierował swoje kroki w prawo, ku imponującej hali zaprojektowanej przez samego Rogera Sławskiego. Choć podczas Pewuki pełniła ona rolę Westybulu, przez kolejne lata była świadkiem wydarzeń natury targowej, kulturalnej i sportowej. W tej ostatniej roli spisywała się naprawdę wspaniale, zapewniając setkom widzów niezrównane wrażenia kibicowskie.

Szerokie drzwi były otwarte – skorzystał więc z okazji i nie niepokojony przez nikogo wślizgnął się do pawilonu.

W panującym w środku półcieniu, jakże przyjemnym po zejściu ze spiekoty, dostrzegł bokserski ring i ustawione wokół niego w równe rzędy ławy dla przyszłych kibiców. Przy linach wokół ringu uwijało się kilku działaczy, zapewne trener i obsługa ekipy. Na arenie zmagania sparowało dwóch zawodników, na oko wagi ciężkiej lub półciężkiej. Nie oszczędzali się, okładając się pięściami z taką zaciekłością, jakby od tej walki zależał ich dalszy żywot. Spocone koszulki pięściarzy wystawiały wysokie noty rzetelności ich treningu.

– *Schneller, schneller!*[\[49\]](#) – pokrzykiwał na nich z boku masywny mężczyzna, najpewniej trener o ostrym, nieprzyjemnym spojrzeniu.

Zafascynowany tempem walki Borowczak przesunął się bliżej ringu.

– A pan kto?! – Czyjeś mocne ramię osadziło go momentalnie w miejscu. – I gdzie pan leziesz?

Przed sobą zobaczył silnego mężczyznę w marynarce, spod której przebijały potężny tors i twarde bicepsy.

Borowczak raz jeszcze sięgnął leniwym ruchem po policyjną odznakę.

– Aaaa... Chyba że tak. – Kafar z ochrony targów zmył się jak niepyszny.

Policjant schował swoją przepustkę w kieszonce kamizelki, otarł pot z czoła i usiadł w jednym z pierwszych rzędów, przypatrując się z uznaniem ciężkiej młócce na ringu.

– *Sehr gut, Hans!*[\[50\]](#) – pochwalił jednego z walczących postawny trener Niemców.

Jednocześnie łypnął okiem w stronę Borowczaka, jakby chciał mu powiedzieć: „Panie kolego, ten sparing nie jest dla widzów”.

## W hallu Collegium Minus, godzina dziesiąta trzydzieści

Kaczmarek oparł się o kamienną balustradę i zerknął w dół, na bieg szerokich schodów. Wspinał się nimi mozolnie w górę starszy mężczyzna w idealnie zaprasowanych w kant spodniach i równie estetycznej koszuli z krótkim rękawem. Jego siwa, krótko ostrzyżona głowa chwiała się lekko w rytm pokonywanych stopni. Zapewne jakiś profesor – przemknęło przez głowę komisarza. Zaraz potem przyszła inna refleksja: nawet podobny do Krygowskiego!

Ilekczo komisarz był na terenie uczelni, zawsze czuł się tu trochę parweniuszem. On, absolwent zwykłej, Okręgowej Szkoły Policyjnej w Poznaniu, a następnie Kursu Oficerów Policji Państwowej w Warszawie, pasował do tych szacownych murów jak pięść do nosa. Pozostawał wszak szarym rzemieślnikiem, wyrobnikiem dnia codziennego w materii, która bynajmniej nie przynosiła mu spektakularnej chwały. Tutaj zaś była świątynia wiedzy – i wielkich umysłów. Wiedział – czuł! – że każda z napotkanych tu osób przerasta go intelektualnie o klasę.

Aby oderwać się od swoich kompleksów, sięgnął do kieszeni marynarki po nieodłączny notes. Widniały w nim trzy nazwiska, które wprawdzie nic mu nie mówiły, ale których właściciele mogli posiadać informacje pomocne w śledztwie. Kaczmarek otworzył swój kajet i zerknął w notatki.



– Rejewski, Różycki, Zygałski... – mruknął, by utrwalić je sobie w pamięci.

Od ludzi rektora dowiedział się, że wszyscy trzej to bardzo zdolni młodzi matematycy, blisko związani z profesorem Krygowskim. Ten pierwszy, najstarszy, pochodził z Bydgoszczy i był aktualnie drugim asystentem poszukiwanego profesora. Po krótkich studiach w Getyndze, ponoć dla niego rozczarowujących, wrócił do kraju i przystał na propozycję asystentury. Pochodzący z Kresów Różycki miał przed sobą ostatni rok studiów matematycznych, ale wyróżniał się ocenami. Z całej trójki tylko Zygałski był miejscowy. Właśnie ukończył studia. W rektoracie szybko ustalono, że mieszka w kamienicy przy Matejki 32 i jest synem Stanisławy oraz Michała Zygałskich, właścicieli pracowni krawieckiej.

– Zacznę od tego ostatniego – postanowił komisarz. – Może on mi w końcu powie, o co w tym wszystkim chodzi...

## Znowu w Hali Reprezentacyjnej Targów Poznańskich, tuż przed jedenastą

Erich Rüdiger spoglądał coraz bardziej zdenerwowany w stronę młodego fircyka w modnej marynarce z kamizelką, który jakieś pół godziny wcześniej niespodziewanie rozsiadł się na wysokości ringu, przyglądając się kolejnym sparingom.

Widział z daleka, że ochrona próbowała go wcześniej wyprosić z hali, ale tajemniczy Polak okazał się jakimś dokumentem czy przedmiotem, który spowodował, że ochroniarz spuścił z tonu i przybysz bez problemu dotarł aż

pod samą scenę walk. Zarówno ten fakt, jak i wyraźne zainteresowanie młodego Polaka ekipą Rüdigera zdawały się sugerować, że nieoczekiwany gość to jakaś ważna persona. Podejrzana osoba, na którą trzeba uważać...

Trener zerknął na Langa, sparującego właśnie ze swoim drugim trenerem. Tak, w tym chłopaku jest nadzieja – pomyślał o nadchodzącym meczu z Polakami. Samotny widz na trybunie burzył jednak jego myśli. Może to tylko zwykły dziennikarz? Nie, to niemożliwe. Żadnego pismaka ochrona by nie wpuściła, taka była umowa z gospodarzami obiektu. A jeśli on tu nie przyszedł rozeznąć się w formie moich zawodników, ale... w związku ze mną?

Markując zaafierowanie tym, co dzieje się między linami ringu, Rüdiger raz jeszcze posłał w stronę intruza szybkie, acz czujne spojrzenie.

Tajniak – ocenił błyskawicznie fachowym okiem. Polacy najwyraźniej mnie śledzą...

To było dziwne, ale owa pozornie niepokojąca konstatacja na nowo wprowadziła w jego myśli porządek.

– *Polacken!*[\[51\]](#) – mruknął sam do siebie pogardliwym tonem.  
– Nie tacy jak wy połamali sobie na mnie zęby!

## Poznań, ulica Matejki, przed dwunastą

Kaczmarek nie miał tego dnia szczęścia. Pod zanotowanym adresem nie zastał bowiem młodego Zygalskiego ani nikogo innego z jego rodziny. Skwaśniały z powodu tego niepowodzenia zostawił u sąsiada Zygalskiego pisemną prośbę

o kontakt. Czas naglił, profesor Krygowski już drugą dobę znajdował się w nieznanym komisarzowi i na pewno nieprzyjaznych rękach. Musiał więc działać szybko i zdecydowanie. Tymczasem – poza dowodem rzeczowym w postaci pudełka zapalek z Streichhölzersfabrik Schneidemühl, co do którego miał podstawy sądzić, że jest zwykłą zmyłką – nie widział żadnych innych punktów zaczepienia. W sens zaleconej przez Kaysera obserwacji szwabskich pięściarzy nie wierzył. Ale skoro szef chciał się w to bawić, Kaczmarek wepchnął w tę misję przodownika Borowczaka. Młody ma czas, to się przynajmniej wykaże. On sam wolał skupić się na poważniejszej robocie.

Zbliżało się południe, a komisarz coraz mocniej odczuwał trudy nieprzespanej nocy. Całe szczęście, że uprzedził Lonię telefonicznie, jak się sprawy mają. Przynajmniej nie denerwowała się nocą, kiedy wróci, gdy on wraz z Majslem parli przed siebie pod Ogrodem Różanym...

Wiele dałby teraz za filiżankę, a najlepiej spory kubek czarnej, aromatycznej kawy. Nic więc dziwnego, że kiedy dotarł piechotą do skrzyżowania Matejki z Grunwaldzką i zauważył po lewej koszary, a po prawej ponure gmaszysko dawnego hotelu Polonia, skręcił ku temu ostatniemu. Przypomniał sobie bowiem, że w jego holu ciągle egzystowała jeszcze kawiarenka, pozostałość po dawnej funkcji hotelowej potężnego gmachu. Dwa lata po Pewuce hotel, który w 1929 roku był bodaj największy w kraju – miał wszak przyjąć tysiące angielskich turystów – został przeznaczony na mieszkania dla biedniejszych mieszkańców Poznania i mocno stracił na renomie. Dość powiedzieć, że stał się ulubionym noclegiem różnej maści sutenerów i prostytutek, a w dodatku miejscem licznych samobójstw. Wszystko to wszakże działo się zwykle nocą, a nie w środku dnia. A w niegdyś świetnym

hotelu pozostały kuchnia i mała kawiarnia, położona w samym holu budynku. Właśnie tam skierował swoje kroki zmęczony komisarz.

„Hotel samobójców” – przypomniał sobie niesławne określenie, które przylgnęło do budynku, przekraczając próg i wchodząc do wysokiego, nadal niezle urządzonego holu. W powietrzu unosił się kuszący zapach świeżo mielonej kawy, co dobrze wróżyło Kaczmarkowi. Klapnął zmizerowany na skórzanej kanapie przed długą ławą i w oczekiwaniu na kelnera sięgnął po wiszący na stojaku „Dziennik Poznański”.

Gazeta ta – w odróżnieniu od „Kuriera Poznańskiego” – była tak miła, że nie zdążyła jeszcze zauważyć ostatniego niepowodzenia poznańskiej policji. Nie wystawiało to wprawdzie konkurencji „Kuriera” najlepszego świadectwa profesjonalizmu, ale za to zapewniło Kaczmarkowi sympatyczną chwilę niczym niezmaconej lektury. „Dziennik” położył tego dnia punkt ciężkości na przygotowania do odsłonięcia w Poznaniu pomnika prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona – dzieła amerykańskiego rzeźbiarza Gutzona Borgluma, sprezentowanego miastu przez samego Ignacego Jana Paderewskiego. Gazeta zapowiadała, że uroczystość odbędzie się w najbliższą sobotę – w dniu święta narodowego Stanów Zjednoczonych. I że zaszczytą ją obecnością zarówno prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki, jak i małżonka prezydenta Wilsona. Oraz sam mistrz Paderewski.

*Policja nasza postawiona została w stan nadzwyczajnej gotowości – relacjonował „Dziennik Poznański”. – Wizyta głowy państwa naszego i szanownej żony Ojca naszej niepodległości nakłada na barki stróżów prawa szczególny obowiązek zadbania o bezpieczeństwo tej jakże miłej uroczystości.*

No tak, koledzy z Wydziału Politycznego mają gorąco – przemknęło przez głowę komisarza. W końcu, prezydent nie bywa w Poznaniu co tydzień...

W jednej chwili przypomniał sobie złośliwy wierszyk o Mościckim, kolportowany wśród przeciwników sanacji, których w Poznaniu nie brakowało:

*Tyle znaczy, co Ignacy,  
A Ignacy g... znaczy.*

Wszyscy średnio rozgarnięci obywatele tego kraju wiedzieli, że Polską rządzi siwy Marszałek i jego pułkownicy, a wysoki, dystyngowany profesor chemii to jedynie jego przedstawiciel. Był tylko bezwolnym wykonawcą politycznej woli starzejącego się Piłsudskiego, który od ubiegłego roku poczynił sobie bezpardonowo z opozycją. Po wtrąceniu do twierdzy brzeskiej kilkunastu posłów opozycji z Witosem na czele prasa poznańska na znak protestu drukowała całe strony pod wspólnym tytułem „Protest zbiorowy z powodu Brześcia”. Szpalty wypełniały tysiące nazwisk – a także profesje i nazwy miejscowości – tych, którzy nie godzili się z jawnym łamaniem konstytucji i demokracji. Komisarz zdawał sobie sprawę, że sprawy w kraju zmierzały w złym kierunku. Ale – choć nie przepadał za sanacją – jako funkcjonariusz państwowy nie mógł pozwolić sobie na żadne osobiste demonstracje. Uważał, że policja państwowa musi pozostać apolityczna – tak długo, jak to tylko będzie możliwe. On przynajmniej ciągle czuł się w swojej pracy wolny od wpływu polityków. I oby tak pozostało!

Na sąsiedniej kolumnie Kaczmarek zauważył specjalną odezwę prezydenta Cyryla Ratajskiego do „obywatelstwa”:

*...Dostojni goście nasi przyjadą do Poznania w piątek dnia 3 lipca 1931 o godz. 8.15 wieczorem na dworzec podmiejski i zamieszkają na Zamku Poznańskim. Proszę obywatelstwo poznańskie, aby licznym udziałem w powitaniu czcigodnych i miłych Gości dało wyraz serdecznej swej radości i wdzięczności. Proszę również o wywieszenie chorągwi na gmachach publicznych i prywatnych w barwach narodowych polskich i amerykańskich...*

– Co podać szanownemu panu? – Przed Kaczmarkiem pojawiła się nagle wiotka kelnerka.

– Czarną. I gorzką! – zastrzegł się komisarz.

– Życzy pan sobie ciastko?

– Bron Boże, pani kochana... Broń Boże.

Kelnerka skłoniła się i zawróciła w stronę kuchni. Kaczmarek tymczasem pograżył się znowu w lekturze. Skomplikowane sprawy polityczne w Niemczech niespecjalnie go interesowały, więc przekartkował szybko gazetę, by znaleźć się na stronach sportowych. Latem liga zawiesiła rozgrywki, nie mógł więc sprawdzić, jak spisuje się Warta Poznań ani jego ulubione Kolejarskie Przysposobienie Wojskowe, które siało postrach w A klasie, na bezpośrednim zapleczu I ligi. Zamiast informacji piłkarskich znalazł za to spory artykuł o mającym nastąpić w piątek meczu bokserskim z Niemcami.

– To znam aż za dobrze – mruknął i zaczął znowu wertować kartki „Dziennika”, tym razem w tył.

W momencie gdy blondwłosa kelnerka ustawiła przed nim filiżankę parującego wywaru, Kaczmarek poczuł, jak ciśnienie skocze mu ostro w górę – choć nie zdołał jeszcze skosztować ani kropli małej czarnej.

Przed sobą miał bowiem całą kolumnę z reklamami i ogłoszeniami. Dokładnie na jej środku – tak by nie można jej

było przeoczyć – widniała szeroka ramka, a w niej krótki, za to cholernie treściwy przekaz, wybity grubą czcionką:

*Wielce Szanownego Profesora  
w dobre ręce oddam.  
Tylko godne oferty.*

[46] *Ecce homo* (łac.) – Oto człowiek.

[47] Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w 1929 r.

[48] W okresie powojennym kino Bałtyk.

[49] *Schneller, schneller!* (niem.) – Szybciej, szybciej!

[50] *Sehr gut, Hans* (niem.) – Bardzo dobrze, Hans!

[51] *Polacken* (niem.) – pogardliwe określenie Polaków





Część 2.

CZAS NA RACHUNKI





## 7.

# Wszystko pasuje jak ulał

Uwolniony od nadmiaru moczu pęcherz przestał być chwilowo problemem.

Żeby mógł się załatwić, podnieśli go pod ramiona i poprowadzili – zbyt gwałtownie – w stronę jednego z kątów. Aż syknął z bólu, bo zdrewniałe, z dawna nieangażowane mięśnie postawiły opór. Ból zniósł mężnie, wszak nie chciał dać poznać po sobie słabości, choć najchętniej zawyłby z udręki. Nie było jednak czasu na rozterki.

Gdy się zatrzymali, musieli mu na chwilę zdjąć z oczu opaskę i na moment zostawić samego. Kątem oka zdążył zobaczyć stare mury jakiejś piwnicy, a może obory? Jego nos nie wyczuł charakterystycznego zapachu zwierząt domowych. A więc jednak piwnica. Tylko gdzie?

Przed sobą miał klozetową muszlę, wpuszczoną w betonową posadzkę. Ktoś przewidział, że uprowadzony będzie miał również takie potrzeby. Obecność dwóch drabów za plecami trochę go krępowała, ale napór moczu był taki silny, że i tak nie wytrzymałby dłużej. W pomieszczeniu było chłodno i ciepła ciecz uwolniła sporo pary. Gdzie jestem? – zastanawiał się, gdy zapinał guziki spodni. Gdzie to może, u diabła, być?

Nie pozwolili mu się obejrzeć. Ledwie zrobił, co powinien, a już jeden z oprawców zawiązał mu ponownie opaskę na oczach, a drugi fachowo zawiązał dłonie w przegubach. Tak

skrępowanego starszego człowieka poprowadzili znowu na fotel.

Błogosławił te kilka chwil, kiedy mógł swobodnie postawić kilkanaście kroków. Dobrze i to – pomyślał, czując jednocześnie, jak w jego steranym życiem ciele zaczyna znowu pulsować ciepło krwi. I jak znowu miarowo uderza mu zmuszone do wysiłku serce.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał, gdy znowu przywiązali go do fotela.

Nie liczył na szczerłość. Ale czuł, wiedział, że powinien spróbować nawiązać z nimi jakiś kontakt. Tym bardziej że po raz pierwszy go nie zakneblowali.

– Cierpliwości, dziadku – usłyszał, gdy odchodzili. – Tylko nie próbuj krzyczeć. Tutaj i tak nikt cię nie usłyszy...

## W Prezydium Policji, Poznań, ulica Ratajczaka, dwunasta trzydzieści

– A nie mówiłem, szefie, że to zwykłe porwanie?

– To ogłoszenie jeszcze nic nie znaczy, Biniu.

– Jak to: nic nie znaczy? Przecież tu jest wyraźnie napisane: „w dobre ręce oddam”. I dopisek: „Tylko godne oferty”! Nie widzi szef, że to zachęta do podjęcia negocjacji cenowych za oddanie profesora?

– E! Czytasz to wszystko zbyt dosłownie.

– A jak mam czytać, jeśli wolno wiedzieć? Co to za zarzut, panie podinspektorze!

– Spróbuj spojrzeć na sprawę szerzej, kolego. I spokojniej. To zwykła zmyłka, naprawdę tego nie widzisz?

Kaczmarek obrzucił Kaysera spojrzeniem, w którym aż się skrzyło od irytacji. Najchętniej machnąłby na niego ręką i podjął zupełnie samodzielne śledztwo. Tyle że formacja, w której służył, wymagała od niego bezwzględności posłuszeństwa wobec zwierzchników. Opanował się więc i pozostał w gabinecie podinspektora, z trudem hamując narastający gniew.

– No dobrze – wymamrotał niechętnie. – Jak mam zatem spojrzeć na to jakże czytelne i oczywiste ogłoszenie?

Kayser uśmiechnął się lisio. Wyglądał, jakby trzymał nielicznego asa w rękawie i właśnie zamierzał rzucić go na stół.

– Pomyśl przez chwilę, Zbigniewie – zaproponował koncyliacyjnym tonem. – Gdybyś był pracownikiem niemieckich służb...

– To ślepy zaułek – syknął Kaczmarek.

– I porwałbyś człowieka niezwykle cennego dla twojego przeciwnika – zignorował wtręt podwładnego Kayser. – Czy przy okazji nie wykonałbyś paru ruchów dezorientujących?

– Dez... co?

– Czy nie zacierałbyś za sobą śladów, nie odpalałbyś zasłon dymnych, nie kierował podejrzania na inne tory? Na przykład na miejscowych kryminalistów? To ogłoszenie jest wspaniałym przykładem takich działań. Niemcy nas testują, Biniu. Sprawdzają, na ile poważnym przeciwnikiem jesteśmy. I tylko od nas zależy, czy damy się na to nabrać...

Kaczmarek trzepnął ze złości dłonią w kant swoich spodni.

– Szefie! – jęknął dramatycznie. – Przecież to wszystko nie trzyma się kupy!

– Jak to: nie trzyma? A niemieckie zapaliki w tunelu? Naprawdę nic tobie nie mówią?

- Specjalnie je tam podrzucili, to jasne jak słońce.
- Skąd to wiesz, Kaczmarek? – zeźlił się Kayser. – Byłeś tam z nimi?
- Nie. Ale to oczywiste, że podsunęli nam fałszywy trop. Te zapalki zostawili w takim miejscu, że nie mogliśmy ich nie znaleźć!
- Brednie, komisarzu Kaczmarek! Otrząśnij się! Opatrzność dała nam wspaniałą, niesamowitą wręcz dowód na to, kim są przestępcy. Dlaczego, do diabła, nie chcesz z niego skorzystać?
- Bo to zbyt proste, szefie. Or-dy-nar-nie proste.
- Nie zgadzam się. A to ogłoszenie...
- Trzeba je jak najszybciej sprawdzić, szefie. Zamierzam natychmiast odwiedzić redakcję „Dziennika”. Musimy ustalić, co lub kto kryje się za tym anonsem...
- Zgoda, to akurat należy sprawdzić. – Kayser niespodziewanie spuścił z tonu. – Jestem jednak przekonany, Biniu, że niczego konkretnego się nie dowiesz. Tak działają tajne służby. Zobacz sam: pod ogłoszeniem nie ma żadnego numeru kontaktowego, żadnego adresu. Nic!
- Bo to zaproszenie do negocjacji, szefie. Idę o zakład, że ogłoszeń będzie więcej.

Redakcja „Dziennika Poznańskiego”, ulica  
Pocztowa 9, vis-à-vis Kasy Chorych, około  
trzynastej

Wizyta komisarza policji kryminalnej wywołała spore poruszenie wśród dziennikarzy. Kaczmarek mimo stosunkowo

krótkiego stażu służbowego był już postacią znaną światkowi poznańskich żurnalistów, zwłaszcza od czasu bohaterskiej obrony arcymistrza Alechina przed zamachowcem w grudniu 1928 roku. Nic dziwnego, że widok jego zasepionej twarzy w redakcji pociągnął za sobą falę plotek i domysłów.

– Policja u nas?

– Czyżby „stary” coś przeszkrobał? – dały się słyszeć podniesione głosy kolegów redaktorów „Dziennika”.

Nadrabiając miną, redaktor odpowiedzialny Józef Winiewicz poprowadził Kaczmarka do swojego pokoju i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Wskazał gościowi wygodny fotel w rogu pokoju, a sam usiadł za swoim biurkiem.

– O co chodzi, szanowny panie komisarzu? – zapytał bez zawahania.

Kaczmarek poprosił o najnowszy numer pisma i szybko odnalazł ogłoszenie, które zelektryzowało całą komendę. Pochylony nad płachtą papieru redaktor odpowiedzialny „Dziennika” zrobił wielkie oczy.

– A to ci dopiero! – wyrwało mu się w szczerym zdumieniu. – Czy... Czy tu idzie o profesora, o którym napisał „Kurier”?

– Właśnie tak – mruknął z niechęcią komisarz. – Chciałbym porozmawiać z człowiekiem, który w pańskim imieniu przyjął to ogłoszenie.

Winiewicz aż przysiadł z wrażenia.

– Zaraz zawołam kolegę Pruchniewicza. To on odpowiada u nas za kolumny z ogłoszeniami – wyjąkał.

Wyjrzał na korytarz i już zdecydowanie bardziej stanowczym tonem zakrzyknął:

– Pruchniewicz, do mnie!

Nie minęło dziesięć sekund i w biurze redaktora odpowiedzialnego pojawił się niski, wąty człowieczek

w ogromnych okularach, upodabniających jego twarz do głowy muchy z rysunków w szkolnych podręcznikach.

– Słuchajcie, kolego – zagadnął go Winiewicz, celując palcem w feralne ogłoszenie. – Co to, za przeproszeniem, za bohomyzy? I dlaczego przyjął pan anons bez danych zwrotnych? Co to za fanaberie, hę?!

To „hę” wybrzmiało na tyle strasznie, że chudzina w wielkich okularach na moment stracił głos.

– Kiedy... Kiedy to ogłoszenie zostało opłacone – wydukał w końcu Pruchniewicz.

– Nie o to pytam! – zdenerwował się jego przełożony. – Czy ma pan rachunek za tę usługę? Na kogo jest wystawiony?

Gazetowy specjalista od ogłoszeń łypnął wielkimi oczyma na komisarza. Kaczmarek dostrzegł w nich strach.

– Nie mam... Nie mam żadnego rachunku...

Poirytowany Winiewicz wyrzucił ręce w górę.

– Pan wybaczy, komisarzu! Sam pan widzi, z kim ja pracuję – usprawiedliwił się natychmiast. – Nic dziwnego, że potem wypuszczamy na łamy takie „kwiatki”! A mówiłem, tyle razy powtarzałem: każdy anons musi mieć wynotowanego autora z imienia i nazwiska! Nie mówiłem, kolego?! Co za wstyd! Takie ogłoszenie w naszym „Dzienniku” w takiej sytuacji! Co za wstyd!

Kaczmarek miał już dość tych wewnątrzredakcyjnych rozgrywek. Postanowił przejąć inicjatywę.

– Panie Pruchniewicz, jestem komisarz Kaczmarek z Wydziału Śledczego – przedstawił się szybko chudzielcowi. – Na pewno pamięta pan, w jaki sposób ogłoszenie tej, przyzna pan, dość oryginalnej treści, pojawiło się w waszej redakcji? Kto je przyniósł? Jak wyglądał?

Pruchniewicz zakrył dłonią swoje wielkie okulary, intensywnie przypominając sobie nieodległą przeszłość.



– Wiem – ucieszył się niespodziewanie. – To ogłoszenie przyniósł goniec.

– Jaki goniec? – zapytali równocześnie Kaczmarek i Winiewicz.

– Zwyczajny. Chłopak w wieku lat kilkunastu, jeżycki albo wildecki szczun. Pełno takich w bramach domów...

– Jest pan absolutnie pewny?

– Tak. Przyniósł kopertę z treścią ogłoszenia. I poleceniem, by to ogłoszenie powtórzyć bodaj dwa razy. W środku był banknot dziesięciozłotowy.

– Powiedział coś jeszcze?

– Chyba nie.

– I nie zastanowiła pana treść ogłoszenia? – Kaczmarek nie mógł uwierzyć.

Pruchniewicz spojrział na komisarza jak na małe dziecko, które nie rozumie najprostszycich spraw.

– Spojrzałem na nie, gdy ten szczun wybiegł już z redakcji. Nie było nawet kogo zapytać... A skoro ogłoszenie zostało opłacone, to...

– A jak wyglądał ten chłopak?

– Zwyczajnie. Włosy blond, chudy, lekko piegowaty...

– No to szukaj wiatru w polu – mruknął Kaczmarek.

Chłopak mógł pochodzić z jakiejś kamienicy przy Pocztovej, ale równie dobrze z Dąbrowskiego czy Wierzbięcic. Mało to piegowatych, chudych blondynów w Poznaniu?

– A może ten goniec miał jakieś znaki szczególne? – chwycił się ostatniej nadziei.

– Jakaś bliznę, czy tak?

– Na przykład. Albo coś innego, co zapadło panu w pamięć.

Pruchniewicz skulił się, jakby w obawie, że jego odpowiedź nie zostanie dobrze przyjęta.

– Niestety, panie komisarzu. Chłopak jak chłopak, był tu zresztą może z minutę. Na pewno nie dłużej...

Masz ci klops – pomyślał zdenerwowany Kaczmarek.

Zaraz potem zrozumiał, że ktoś bawi się z nim w kotka i myszkę.

I niestety on jest w tej grze myszką.

## W drodze do Prezydium Policji, chwilę później

Chociaż w jednym komisarz mógł popsuć szyki porywaczom – i zrobił to. Stanowczo zażądał w redakcji „Dziennika”, by ogłoszenia – mimo że zostało opłacone – więcej nie publikować. Redaktor odpowiedzialny Winiewicz solennie przyrzekł, że wykona tę dyspozycję, a „kolega Pruchniewicz” zostanie ukarany potrąceniem z lipcowych poborów.

– Taka wpadka nie może pozostać bez sankcji – stwierdził tonem, który wróżył jego podwładnemu co najmniej zesłanie na galery.

Co to wszystko ma znaczyć? – rozmyślał Kaczmarek, maszerując wzdłuż Pocztovej w stronę wybujałej zieleni placu Nowomiejskiego i widocznej z oddali fontanny z figurami Perseusza i Andromedy. Czyżby tak jawne, bezczelne ogłoszenie w jednej z największych poznańskich gazet było formą demonstracji? A jeśli tak, to czego? A może jednak, jak przypuszczał już wcześniej, stanowi zaproszenie do negocjacji? Tylko w jaki sposób te rokowania miałyby być prowadzone? Czyżby...

Nagle przystanął, oszołomiony niespodziewaną myślą. Czyżby porywacze życzyli sobie, by rodzina – lub ktokolwiek, reprezentujący bliskich profesora Krygowskiego – zaproponował cenę za jego uwolnienie w ten sam sposób – za pomocą ogłoszenia prasowego?

Bezczelność tego rozwiązania była wręcz porażająca, ale zważywszy na równie bezczelny sposób uprowadzenia profesora, niewykluczona. Kaczmarek coraz mocniej zdawał sobie sprawę, że po przeciwnej stronie ma wyjątkowo wyrachowanych i jednocześnie aroganckich graczy. Tylko tacy ludzie mogli się porwać na tak wielce szanowaną w całym Poznaniu personę! I to w taki sposób!

Lipcowy upał rósł z każdą chwilą. Nawet krótki spacer z redakcji „Dziennika” do komendy potrafił zrosić potem czoło. Kaczmarek poprawił kapelusz i w tym samym momencie przypomniał sobie nagle, że obiecał Loni wypad do kina Colosseum. Mieli pójść na amerykańsko-niemieckiego „Kapitana Lasha” – jeden z pierwszych filmów dźwiękowych, w dodatku z Victorem McLaglenem w roli głównej. Ach, Lonia! Pewnie martwi się o niego, powinien się do niej odezwać...

Zadzwonię ze swojego gabinetu, kiedy już będę w komendzie – postanowił.

Jeszcze chwila, i obrzeżem gwarnego o tej porze placu Nowomiejskiego dotarł na ulicę Ratajczaka. Zaraz potem wszedł do chłodnego, pogrążonego w przyjemnym półcieniu wnętrza Prezydium Policji. Nie zdążył jednak wdrapać się na piętro, bo zaraz dopadł do niego dyżurny Schuppke:

– Jak to dobrze, że pan już wrócił, panie komisarzu. Podinspektor Kayser prosił, żeby natychmiast pan do niego przyszedł!

– Idę – warknął rozeźlony.

Nie wiedział, o co chodzi szefowi, widzieli się przecież ledwie godzinę temu, ale nie spodziewał się niczego miłego. Pożegnali się wszak nad wyraz chłodno, a Kayser mówił mu wtedy po nazwisku.

– Biniu! – Przełożony powitał go teraz z rozłożonymi serdecznie ramionami. – Muszę ci powiedzieć, że po twoim wyjściu rozmawiałem z samym prezydentem. Moja wiadomość o postępach w naszym śledztwie sprawiła mu dużą przyjemność. W pełni popiera wszelkie nasze działania i prosi o więcej.

– Aha. – Komisarz spojrzał na przełożonego spode łba. – Ale... chyba nie wspomniał mu szef o swojej hipotezie z Niemcami?

Kayser wyszczerzył zęby.

– Oczywiście, że nie. Przynajmniej nie wprost. Co najwyżej lekko zasugerowałem, że znamy już kierunek poszukiwań.

A więc mu powiedział – pomyślał Kaczmarek. A może to i dobrze? Przynajmniej Ratajski nie będzie nadmiernie wtrącał się w nasze działania...

– A co tam w redakcji? – zagadnął Kayser.

– Ogłoszenie dostarczono przez gońca, bez żadnego pokwitowania. W kopercie była treść i pieniądze. Anons miał być powtarzany i...

– Czyli klasyczna zmyłka – uciął temat Kayser. – Sam widzisz, że to ślepy tor, kolego.

– Nie jestem przekonany.

– Nie musisz. To ja odpowiadam za kształt tego śledztwa.

– Czyli co szef planuje w najbliższym czasie? – zapytał Kaczmarek, ale Kayser nie zdążył już zwrócić uwagi na ironiczny ton wypowiedzi komisarza.

Do pokoju bez pukania wpadł bowiem sam komendant miejski policji, nadinspektor Michał Bączkowski. Jego

czerwone policzki zwiastowały duże emocje.

– Mamy sygnał spod Chodzieży! – krzyknął do swoich podwładnych. – Możliwe, że tam trzymają profesora!

## Plac Gwarny, trzynasta trzydzieści

Niemal trzy godziny spędzone na śledzeniu niemieckiej ekipy sportowej nie dały Borowczakowi żadnych interesujących obserwacji. Przodownik w cywilu nabrał nawet przekonania, że pięściarze z za zachodniej granicy rzetelnie wykonują swoje obowiązki i dopatrywanie się w ich działaniach czegokolwiek niepokojącego nie ma żadnych racjonalnych podstaw. Nie rozumiał, dlaczego sam szef Wydziału Śledczego skierował go właśnie do tego zadania, ale przynajmniej jednego był pewny: podczas pisania raportu z obserwacji specjalnie się nie zmęczy. Bo i o czym tu, do licha, pisać? Że bokserzy nie oszczędzali się w trakcie starć treningowych na ringu? A może o ich trenerze, który recenzował ich poczynania między linami dość nerwowymi okrzykami? Czy to wszystko mogło w ogóle zainteresować podinspektora Kaysera? I jaki to miało związek z kryminalną sprawą, którą było niewątpliwie porwanie szanowanego profesora matematyki?

W ślad za ekipą pięściarzy, zrezygnowany starszy przodownik powrócił pod hotel Monopol. Jak szybko ustalił, niemieccy zawodnicy po szybkim odświeżeniu się zasiedli do obiadu. Menu nie było Borowczakowi potrzebne. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego misja stała się nieco groteskowa. Mimo to trwał na posterunku, dla świętego spokoju – a może

i żeby mieć alibi – notując sobie ołówkiem najważniejsze wydarzenia z życia ekipy. Rozkaz podinspektora Kaysera brzmiał przecież: „Trwać przy Szwabach aż do zmiany!”. Pozostał więc pod hotelem, kręcąc się w okolicy kawiarni Dobskiego i wyglądając z prawdziwym wytęsknieniem zmiennika.

Ten jednak nie kwapił się jakoś, by wybawić go z kłopotu.

## Droga krajowa Poznań – Chodzież, czternasta z minutami

– Ha! – triumfował podinspektor Zygfryd Kayser, ponagłając kierowcę Rogalę do jeszcze szybszej jazdy. – Wszystko pasuje jak ulał! Przecież Chodzież to kierunek ku granicy, a potem na Piłę! Na Schneidemühl, nieprawdaż, Kaczmarek? Czy to ci czegoś nie przypomina?

Atmosfera w fiacie 508 – chlubie poznańskiej komendy, sprowadzonym dopiero co z samych Włoch tuż przed podpisaniem licencji na jego produkcję w Polsce – była równie gorąca jak czterocylindrowy silnik szykownej maszyny. Samochód gnał chwilami nawet 80 kilometrów na godzinę, a w środku dosłownie kotłowało się od emocji. Dowodzący ekspedycją ratunkową Kayser tryskał energią, a jego nastrój udzielił się zarówno szoferowi, jak i aspirantowi Aniole. I tylko komisarz Kaczmarek siedział na tylnej kanapie chmurny i niezadowolony. Nagły zwrot akcji – pilny meldunek z jednego z komisariatów policji spod granicy – zdawał się niszczyć jego misternie budowaną hipotezę o zwykłym, bandyckim

charakterze porwania. Doniesienia policyjnego patrolu z niewielkiej miejscowości Kaczory, oddalonej ledwie 5 kilometrów od granicy z Niemcami, nie pozostawiały żadnych wątpliwości: w murowanej stodole poza wsią bytuje grupa podejrzanych osobników, a ich zachowanie może sugerować, że kogoś tam przetrzymują. Świadkowie ze wsi zeznali miejscowej policji, że widzieli skrepowanego człowieka, prowadzonego na stronę przez dwóch dryblasów. W dodatku osobników tych zauważono tam ledwie dzień wcześniej, co pokrywało się mniej więcej z momentem uprowadzenia profesora Krygowskiego z Poznania.

Kaczmarek nie mógł się z tym pogodzić, ale nie sposób było dyskutować z faktami. Na rozkaz szefa wskoczył do fiata, godząc się tym samym na udział w zaimprovizowanej ekspedycji. Jednak z każdym przejechanym kilometrem oczy kleiły mu się coraz bardziej. Noc spędzona na wycieczce po zamkowych podziemiach wychodziła mu bokiem w najmniej odpowiedniej chwili.

– Zdrzemnij się, Biniu! – Kayser, choć siedział z przodu, obok Rogali, szybko dostrzegł osłabienie podwładnego. – Przyda ci się chwila odsapki, w końcu jesteś na nogach od wczoraj...

– Dzięki, łaskawco – mruknął Kaczmarek.

Na tyle cicho, by podinspektor go nie usłyszał.

W rozpedzonym fiacie, połykającym jak smok kolejne kilometry dobrej, bitej drogi na Chodzież, sztuka zasypiania okazała się jednak zbyt trudna. Zrywnym autem rzucało na zakrętach, a ciężka noga Rogali powodowała, że towarzystwo w środku wozu co rusz mocno zapierało się nogami i rękoma, by nie wypaść przez okna. Już za Obornikami Kaczmarek uznał, że na jakąkolwiek drzemkę nie ma szans. Za Ryczywołem, w okolicy Wyszyn, machnął ostatecznie ręką na

garę. Zamiast tego znalazł sobie lepsze zajęcie – skupił się na sprawdzeniu, czy jego służbowa broń jest nadal sprawna. Parabellum, które wyniósł jeszcze z powstania, lśniło czystością i stanowiło miły widok dla oka. Wszystko chodziło w nim bez zarzutu, co poprawiło nieco humor komisarzowi. Zresztą, z bronią w dłoni zawsze czuł się lepiej: od zdobycia fortu Grolman<sup>[52]</sup> począwszy, a na wojnie z bolszewikami skończywszy. Wspomnienie młodzieńczych przewag nad wrogami sprawiało, że na jego szerokiej, umęczonej twarzy mimowolnie wykwitł w końcu uśmiech.

– Masz rację, Biniu – podchwycił w lot lepszy nastrój podwładnego Kayser. – Jeszcze kwadrans, może pół godziny i zgarniemy tych drani, zamykając sprawę głośno i spektakularnie. Uwolnimy Krygowskiego, a wtedy nie będziemy się już musieli wzbraniać przed brylowaniem w świetle fleszy. Coś czuję, że zatkamy gębę temu cwaniaczkowi Grabskiemu, który tak niecnie obsmarował nas w „Kurierze”! Ten cholerny szczun odszczeka swoje słowa o bezradnej policji!

Kaczmarek nie był taki pewny sukcesu. Lokalizacja rzekomej kryjówki, w której miałby być przetrzymywany profesor, wydawała mu się dziwna. To po to porywacze zadali sobie tyle trudu, by okpić wszystkich i uprowadzić matematyka, by potem holować go nocą – zapewne samochodem – jakieś sto kilometrów pod samą granicę, narażając się na ryzyko zdemaskowania przez postronnych świadków lub patrol policji? Zdaniem komisarza sprawcy dostatecznie dużo ryzykowali, wyprowadzając porwanego w środku nocy z gmachu Urzędu Ziemskiego do – jak mniemał – auta zaparkowanego na ulicy. A poza tym, skoro zdecydowali się na osobliwą korespondencję za pomocą ogłoszeń prasowych, muszą być raczej blisko Poznania i redakcji



„Dziennika”... Nie, nie. Zdaniem Kaczmarka to wszystko nie trzymało się kupy. Komisarz był przekonany, że uprowadzony musi być więziony znacznie bliżej Poznania – na przykład na jego peryferiach albo w najbliższej okolicy...

– Co się tak marszczysz, kolego komisarzu? – Kayser brał tymczasem okoliczności wyprawy za dobrą monetę. – Nic się nie martw, już moja w tym głowa, żeby akcja się powiodła. Dzisiaj ja dowodzę!

Powodzenia – pomyślał Kaczmarek. Zachowanie szefa trąciło bufonadą, więc nie skomentował go ani słowem.

Tymczasem skupiony nad kierownicą Rogala gwałtownie przyhamował i skręcił z dobrej, bitej drogi na wyraźnie gorszą, błotnistą i wyboistą jak wielbłądzie garby. Minęli już Chodzież i zmierzali teraz na północ, wprost ku Kaczorom. Chwilę później resory fiata zazgrzytały na nierównym przejeździe kolejowym i wjechali w gęsty las. Gdy pokonali most na Noteci, poczuli bliskość granicy. I miejsca ich przeznaczenia.

– Panowie, przygotować broń – nakazał Kayser.

Na horyzoncie zamajaczyły pierwsze domostwa wsi.

Pod kościołem miało na nich czekać wsparcie z komendy w Chodzieży.

## Tymczasem w Poznaniu, hotel Monopol, w porze poobiedniej

Erich Rüdiger dał swoim sportowcom wolne, choć jasno zaznaczył, aby nie opuszczali do wieczora pokoi hotelowych. Jeszcze w Berlinie nasłuchiwał się o silnych antyniemieckich

nastrojach w Poznaniu, które nie osłabły tu mimo dekady z okładem, która minęła od czasów tego pieprzonego traktatu wersalskiego. I o nadzwyczaj silnej w tym mieście partii nacjonalistycznej, której bojowcy nie wahają się demonstrować wrogości do wszelkich mniejszości narodowych, w tym zwłaszcza niemieckiej. Dlatego wolał nie kusić losu. Jeśli już mają opuszczać hotel, będą to robić zawsze razem, w zwartej grupie. Wtedy nikt nie odważy się ich zaatakować, a i on będzie miał oko na poczynania swoich podopiecznych. Nie było jednak tajemnicą, że miał w ekipie kilku wyjątkowo krewkich osobników.

Nad spokojem ekipy w „Monopolu” miał czuwać Frantz Grausamer, jego zaufany zastępca.

– *Jawohl!* – gruby, łysiejący osiłek skwitował ostatnie polecenia swojego szefa bez zbędnych komentarzy.

Widząc w oczach Grausamera całkowite oddanie sprawie, Rüdiger mógł być pewien, że pod jego nieobecność nie wydarzy się tutaj nic nadzwyczajnego. Zresztą po treningu jego chłopcy wyglądali na mocno spompowanych i raczej na pewno po południu utną sobie zasłużone drzemki. Mógł więc bez wahania przystąpić do realizacji własnych planów.

Na początek jednak musiał zerknąć na plan miasta. Polskie nazwy ulic mąciły mu obraz Poznania, jaki zapamiętał z dawnych, lepszych czasów.

Znowu na północy Wielkopolski, na obrzeżach  
Kaczorów, około piętnastej

Zabudowania, do których skradało się ośmiu funkcjonariuszy policji z bronią gotową do strzału, stały na skraju wsi, pod samym lasem. Stanowiły z pewnością niezłą bazę dla ludzi o niecznych zamiarach. W krajobrazie dominowała sporych rozmiarów stodoła o solidnej ceglanej podmurówce, sugerującej podpiwniczenie budynku. Obok niej stały dwa drewniane baraki, służące zapewne jako zabudowania gospodarcze, w których miejscowy gospodarz trzymał rolniczy sprzęt lub narzędzia. Całość sprawiała jednak wrażenie opuszczonej posesji, ogrodzonej rozpadającym się płotem z pokrytych mchem sztachet. Najwyraźniej właściciel tego miejsca nie dbał specjalnie o jego estetykę. Albo zwyczajnie rzadko tu zaglądał.

Czy wiedział, że jego posiadłość służy podejrzanym osobnikom? A może sam był jednym z nich? – zastanawiał się Kaczmarek, przedzierając się z wyciągniętym przed sobą pistoletem przez leśne chaszczce. Policjanci zbliżali się do stodoły i urzędującej w niej ekipy od strony lasu, by do ostatniej chwili uniknąć odkrycia. Sprzyjały im gęste zarośla, idealnie kryjące ich ruchy. Tyle tylko że musieli się napracować, odginając gałęzie kolejnych krzewów.

W obejściu prawdopodobnie nie było psa, bo już dawno podniósłby alarm. Zanim wyruszyli ku posesji, Kayser wydał im jasną dyspozycję: jeśli okaże się, że jest tam jakiś czworonóg, który ostrzeże swoich właścicieli, policjanci mieli przyspieszyć interwencję, porzucając wszelką konspirację. Tymczasem jednak wokół panowała idealna cisza, zmałowana co najwyżej szumem drzew. I bzycczeniem komarów, które naprzykrzały się funkcjonariuszom.

Słońce, które jeszcze w trakcie ich podróży przypiekało niemiłosiernie, teraz zaszło za napływające z zachodu chmury. Zrobiło się ciemniej i jakoś ponuro.

– Panie komisarzu... – Kaczmarek usłyszał za sobą szept aspiranta Anioły. – Myśli pan, że dojdzie do wymiany ognia?

Oficer obejrzał się i zauważył, że choć Anioła dzierży w dłoni krzepkiego nagana, na jego twarzy odmalował się niepokój. Fakt, szef techników komendy rzadko brał udział w podobnych interwencjach.

– Spokojna głowa, Grzesiu – odszepnął do Anioły, by dodać mu otuchy. – To też są tylko ludzie...

– No tak, ma się rozumieć... – uśmiechnął się kwaśno aspirant.

Widać było, że w tej roli czuje się niepewnie. Słowa Kaczmarka podniosły go nieco na duchu. W samą porę, bo jeszcze kilka kroków – i funkcjonariusze dotarli na skraj lasu.

Nadszedł czas na konkretne działanie.

– Wszyscy gotowi? – Kayser, uzbrojony podobnie jak Kaczmarek w parabellum, zlustrował szybkim spojrzeniem zarówno swoich podwładnych, jak i czwórkę miejscowych stróżów prawa z aspirantem Kłosą na czele.

Nieme skinienia głów wziął za dobrą monetę.

– A więc robimy tak: ja z Kaczmarkiem i Rogalą wpadamy główną bramą, a aspirant Kłosa ze swoimi ludźmi wyskakuje na podwórze od zaplecza, przez płot – rozdzielił role podinspektor z Poznania. – Czy wszystko jasne?

– A ja? – Anioła zdziwił się, że go pominięto.

– A ty, Anioła, zostajesz na miejscu. W razie czego powstrzymasz ewentualnego uciekiniera.

– Tak jest! – Kaczmarek dostrzegł, że słowo „uciekinię” zrobiło na techniku spore wrażenie.

– I błagam was, panowie: strzelamy tylko w stanie najwyższej konieczności! – napomniał raz jeszcze podwładnych Kayser. – Pamiętajcie, że tu chodzi o życie światowej sławy

matematyka. Mamy go przywieźć żywego, nie martwego!  
Rozumiemy się?

– Wszystko jasne – odezwał się Kaczmarek.

– No to... w imię Boże! – rzucił szef śledczych.

I jako pierwszy wyskoczył zza krzaka na bitą drogę prowadzącą do obejścia.

## W Poznaniu, na placu Gwarnym, w tym samym czasie

Borowczak o mały włos nie zakrztusił się z wrażenia bezą, którą pałaszował bezwstydnie, chroniąc się przed ostrym słońcem pod markizą kawiarni Dobskiego. Nagle zauważył bowiem dobrze już sobie opatrzoną sylwetkę niemieckiego trenera, wychodzącego samotnie z hotelu. Ubrany w lekką, jasną marynarkę Niemiec z dumnie uniesioną głową przeskoczył przez tory tramwajowe na ulicy Fredry i różnym krokiem ruszył w ulicę Gwarną, w stronę sklepu z futrami należącego do Łajewskiego.

– O Holender! – wymsknęło się przodownikowi, choć chodziło przecież o reprezentanta Niemiec.

Opanowując odruch wymiotny, spowodowany podrażnieniem gardła przez kruszyny wypieku, Borowczak ruszył jak z kopyta za trenerem piętarczy. Zostawił za plecami hotel Monopol, podejrzewając, że niespodziewany rekonesans Niemca może się okazać znacznie ciekawszy niż dotychczasowa, nudna obserwacja sportowców podczas ich rutynowych obowiązków.

Nie pomylił się.

Choć szkoleniowiec pięściarzy wyglądał na mężczyznę po czterdziestce, poruszał się szybko, niczym nastolatek. W sztywnej, nieco wyniosłej postawie, w uważnym spojrzeniu z góry na świat miał w sobie coś z arystokraty, a dumnie uniesiony, orli nos czynił go podobnym do wysokiego rangą dowódcy. Tak, w jego ruchach znać było dawne, wojskowe przyzwyczajenia i Borowczak od razu to wychwytał. Zauważył też, że Niemiec porusza się po mieście z dużą pewnością. Zupełnie jakby już je znał...

Śledzony minął pachnący świeżą wędzonką sklep mięsny braci Dawidowskich i skręcił z Gwarnej w ulicę Święty Marcin. Szedł teraz wzdłuż kamienic północnej pierzei tej najważniejszej poznańskiej ulicy, kierując się niechybnie w stronę Starego Miasta. Borowczak pozostawał w tyle, utrzymując bezpieczny dystans, ograniczający możliwość dekonspiracji. Niemiec nie oglądał się zresztą za siebie, jakby przyjął, że w Poznaniu nie może mu się przytrafić nic złego. Mimo to policyjny agent w cywilnych łachach pozostawał czujny – życie nauczyło go, że taka postawa zwyczajnie popłaca.

Niemiecki trener minął po prawej ręce wieżę kościoła św. Marcina z efektownym, baniastym hełmem, przyglądając się jej uważnie – i jakby dziwiąc się, że w ogóle tu stoi<sup>[53]</sup>. Borowczak zrozumiał wtedy, że Niemiec musiał bywać wcześniej w Poznaniu – dlatego zbudowana dopiero co wieża z czterema sylwetkami świętych i płaskorzeźbą św. Marcina na koniu wprowadziła go w tak duże zdumienie.

Zaraz potem Niemiec pozostawił za sobą pomnik Mickiewicza, nawet na niego nie zerkając, i na sporej pochyłości opadającej tu gwałtownie w dół ulicy jeszcze przyspieszył kroku – jakby chciał zgubić „ogon”, o którym jednak raczej nie miał pojęcia. Potem przeskoczył przez

jezdnię, doszedł do końca ulicy Święty Marcin i skręcił ku smukłej sylwetce „księżych portek” – jak poznaniacy od lat nazywali ewangelicki kościół św. Piotra, z racji dwóch wąskich wież, przypominający wiszące na sznurku nogawki spodni.

Idzie na Półwiejską! – skonstatował szybko Borowczak.

Miał nosa. Gdy w ślad za Niemcem zagłębił się w cienisty wąwóz zagląających sobie wzajemnie w okna kamienic, poczuł na plecach dreszcz emocji. Co kombinował ten niewątpliwie obeznany z Poznaniem mężczyzna? Raczej wątpliwe, by wypuścił się tak daleko od hotelu, by kupić sobie buty albo nową koszulę...

Wątpliwości Borowczaka rozwiął szybko sam jego „podopieczny”. Chwilę później skręcił w Ogrodową i ruszył w stronę widniejącej z daleka fasady kościoła Bernardynów. Niemiec nie zamierzał jednak się modlić – kilkanaście kroków dalej niespodziewanie przystanął przy przeszklonych drzwiach skromnej knajpki, zerknął na tablicę z menu, a potem przekroczył próg lokalu.

Przyszedł tu, by się z kimś spotkać – przemknęło przez głowę Borowczaka.

Za wszelką cenę musiał ustalić z kim.

W tym samym momencie pod Kaczorami,  
niedaleko polsko-niemieckiej granicy

– Poolicja! Wszyscy ręce do góryyy!

Gardłowy głos Kaczmarka, wsparty okrzykami z kilku innych męskich gardeł, wyrwał zapuszczone gospodarstwo

z pozornego letargu. Zaraz potem komisarz zdecydowanym kopnięciem we wrota stodoły otworzył drogę do wnętrza swoim kolegom. Wpadli jak charty żądne zwierzyny, celując z broni w pogrążone w głębokim cieniu zakamarki.

– Policja! Ręce do góry, skurczybyki! – wrzasnął tym razem Kayser, adresując swoje żądanie do kilku męskich postaci, wykonujących dziwne ruchy wokół góry siana.

Jeden z mężczyzn oderwał się od reszty i usiłował zbiec przez dziurę w ścianie, ale zdołał jedynie do niej dopaść, by przekonać się, że czeka tam już na niego aspirant Kłosa z pistoletem gotowym do strzału.

Reszta podejrzaney ekipy w liczbie trzech mężczyzn posłusznie uniosła dłonie na wysokość uszu. Jakakolwiek wola oporu została w jednej chwili złamana.

– Pod ścianę! – rozkazał Kayser.

Zatrzymani bez szemrania wykonali jego dyspozycję.

– Panie władzo, my prości ludzie – odezwał się dopiero wtedy najwyższy z nich, nieogolony blondyn pod trzydziestkę. – My nic złego, jak Boga kocham...

– No! Zaraz zobaczymy, jak wy Boga kochacie! – Kayser natychmiast osadził go w miejscu karcącym spojrzeniem. – Gdzie jest profesor?! Gdzie go trzymacie, do jasnej cholery?!

Milczenie, jakie zapadło po tych pytaniach, miało w sobie coś bardzo ucziwego. Niepokojąco ucziwego. Kaczmarek od razu zrozumiał, że zatrzymani po prostu nie wiedzą, o co chodzi.

– No, co się tak gapicie, jak niemowy?! Gdzie go trzymacie? – powtórzył szef śledczych.

On sam jeszcze nie pogodził się z porażką.

– Ale... panie szanowny... O co się właściwie rozchodzi? – Nieogolony blondyn zrobił wielkie oczy.



– Jaki profesor? Tu, na naszej wsi? – stęknął z niedowierzaniem jego kolega, krępy i łysy, z wąsikami à la Hitler.

– Kaczmarek! Rogala! Przeszukać wszystkie kąty! – Kayser nie przyjmował do wiadomości słów aresztowanych.

– Tak jest!

– A ty, Kłosa, bierz ludzi i sprawdź pozostałe zabudowania!

– Się robi, panie inspektorze!

Kaczmarek pierwszy dopadł do góry siana i zaczął je rozgarniać w nadziei na odkrycie jakiegoś zamaskowanego przejścia do czegoś w rodzaju piwnicy. Aresztowani nie sprawiali jednak wrażenia nadzwyczaj wyrafinowanych porywaczy, którzy byliby w stanie uprowadzić znanego profesora – przypominali raczej miejscowych, wiejskich meneli. Ich rozbiegany wzrok świadczył jedynie o fakcie, że kompletnie nie wiedzieli, co jest grane. Pozory mogły jednak mylić, dlatego komisarz zadał sobie trud, by obejrzeć podejrzaną lokum. Pomagał mu w tym ofiarnie Zygmunt Rogala.

Nie minęły wszakże trzy minuty – i Kaczmarek już wiedział, że akcja okazała się wielkim fiaskiem. To prawda, odkrył coś ciekawego, ukrytego głęboko pod sianem. Nie było to jednak żadne tajne przejście do miejsca uwięzienia poszukiwanego profesora – a bodaj dziesięć skrzynek niemieckiej wódki z kontrabandy.

Wszystko stało się jasne. Zatrzymani okazali się zwykłymi szmuglerami, wykorzystującymi bliskość zielonej granicy do nieuczciwego zarobku z pominięciem państwowej akcyzy. Przy bliższym „zapoznaniu się” można zresztą było wyczuć odór taniego alkoholu dobywający się z ich gęb.

Szybkie oględziny pozostałych zabudowań doprowadziły jedynie do ujawnienia kolejnej partii szwabskiej

berbeluchy[54].

Zygryd Kayser spuścił nos na kwintę. Kaczmarek z trudem nadrabiał miną, udając, że mimo wszystko nie ma powodów do popadania w zły nastrój. I tylko aspirant Kłosa wyglądał na w pełni usatysfakcjonowanego.

– Idziemy! – przejął niespodziewanie dowodzenie.

Czwórka zatrzymanych na gorącym uczynku przemytu w milczeniu opuściła stodołę.

Kłosa nie ukrywał radości. Chociaż on mógł pochwalić się sukcesem.

[52] Nieistniejący już bastion pruski w centrum Poznania, opanowany w pierwszych dniach powstania wielkopolskiego przez skautów Wincentego Wierzejewskiego.

[53] Wieżę dzwonnicy kościoła św. Marcina zbudowano w latach 1927-1928. Została zniszczona w trakcie walk o miasto w 1945 r.

[54] Berbelucha (gwara pozn.) – tania, kiepska wódka.



## 8. To tylko polityka

Tym razem dostał jeść dopiero późnym wieczorem. I nie było to nic, co mógłby nazwać smacznym. Mężczyzna, którego z racji opaski na oczach nie widział, nakarmił go czymś, co przypominało makaron z sosem. Tyle że makaron był twardy, jakby niedogotowany, a sos śmierdział starym mięsem i dodatkowo spalenizną. Najwyraźniej porywacze nie mieli w szeregach utalentowanego kucharza ani cierpliwości do gotowania bardziej wykwintnych dań.

Zniósł to dzielnie, przełykając potrawę z rozsądku. A potem poprosił o coś do picia. Przynieśli mu wodę, podtrzymali kubek przy ustach. Pił łapczywie, był bowiem spragniony. Od rana nie miał przecież nic w ustach.

– Panowie... – zaryzykował i odezwał się, gdy stało się już jasne, że posiłek został zakończony. – Panowie, może się dogadamy? Czy...

– Zamknij się, dziadku! – głos jednego z bandytów stał się agresywny. – Nie próbuj nas wciągać w żadne dyskusje!

– Ale...

– Żadnego „ale”! Bo inaczej nie będzie jutro śniadania...

Zarechotali basowo, ubawieni swoją niewyszukaną groźbą.

Próbował ich sobie wyobrazić. Ten, który mu pogroził, musiał być niski i krępy. Jego głos brzmiał bowiem gardłowo, jakby osobnik ten sporo ważył, możliwe, że miał też drugi

podbródek. Na podstawie głosu dałby mu jakieś czterdzieści lat. Ten drugi był chyba młodszy, więc zapewne szczuplejszy. Odzywał się z rzadka, we wszystkim słuchał tego starszego, nieprzyjemnego. Nawet poruszał się w jego obecności niepewnie, wolno stawiając kroki, jakby obawiał się czymkolwiek mu podpaść. A jego śmiech był zawsze tylko echem rechotu tego pierwszego, ważniejszego. Ten młodszy bez dwóch zdań czuł szacunek do starszego. Czy tylko z racji tego, że starszy dowodził?

A może... A może to byli ojciec i syn?

Zanim wyszli, dokładnie sprawdzili stan jego skrępowanych rąk i nóg.

Nie odezwał się już więcej, godząc się z kolejnymi godzinami męki.

Czekała go kolejna noc na fotelu tortur.

## W policyjnym fiacie, gdzieś pod Obornikami, przed siedemnastą

Atmosfera podczas powrotu ekipy śledczej podinspektora Kaysera była gęsta jak grochówka w policyjnej stołówce przy ulicy Ratajczaka. Fakt, że zatrzymana w Kaczorach banda znalazła nowe lokum w areszcie komendy powiatowej w Chodzieży, nie osłabił bynajmniej goryczy przebijającej z rzadkich wypowiedzi szefa ekspedycji. Kayser wyglądał jak zbity pies, zupełnie przetrącony spektakularnym fiaskiem. To, co dla aspiranta Kłósy było powodem do dumy i niemal gwarancją awansu, dla podinspektora Kaysera oznaczało

jedynie gęste tłumaczenia przed komendantem Bączkowskim, a być może przed samym Ratajskim. Najgorsze było jednak to, że szef śledczych momentalnie stracił koncept i inicjatywę. Od momentu, kiedy poznańscy policjanci opuścili gościnne mury chodzieskiej komendy, odezwał się ledwie dwa razy, klnąc na czym świat stoi. Z racji powagi sytuacji żaden z jego towarzyszy nie podjął polemiki – i była to ze wszech miar słuszna decyzja. Podinspektor Kayser zdecydowanie nie był bowiem w nastroju do konstruktywnej dyskusji.

Jechali więc w milczeniu, wsłuchując się w monotony szum bieżnika opon po szosie – i w pierwsze odgłosy nadciągającej z zachodu burzy. Preludium do niej stanowiły zygzaki błyskawic, tnące coraz częściej bury nieboskłon od strony Szamotuł i Wroniek. Nawałnica nadciągała znad głuchych, nieprzebranych lasów Puszczy Noteckiej, wyginając przydrożne topole ku wschodowi.

Silny wiatr uderzył w wysoką sylwetkę fiata. Rogala chwycił mocniej za kierownicę, korygując tor jazdy spychanego na pobocze auta. Zaraz potem z nieba lunęło wodą tak ostro, że szofer musiał włączyć wycieraczki. Fiat 508, najnowsze cudo włoskiej techniki, dzielnie opierał się oberwaniu chmury, choć Rogala musiał zdecydowanie zwolnić.

– Ale gisówa![\[55\]](#) – wyrwało się w końcu Aniole, choć zaraz potem skulił się, przestraszony swoją odwagą i spojrzał lękliwie w stronę siedzącego obok Rogali szefa.

– Dziecioki se na Chwaliszewie glajdę zrobią. I będą się w niej bachać[\[56\]](#) – zauważył Rogala.

– O ile w Poznaniu też pada – dorzucił Kaczmarek.

Tuż obok, gdzieś na polu, grzmotnął niespodziewanie piorun. Anioła skulił się lękliwie, jakby właśnie uświadomił sobie, że ich policyjny wóz to idealny cel dla kolejnej błyskawicy.

– A właśnie, w Poznaniu... – Zygfryd Kayser nagle ocknął się z letargu, a jego ponura, naburmuszona na cały świat twarz nabrała czerwieni, jakby jej właściciel odkrył dokładnie w tej samej chwili zupełnie nowy wątek. – Ciekawe, co się właściwie dzieje z tym cholernym Borowczakiem.

## Poznań, ulica Ogrodowa, kwadrans po siedemnastej

Knajpa nazywała się Gęsi Kuper, ale bynajmniej nie pachniała gęsina, raczej tanim mięsem smażonego kurczaka.

Borowczak odczekał dobre pięć minut, zanim wszedł do środka. Nie chciał, by Niemiec zbyt łatwo zorientował się, że jest śledzony. Widzieli się już wprawdzie dość długo w hali na targach, ale wtedy trener był skupiony na swoich pięściarzach i nie sprawiał wrażenia zaaferowanego obecnością Borowczaka na widowni. Choć, z drugiej strony, trudno ją było przeoczyć. Tak czy owak, starszy przodownik w cywilu postanowił dmuchać na zimne. Miał tylko nadzieję, że Niemiec nie usiadł gdzieś blisko wejścia i wkraczając do lokalu, nie wejdzie Szwabowi prosto przed nos. Los się do niego uśmiechnął. Obserwowany przez niego mężczyzna wybrał miejsce schowane na samym końcu podłużnego wnętrza. Siedział tyłem do drzwi, nie mógł więc zauważyć policjanta.

Borowczak rozsiadł się za stołem ukrytym nieco za drewnianym filarem i udawał, że wczytuje się w kartę potraw. Jednak zamiast porównywać ceny fileta z kurczaka

w potrawce i szaszłyków w kilku odmianach, zerknął znad karty w stronę feralnego stolika.

Niemiec nie był sam. Naprzeciwko niego siedziała młoda kobieta w lekkiej sukni w kwiaty. Pod ręką trzymała zwiniętą gazetę. Jej duże oczy wpatrywały się spod burzy czarnych włosów w rozmówcę jak w Boga.

Niebrzydka! – ocenił ją w myśli Borowczak. Ciekawe, o czym też rozmawiają? I czy przypadkiem nie po polsku?

Do stolika zajmowanego przez Borowczaka podszedł kelner z zabawnie cienkim wąsikiem, kłaniając się nieco zbyt usłużnie.

– Czym mogę służyć szanownemu panu?

– Poproszę to, co zamówili tamci państwo. – Przodownik błysnął inteligencją, chcąc upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Kiedy... – Kelner na moment stracił rezon. – Kiedy ci państwo zażyczyli sobie jedynie ciasto i kawę...

– O właśnie! To ja też poproszę! – ucieszył się przodownik Borowczak.

Zrozumiał bowiem, że tym razem nie dołoży do służby zbyt wiele z własnej kieszeni.

Gdy kelner oddalił się, zerknął raz jeszcze w stronę pary.

Niemiec uśmiechał się do kobiety, jakby był w niej całkowicie zakochany. A przecież był od niej wyraźnie starszy. Równie dobrze mógłby być jej ojcem.

Nadal w lokalu przy Ogrodowej, chwilę później



– Coś długo każą tu czekać na tę kawę. – Erich Rüdiger był lekko zirytowany jakością obsługi w „Gęsim Kuprze”. – Czy podobnie kiepsko obsługują w lepszych lokalach tego miasta?

Erica Gnadenstein uśmiechnęła się delikatnie. Właśnie skończyła przeglądać „Dziennik Poznański” i mogła skupić się na głównym wątku spotkania.

– Z tym bywa lepiej – odpowiedziała, poprawiając grzywkę. – Na przykład w Bazarze. Albo w kawiarni Kirkina „Pod Kaktusem”. Wie pan, gdzie to jest?

– Pojęcia nie mam, kochana pani. Nie było mnie tu od lat dwunastu i nie poznaję tego miasta.

– To na placu Wolności...

– Wolności? A co to takiego?

– Ach, przepraszam. To na dawnym Wilhelmsplatz.

– No tak.

– Mają tam artystyczno-literacki Klub Szyderców. Z kabaretem!

– *Mein Gott!* Co oni zrobili z naszym Posen!

Erica Gnadenstein wyglądała na nieco ubawioną irytacją swojego rozmówcy. Powściągnęła jednak pokusę parsknięcia śmiechem. Mieli przecież rozmawiać o sprawach znacznie bardziej poważnych. W końcu rzadko jej się trafiał łącznik o takiej renomie i takim wysokim stanowisku.

– Przejdźmy do rzeczy, panie kapitanie – zaproponowała. – Wiem, że jest pan człowiekiem nadzwyczaj ustosunkowanym i często bywa pan w bezpośrednim towarzystwie lidera partii...

– To prawda. Widziałem się z nim w Monachium nie dalej niż tydzień temu.

– No właśnie – ucieszyła się brunetka. I zaraz ściszyła głos: – Zanim porozmawiamy o prawdziwym celu pana wizyty w Posen, byłabym panu bardzo wdzięczna za informację o tym, jak przewodniczący naszej partii zapatruje się na

kwestię restytucji utraconych przez Niemców własności i terenów na tutejszym obszarze...

Rüdiger wstrzymał się na moment z odpowiedzią, bo akurat w tym momencie do stolika podszedł kelner, przynosząc na tacy dwie gorące kawy, dzbanek ze śmietaną, talerze i dwa sążniste trójkąty tortu.

– Szanowna pani – podjął wątek, gdy znowu zostali sami. – Zapewne wie pani, że nasz Führer nie zamierza tolerować rozstrzygnięć narzuconych Niemcom siłą. Uważa, że nasz kraj został ukarany ponad miarę. Mało tego, że został celowo poniżony warunkami traktatu pokojowego przez światową, a więc przede wszystkim żydowską finansjerę. I dlatego nie spocznie, dopóki nie przywróci Niemcom ich dawnej wielkości i świetności. Wielkości, rozumie mnie pani dobrze, pani Eriko?

Towarzyszka Niemca zmarszczyła czarne kreski brwi.

– Pan wybaczy, kapitanie... Pytam, bo do naszej, póki co niewielkiej, organizacji w Posen doszły niepokojące sygnały. – Wypowiedziała te słowa na jednym wydechu, z wyraźnym zmieszaniem. – Podobno... podobno ostatnio, zdaje się już po wiecu w Norymberdze, nasz wódz miał coś wspomnieć o konieczności nowego ułożenia relacji z Polską. Czy to znaczy, że nasze wysiłki pójdą na marne? Jak to wszystko rozumieć? Niektórzy z nas poczuli się wręcz zdradzeni...

Erich Rüdiger spojrział z wyrozumiałością na to wyraźnie zatroskane dziewczątko. Jaka ona ładna! A jaka naiwna... – pomyślał.

– *Mein Liebchen!*<sup>[57]</sup> – chwycił ją serdecznie za dłoń, a ona jej nie cofnęła. – Proszę się nie niepokoić, bo nie ma czym. Zapewniam! To tylko polityka. Nic więcej. Musi pani... Wy wszyscy musicie zrozumieć, że w pewnych sytuacjach, w pewnych okolicznościach, nawet ktoś taki jak Adolf Hitler musi powiedzieć kilka słów czy zdań, które uspokoją nastroje.

Albo wyciszą niemądre podejrzenia czy domysły. To są takie... takie małe kłamstewka dla dobra sprawy. Przecież pani wie, że nasza sprawa jest prawdziwa i słuszna. Dlatego proszę nie zwracać uwagi na pewne, że tak powiem, niekonsekwencje w wypowiedziach naszego lidera. To nic innego jak taktyka. W trudnych warunkach nie wstyd jest kluczyć, rozumie mnie pani?

Erica Gnadenstein zamrugła powiekami, najwyraźniej zrelaksowana i pocieszona.

– Jak to dobrze, że to pan do nas przyjechał – powiedziała z zalotnym uśmiechem. – Panu wierzę bez żadnych zastrzeżeń.

– Nie radzę! – zażartował Rüdiger.

W jednej chwili pożałował, że pobyt w Posen niebawem się skończy. W końcu Erica Gnadenstein zdawała się nim zafascynowana i nawet mimo sporej różnicy wieku mogłaby...

– A teraz sprawy bieżące! – dorzucił szybko, byle tylko odgonić od siebie pewną kuszącą wizję. – Bez nich nie będzie przecież zwycięstwa.

## Poznań, pod Prezydium Policji, przed osiemnastą

– Idź ty się, Biniu, lepiej wyspać – po wyjściu z fiata w podinspektorze Kayserze niespodziewanie odezwały się ludzkie uczucia.

Widział zapewne powolne, sygnalizujące zmęczenie ruchy swojego podwładnego i jego przekrwione, podkrążone oczy. Kaczmarek ruszył wprawdzie z wolna w stronę wejścia do

komendy, ale Kayser chwycił go zdecydowanym ruchem za rękę.

– Dobrze ci radzę, kolego – zaproponował raz jeszcze, tym razem bardziej zdecydowanym tonem. – O tej porze nic już mądrego nie uradzimy, a z przemęczonego pracownika żaden pożytek. Idź do domu, Biniu! Widzimy się jutro rano, o zwykłej porze.

Kaczmarek spojrzał uważnie na szefa, jakby nie dowierzając jego decyzji. W przygasłych oczach Kaysera zauważył znużenie i rezygnację.

– Dobrze – odpowiedział, nie zgrywając bohatera.

Zmęczenie ogarniało go coraz mocniej z każdym kilometrem przybliżającym policyjny wóz do Poznania. Oczy kleiły mu się na potęgę, dopadło go też zaraźliwe ziewanie, które udzieliło się również Aniole. A burza po drodze i wahania ciśnienia zapewne dołożyły swoje. Wysiadając z auta, był fizycznym wrakiem. Wieczorne przejścia z Majslem, a potem nocne odkrycie i trudy wyjazdu w nagłym trybie pod samą granicę dały mu się we znaki – mimo ledwie 33 lat na karku.

– Trzeba by też zluzować Borowczaka – rzucił na odchodnym komisarz.

Myślami był już w kamienicy przy Szkolnej 10, w swoim wygodnym łóżku. Tym razem jednak nie w głowie mu były żadne figle z Lonią. Musiał po prostu się wyspać. Porządnie wyspać.

W tym samym czasie w lokalu przy Ogrodowej

Erica Gnadestein dawno już wypijała kawę i wpatrywała się teraz w swojego starszego rozmówcę uważnym wzrokiem. Dosłownie spijała mu słowa z ust. Erich Rüdiger doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego nieco przeciągał swój monolog.

– Tak więc, jak sama pani widzi, nasze techniczne środki są na razie stosunkowo nieduże. Sądzę jednak, że z każdym kolejnym miesiącem nasze możliwości przerzucenia do was choćby skromnej partii broni ręcznej lub choćby granatów, będą rosły. Na razie jednak muszą wam wystarczyć nasze ulotki. Te najłatwiej przerzucić przez granicę... To znaczy, chciałem powiedzieć: przez tymczasową linię demarkacyjną. Prawdziwa granica Rzeszy leży przecież zdecydowanie bardziej na wschód...

Brunetka zdawała się rozczarowana tym, co usłyszała. Na tyle rozgoryczona, że na chwilę nieopatrznie wydeła usta.

– Ja rozumiem, że to wszystko może się dzisiaj wydawać pani zbyt małe czy zbyt skromne – Rüdiger doskonale odczytał te niewerbalne oznaki. – Jednak wszyscy musimy uzbroić się w solidną dawkę cierpliwości. Nie możemy pod żadnym pozorem pozwolić sobie na danie nawet najmniejszego pretekstu naszym wrogom. Pani wie równie dobrze jak ja, że Francuzi i Anglicy patrzą przez palce na to, co się u nas dzieje. I zapewne palcem nie kiwną, jeśli nasza partia obejmie w końcu rządy. Ale Polacy to inna para kaloszy... Piłsudski wprawdzie jest już stary i wyraźnie niedomaga, ale z pewnych źródeł wiem, że nawet w tak kiepskiej formie nie zawahałby się przed interwencją w nasze wewnętrzne sprawy. Oczywiście tylko jeśli Francja zdecydowałaby się go poprzeć. Tak więc nie możemy podejmować żadnych ryzykownych kroków. Oficjalna linia naszego lidera, jak już wspominałem, brzmi: dążymy do

odprężenia w relacjach z Polską. Jednak do czasu, droga pani. Do czasu...

Rüdiger nachylił się ku swojej uroczej towarzyszce i ściszył nieco głos.

– Może być pani pewna, że przewodniczący partii jest na bieżąco informowany o waszych przedsięwzięciach, jest pod ich wrażeniem i w pełni je popiera. Wszystko, co przysłuży się sprawie osłabienia tego sezonowego państewka, jest na pewno miłe jego sercu. I tylko pozory... Sama pani rozumie, jakie one są ważne. Ciągłe musimy je zachowywać dla dobra sprawy.

– *Ja, ja, natürlich* – przytaknęła gorliwie. – Wszystko rozumiem, kapitanie. Tylko... tylko kiedy wreszcie przyjdzie ten czas? Proszę zrozumieć, nasi ludzie, ci głęboko zakonspirowani, zaczynają się już niecierpliwić... Co mam im powiedzieć?

– Spokój! Tylko spokój! – wyszeptał trener pięściarzy. – Trzeba tkwić w uśpieniu. Ale w czujnym uśpieniu, rozumiemy się? Na razie możemy liczyć na jakieś dwadzieścia procent wyborców w Rzeszy. Ale kto wie, kiedy odbędą się kolejne wybory? Za miesiąc, a może za rok? A wtedy na pewno wejdziemy w jakąś koalicję, może sami obejmiemy rządy. Niemcy to spętany olbrzym, który czeka na rozerwanie więzów. Gdy odzyska swobodę ruchów i siłę, inni wreszcie zaczną się z nami liczyć...

Za plecami Niemca kelner niespodziewanie upuścił z hałasem tacę.

Trener drgnął, odwrócił się... i zamarł na ułamek sekundy. Zrozumiał, że mężczyzna nieudolnie chowający się za filarem to ten sam człowiek, który przyglądał się treningowi na targach. A to oznacza, że od dłuższego czasu jest śledzony. Tylko przez kogo? Polski kontrwywiad czy policja?

Udając, że nie rozpoznał Polaka, odwrócił się ponownie ku pięknej Gnadenstein.

– Musi mnie pani uważnie posłuchać – powiedział konspiracyjnym tonem. – Wygląda na to, że jesteśmy śledzeni przez dżentelmena siedzącego za mną po lewej stronie, pod samym filarem. Widzi go pani? To dobrze. Powiem zatem pani, co teraz powinniśmy zrobić.

Piękna Erica zrobiła wielkie oczy.

## Kilka minut później, w tym samym miejscu

Gdy zapłacili kelnerowi, Niemiec wstał i podszedł do swojej towarzyszki, odsuwając w tył jej krzesło. Z gracją ujął ją pod ramię i poprowadził ku drzwiom. Chwilę później nie było już ich w lokalu.

Borowczak zrozumiał, że musi działać. Nie mogąc doczekać się kelnera, rzucił na stół pięciozłotową monetę i ruszył w ślad za parą. Gdy wyskoczył na Ogrodową, powietrze na zewnątrz ciągle było jeszcze gorące i duszne. Rozejrzał się wokół i od razu ich dostrzegł. Niemiec i kobieta szli w górę ulicy, prosto ku ceglanemu kościółkowi ewangelików i cmentarzowi parafii św. Krzyża. Nie oglądali się za siebie, jakby nie zdawali sobie w ogóle sprawy, że ktoś za nimi podąża.

Borowczak śledził ich, markując niejaki ociąganie. Para spokojnym krokiem minęła niewielką świątynię i niespodziewanie skręciła w Piekary.

W obawie, by nie stracić ich z oczu na dłużej, Borowczak przyspieszył kroku. Niemal biegł po chodniku, pnącym się

stromo wzdłuż Ogrodowej. Wpadł na Piekary dosłownie w ostatnim momencie, by dostrzec, że mężczyzna z kobietą wchodzi w jedną z kamienicznych bram.

Co robić? – zastanawiał się gorączkowo. Co tutaj, do diabła, robić?

Nie było czasu na pogłębioną refleksję. Zadziałały policyjne odruchy. Przodownik w cywilu szybkim krokiem zbliżył się do feralnej bramy. Jedno z jej skrzydeł zdawało się uchylone...

Policjant ostrożnie wsunął głowę w chłód głębokiego cienia korytarza.

Nie usłyszał nic podejrzanego, jedynie z wnętrza kamienicznego podwórka do jego uszu dobiegły odgłosy odbić gumowej, dziecięcej piłki...

Niemiec i kobieta musieli wejść na schody.

Byli już pewnie wysoko, bo nie słyszał ich kroków...

Wejść – pomyślał i zrobił dwa kroki do wnętrza.

Zaraz potem coś błysnęło mu przed oczami, coś niczym ostrze kosy Kostuchy.

Poczuł koszmarny ból i zapadł się w ciemność.

[55] Gisówa (gwara pozn.) – ulewa

[56] Dziecioki se na Chwaliszewie glajdę zrobią. I będą się w niej bachać (gwara pozn.) – Dzieciaki na Chwaliszewie zrobią sobie błoto. I będą się w nim kapać.

[57] *Mein Liebchen* (niem.) – moja kochana.





## 9.

# Strona ludzka, strona służbowa

Tamtej nocy zaczął się zastanawiać, dlaczego w ogóle go to spotkało.

Choć długo bił się z różnymi, najczarniejszymi nawet myślami, nie potrafił znaleźć dobrej odpowiedzi. Owszem, w swoim życiu naukowiec miał zarówno przyjaciół, jak i osoby mu niechętne. O żadnej z nich nie byłby jednak w stanie powiedzieć, że to nieprzyjaciel. Zarówno we Lwowie, jak i Berlinie, Paryżu, a od dwunastu lat w Poznaniu. Nasuwał się więc nieubłaganie jeden logiczny wniosek: to, co się właśnie dzieje, musi być elementem zemsty za inne „przewinienia”. Być może za pewien tajny kurs na Cytadeli, do udziału w którym wytypował ponad dwadzieścioro swoich najzdolniejszych studentów i studentek...

A jeśli tak...

Jeśli rzeczywiście tak było, jego sytuacja nie przedstawiała się w różowych barwach. Znalazłby się tym samym w rękach, w których nigdy nie chciałby się znaleźć. Fakt, że jego porywacze mówili po polsku, o niczym jeszcze nie przesądzał. Być może działają na zlecenie. Może nawet wykonują rozkazy z zagranicy?

## Poznań, piątek 3 lipca, wczesnym rankiem

Pobudka w domowych pieleszach nastroiła Kaczmarka nad wyraz życzliwie do świata. I choć musiał poderwać się z łóżka już po siódmej, zdołał jeszcze wykroić ze skromnego czasu nieco czułości dla małżonki. Zresztą z wzajemnością.

– O której dziś wrócisz? – zapytała ze smutkiem w głosie, gdy wychodził z mieszkania.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. W oczach Loni zauważył żal.

– Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj – odparł szczerze.

Nie był przekonany, czy wybrał właściwą odpowiedź. Ale nie potrafił też kłamać.

Na komendzie był wcześniej niż Kayser. Zaraz też rzucił się do wertowania porannych gazet. Specjalnie zainteresował go jeden konkretny tytuł. W „Dzienniku Poznańskim” nie znalazł na szczęście kolejnego ogłoszenia o profesorze, którego tajemniczy „ktoś” oferował, dodając pogardliwą adnotację „tylko godne oferty”. Najwidoczniej redaktor odpowiedzialny Winiewicz dał wystarczająco mocną burę swoim nierozgarniętym podwładnym.

Uspokojony tym faktem, Kaczmarek skupił się na pobieżnej lekturze najnowszych doniesień prasowych. A w lokalnym świecie politycznym zachodziły właśnie ważne wydarzenia. *Paderewski nie przyjedzie* – głosił doskonale widoczny nagłówek jednej ze stron. Komisarz znalazł pod nim odezwę prezydenta miasta. Cyryl Ratajski cytował depeszę otrzymaną od Mistrza Paderewskiego:

*Stan zdrowia mej biednej żony pogorszył się znowu. Z głębokim żalem donoszę, że do Poznania przybyć nie mogę.*

*W tej ciężkiej chwili pocieszam się tylko ufnością, że nieobecność moja nie wywrze żadnego wpływu na przebieg uroczystości...*

– informował z dalekiej Szwajcarii Paderewski.

Hm, to wielka szkoda dla planowanej fety z odsłonięciem pomnika Wilsona – pomyślał Kaczmarek. Z jego refleksją współgrała opinia Ratajskiego w „Dzienniku”: prezydent podsumowywał z niekłamanym żalem, że uroczystość odbędzie się „bez udziału umiłowanego przez nas współobywatela Ignacego Paderewskiego”.

– Może to i lepiej, mniejsza będzie poruta – mruknął komisarz.

Miał na myśli brak postępów we własnym śledztwie.

Podniesiony mocną czarną kawą, którą musiał sobie zrobić sam, zauważył nagle brak przodownika Borowczaka, swojego najbliższego podwładnego. Przedzwonił więc natychmiast na dyżurkę, do Schuppkego. Ten jednak zaklinał się, że nie widział jeszcze tego dnia przodownika.

– Od wczoraj, gdy przed południem opuścił komendę, jeszcze się nie pojawił – zapewniał Schuppke.

Wydało się to Kaczmarkowi dziwne. Doskonale pamiętał, jakie zadanie powierzył Borowczakowi ich szef. Przodownik miał prowadzić obserwację ekipy niemieckich pięściarzy, podejrzewanych przez Kaysera o związek ze zniknięciem Krygowskiego. I choć poprzedniego dnia Kaczmarek uważał ten rozkaz za kompletnie chybiony, naraz poczuł niepokój. Może jednak jest coś na rzeczy z tymi szwabskimi bokserami? Może Borowczak odkrył coś ciekawego? A może...

Do gabinetu Kaczmarka wtargnął bez pukania Anioła. Wyglądał na wzburzonego.

– Dzwonili przed chwilą ze szpitala miejskiego na Szkolnej! – krzyknął.

– I co?! Gadajże w końcu! – nie wytrzymał Kaczmarek.

– Mają Borowczaka!

– Jak to: mają?!

– Został znaleziony ciężko ranny na Piekarach!

– Na Piekarach?! A co on tam robił, do jasnej cholery?!

– Diabli wiedzą, panie komisarzu. Znaleźli go w bramie kamienicy, leżał w kałuży krwi...

– Matko Boska! Lecimy zaraz do szpitala! Tylko bystro!

– Nie ma sensu, panie komisarzu. Lekarz przekazał, że Borowczak jest nieprzytomny. Nic z niego nie wyciśniemy, jeśli o to chodzi...

Komisarz zawahał się na moment.

– Dobra, Anioła! Masz rację. Bierz zatem ekipę i lećcie na Piekary! Ustalcie miejsce ataku, odnajdźcie i przepytajcie tych, którzy znaleźli Borowczaka. Może nie zatarto tam jeszcze wszystkich śladów. Może znajdziecie coś ważnego.

– Tak jest!

– Zajrzę do was za godzinę, najdalej dwie. Zdasz mi wtedy raport.

– Zrobi się, panie komisarzu!

## Prezydium Policji, pół godziny później

– To niepojęte! Atak na policjanta to jednak rzadkość w tym mieście – zauważył podinspektor Kayser.

Był wzburzony informacją o stanie Borowczaka i o tym, co spotkało go w jednej z kamienic na Piekarach. Z miejsca przyjął, że napaść na policyjnego agenta miała związek z wykonywanym przez niego zadaniem. To, że potwierdzała związek goszczących w hotelu Monopol Niemców ze sprawą uprowadzenia profesora Uniwersytetu Poznańskiego, również nie ulegało dla niego wątpliwości. Choć Kaczmarek cierpliwie tłumaczył przełożonemu, że w tej ostatniej kwestii nie mieli, póki co, żadnych dowodów, a jedynie „luźne domysły”.

– Co robimy? – zagaił w końcu na zasadniczy temat Kayser.

– Wydaje mi się, że śledzenie Niemców nie ma dziś większego sensu – przyznał otwarcie Kaczmarek.

– Dlaczego?

– Bo akurat dzisiaj mają ten swój mecz z naszą drużyną.

– Gdzie?

– Na targach, zdaje się w Hali Reprezentacyjnej.

– Mam nadzieję, że nasze chłopaki spuszczą im niezły łomot.

– To niewykluczone, nasz boks idzie ostatnio ostro w górę.

– Oby! – Kayser, choć wywodził się z rodziny o bamberskich korzeniach, nigdy nie ukrywał, że nie przepada za Niemcami.

– Dobrze, gotów jestem się zgodzić, że Szkopów możemy dziś sobie odpuścić. Co zatem planujesz, Biniu?

Nastrój szefa, który jeszcze wczoraj przypominał stan ducha skazańca, wyraźnie się poprawiał. Optymistyczne było i to, że Kayser wydawał się wreszcie w pełni otwarty na inicjatywę i pomysły Kaczmarka. Komisarz postanowił to wykorzystać.

– Rozmowa z jego magnificencją rektorem podsunęła mi nowe wątki w sprawie profesora. – Przeszedł od razu do rzeczy.

– Otrzymałem dane jego najbliższych współpracowników i studentów, którym... matematyk najbardziej ufał.

– Co to znaczy? W czym im ufał?

– Rektor nie chciał mi tego wyjaśnić. Zdaje się, że kluczowa może się okazać trójka młodych matematyków, z których jeden mieszka na stałe w Poznaniu, a pozostali dwaj pochodzą z Bydgoszczy i ze ściany wschodniej. Czuję, że poza zaufaniem łączyło ich z profesorem Krygowskim coś więcej.

– Co?

– Hm... Być może tajna misja dla naszego wywiadu, o której wspomniał mimochodem kapitan Ciężki...

– A tak, oczywiście – przypomniał sobie Kayser. – Tak, ta hipoteza ma ręce i nogi. Rozumiem, że zamierzasz przesłuchać całą trójkę?

– Właśnie. Próbowałem już z Zygalskim, tym studentem z Poznania, ale nie zastałem go wczoraj w domu.

– Zgoda, pełna zgoda! – przytaknął Kayser, wyciągając z dna szuflady swoją nieodłączną fajkę i tytoń w woreczku, co zwiastowało tylko jedno: podinspektor odzyskał już równowagę po zawstydzającym niepowodzeniu pod niemiecką granicą. – Daj mi tylko szybko znać, co z nich wyciągnąłeś. Bo pewnie nie będzie łatwo.

– Jeśli wyszli spod ręki Ciężkiego, jest to wielce prawdopodobne. – Kaczmarek uśmiechnął się złośliwie na wspomnienie niedawnej „przeprawy” z kapitanem.

– Aha! A Borowczaka biorę na siebie! – zaoferował się Kayser. – Ty skup się wyłącznie na informacjach o Krygowskim.

– Tak jest. Najpierw jednak odwiedzę Ciężkiego.

– Po co, u licha?!

– Spróbuję nawrócić go na nasze śledztwo.

– To się nie uda. Wiesz chociaż, gdzie go szukać?

– Zdaje się, że urzęduje całkiem niedaleko stąd.

## Poznań, gmach Intendentury Wojskowej przy Wałach Kościuszki[58], około dziewiątej rano

Zwalisty budynek intendentury od dawna intrygował Kaczmarka. Solidny, dwupiętrowy gmach z dwoma skrzydłami, zagiętymi pod kątem prostym od ośmiobocznej wieży, wystającej ponad poziom dachu, powstał, gdy na początku wieku Niemcy niwelowali umocnienia otaczające Poznań. Gmach postawiono niemal w tym samym miejscu, w którym stała Brama Berlińska – niegdyś główny wjazd do ufortyfikowanego miasta. Choć na tle Zamku Cesarskiego, sąsiadującego z budynkiem przez ulicę, siedziba wojskowej intendentury zdawała się nieduża, by nie powiedzieć skromna, tym niemniej wcale mała nie była. Jej surowa, pozbawiona ozdób sylwetka nadawała miejscu tajemniczy charakter.

Komisarz jako człowiek służb doskonale wiedział, że to właśnie tutaj ulokowali się przedstawiciele poznańskiej ekspozytury Oddziału II Sztabu Głównego, czyli wojskowego wywiadu. Szukając wejścia do budynku, zdał sobie nagle sprawę z pewnej zaskakującej koincydencji: bezpośredniej bliskości Wydziału Matematycznego uniwersytetu i siedziby Dwójki. Czyżby to nie był przypadek? Przecież matematyków dzieliła od wywiadowców ledwie szerokość Wałów Kościuszki... Mój Boże, dlaczego wcześniej tego nie zauważył?

Mimo tężejącego upału, w cieniu budynku intendentury było całkiem sympatycznie. Kaczmarek szybko odnalazł niedużą bramę na końcu gmachu i wszedł przez nią do niewielkiego holu. Wnętrze w niczym nie przypominało koszar. Na żadnej ze ścian nie dostrzegł wojskowych emblematów czy choćby



godła państwowego. Zdejmując kapelusz, natknął się na czujnego wartownika w mundurze sierżanta.

– A pan do kogo? – usłyszał pytanie.

– Komisarz Zbigniew Kaczmarek, wydział śledczy policji – przedstawił się, okazując służbową odznakę. – Chciałbym pilnie porozmawiać z kapitanem Ciężkim.

Sierżant obrzucił go zaskoczonym spojrzeniem.

– Proszę usiąść, panie komisarzu. – Wskazał mu ławkę pod ścianą. – To może chwilę potrwać.

Kaczmarek grzecznie wykonał polecenie, obserwując, jak podoficer podchodzi do czegoś w rodzaju dyżurki i chwyta za telefon. Chwilę później meldował już o wszystkim przełożonym.

W budynku panował przyjemny półcień, potęgujący tajemniczy klimat miejsca. Gdzieś z głębi gmachu, zza nieodległych schodów, do uszu komisarza dochodził szum pospiesznych kroków i szelest przygaszonych rozmów. Niewątpliwie w tych murach kwitło bardzo intensywne, acz słabo zauważalne z zewnątrz życie. Przez korytarze, pokoje i gabinety tego rozległego budynku każdego dnia przepływały zapewne setki, jeśli nie tysiące cennych dla bezpieczeństwa kraju informacji. Ogromna, zdecydowana większość z nich, jak spodziewał się Kaczmarek, dotyczyła kierunku zachodniego.

– Witam pana komisarza. – Dobrze mu już znany głos Ciężkiego wyrwał go z objęć zadumy.

– Dzień dobry. – Podniósł się i wyciągnął dłoń na znak, że ma dobre intencje.

Ciężki był tym razem w mundurze, uścisnął dłoń Kaczmarka bez specjalnej serdeczności.

– Proszę za mną – nakazał.

Po chwili znaleźli się w niedużej sali, położonej niemal na wprost stanowiska sierżanta. Była to niewielka rozmównica, urządzona wręcz po spartańsku: poza biurkiem i dwoma krzesłami nie było w niej nic więcej. Jedyne okno pomieszczenia wychodziło wprost na mury pobliskiego Zamku. Usiedli.

– Słucham. Co sprowadza pana komisarza? – zagaił Ciężki, wyciągając paczkę egipskich i nieskutecznie proponując gościowi papierosa. – Ma pan może nowe ustalenia związane z profesorem?

– Niestety nie – westchnął Kaczmarek. – Mam natomiast prośbę.

– Tak? – Kapitan wydobył z kieszeni spodni zapalniczkę i zaciągnął się pierwszy raz dymem. – O co chodzi?

– Z grubsza o to samo. – Kaczmarek miał zbyt mało czasu, by owijać w bawełnę. – Aby ruszyć z miejsca, potrzebuję konkretnych informacji, w czym był wam pomocny profesor Krygowski. W czym konkretnie wam pomógł, panie kapitanie.

Ciężki wypuścił w górę słup dymu. Podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie i pokręcił nią z dezaprobatą.

– Żąda pan ode mnie rzeczy niewykonalnej – oświadczył nieco lekceważącym tonem. – Domaga się pan, bym złamał tajemnicę państwową. Wybacz pan, ale nie zrobię tego. Równie dobrze mógłbym natychmiast odejść ze służby. A może raczej: palnąć sobie w łeb.

Kaczmarek spodziewał się podobnej odpowiedzi. Dlatego nie zareagował nerwowo.

– Czegoś tu nie rozumiem – wyznał spokojnie. – My i wy mamy ten sam problem. Szukamy człowieka, który jest więcej niż ważny. A już szczególnie ważny dla was. A zwłaszcza dla bezpieczeństwa państwa. Dlaczego więc nie możemy połączyć

naszych sił? Dlaczego utrudnia mi pan śledztwo, jednocześnie oczekując, że będę szybki i skuteczny?

Ciężki zwlekał z odpowiedzią. Kilka razy sztachnął się egipskim i wypełnił małą salkę gęstym dymem.

– Proszę zrozumieć – odezwał się w końcu. – Osobiście nic do pana nie mam i szczerze panu kibicuję. Muszę jednak wykonywać rozkazy moich przełożonych.

– Jakie rozkazy?

– Warszawa nie zgadza się, by kogokolwiek wtajemniczać w nasze działania. Są... zbyt ważne. Zbyt cenne, by narażać je na szwank. Kiedyś być może pan mnie zrozumie. Być może. Otrzymałem jasny rozkaz: nie wtajemniczać nikogo. Nawet policji.

– To absurd.

– Z pańskiego punktu widzenia.

– Z każdego punktu...

– Nie oceniam publicznie rozkazów dowództwa.

– Ale... czy dobro profesora, człowieka tak dla was cennego, nie jest tu najważniejsze?

– Panie komisarzu, zakończmy tę rozmowę. I tak wie pan zbyt wiele, na komendzie chyba przekroczyłem swoje kompetencje.

– Ale przecież profesor może być w niebezpieczeństwie. Może mu grozić śmierć...

Maksymilian Ciężki, kapitan Wojska Polskiego, zgasił gwałtownym ruchem palców papierosa i spojrzał Kaczmarkowi prosto w oczy.

– Panie komisarzu, z całym szacunkiem: w trakcie służby zdarzają się rzeczy zdecydowanie ważniejsze niż życie jednego, nawet najbardziej cennego człowieka.

## Poznań, hotel Monopol, kwadrans po dziewiątej

Przez uchylone okno widział tramwaj linii numer 7, wolno pnący się po pochyłości dawnej Victoria Strasse<sup>[59]</sup>. Pojazd stękał natężonym żelastwem, z łoskotem przetaczając się po zapadniętych w bruku szynach. Mimo dnia roboczego podróżowała nim ledwie garstka pasażerów. Erich Rüdiger nie zamierzał się jednak zastanawiać dlaczego. Myślami od dawna był gdzie indziej: w bramie na Piekarach.

Przez pół nocy analizował, kim mógł być ten młody Polak, który śledził go poprzedniego dnia – i którego musiał potraktować żelaznym łomem, który nawinął mu się pod ręką. Frau Erica podniosła krzyk, jak to kobieta, ale uciszył ją szybko. Pobieżne przeszukanie ciuchów Polaka niewiele dało – nie miał przy sobie żadnych dokumentów, co już samo w sobie było dość dziwne. Ewidentnie wyglądał na policyjnego tajniaka – a jeśli tak, oznaczałoby to, że Polacy coś zwąchali. I że w każdej chwili mogą przyjść po niego do hotelu i go aresztować...

Na samą myśl o takim upokorzeniu zazgrzytał zębami. Nie, to chyba niemożliwe – niemal natychmiast się uspokoił. Ten młodzian, którego tak zaprawiłem, raczej nie przeżył. A jeśli nawet jakimś cudem łapiduchy utrzymały go na tym świecie, z pewnością leży nieprzytomny i jeszcze długo nie zezna, od kogo oberwał. A nawet jeśli w końcu odzyska świadomość, dawno już będę z powrotem w Berlinie. A wtedy Polaczki będą mogli już tylko sobie pogardłować. Pies ich trącał!

Zrozumiał, że szanse nieprzewidzianych komplikacji są na tyle niewielkie, że nie musi się nimi przejmować. Odszedł więc

od okna i zajął się swoim trenerskim dressem. Do meczu pozostało ledwie kilka godzin, a on musiał odprasować swój uniform. Mecz! Tylko to się w tej chwili liczyło.

## Nadal w Poznaniu, w śródmieściu, niespełna godzinę później

Opór Ciężkiego rozsierdził Kaczmarka. Wychodząc z nienaturalnie cichego gmachu intendencji, zaklął soczyście, jak nigdy dotąd. Był wściekły i dodatkowo zmotywowany, by za wszelką cenę dociec istoty kontaktów łączących uprowadzonego matematyka z wojskowym wywiadem. Rozumiał, że bez tego nie zdoła uchwycić końca nici, która mogłaby go doprowadzić do profesora Krygowskiego. Czuł, że to może być kluczowy wątek sprawy.

Nie namyślając się długo, wskoczył w tramwaj i podjechał na Grunwaldzką, pod hotel Polonia. Poprzedniego dnia nie zastał w domu niejakiego Zygalskiego, który dopiero co ukończył studia na ostatnim roku matematyki. Tym razem liczył na więcej szczęścia. Przejeżdżając obok szerokiej fasady Pałacu Rządowego, zbudowanego na Pewukę, pomyślał, że jeśli tym razem mu się nie powiedzie, uzna to za wyjątkową złośliwość losu.

O Zygalskim wiedział tylko tyle, że maturę pisał w Gimnazjum św. Marii Magdaleny. I że jego rodzice prowadzą pracownię krawiecką. Skoro związany był blisko z profesorem, musi być wysokiej klasy matematykiem – wywnioskował Kaczmarek. Nie zamierzał z nim jednak rozmawiać o nauce.

Wysiadł na przystanku przy Grunwaldzkiej i zafundował sobie dłuższy spacer. Czuł potrzebę uporządkowania myśli. Idąc wzdłuż ulicy Matejki i spoglądając przez płot na pełen beztroskich spacerowiczów park miejski, pomyślał, że jego praca jest jednak wyjątkowo niewdzięczna. Gdy inni mogą się cieszyć latem w pełnej krasie, on musi szukać zaginionego człowieka bez żadnej gwarancji powodzenia.

Naraz przypomniał sobie, że następnego dnia właśnie tu, przy głównym wejściu do parku od strony ulicy Focha, odsłonięty zostanie pomnik prezydenta Wilsona. Wcale by się nie zdziwił, gdyby w trakcie uroczystości poznańskie elity rozprawiły na boku o nieudolności policji...

Kamienica przy Matejki 32 zdawała się tym razem tętnić życiem. Kaczmarek otrząsnął się ze złych myśli i rażnym krokiem wszedł na klatkę schodową. Potrzebował pilnie sukcesu, choćby najmniejszego! Przecież to cholerne śledztwo musi w końcu ruszyć do przodu!

Szyld na drzwiach upewnił go, że stoi przed mieszkaniem Zygalskich. Nacisnął na dzwonek.

Usłyszał czyjeś kroki. Drzwi otworzyły się i stanął w nich postawny mężczyzna w wieku, który uprawdopodobniał hipotezę, że to dopiero co wypromowany absolwent uniwersytetu. Miał lekko pucułowatą twarz, której chciał zapewne nadać większej szczupłości za pomocą wypielęgowanej, acz rzadkiej bródki.

– Pan do mnie? – zapytał, obrzucając Kaczmarka podejrzliwym wzrokiem zza szkieł okularów.

– Pan Henryk Zygalski?

– Tak...

– Policja, komisarz Kaczmarek. Pozwoli pan, że zajmę panu godzinę?

## Szpital miejski przy ulicy Szkolnej, w tym samym czasie

Grubo obandażowana głowa Borowczaka wymownie zaświadczała, jak solidnie oberwał od nieznanego napastnika. Podinspektor Kayser wiele by dał, żeby się dowiedzieć, kto to zrobił. Niestety, ciężko ranny podwładny leżał jak kłoda – równie niemy i sztywny. Od chirurgów Kayser dowiedział się, że Borowczak miał pękniętą czaszkę i tylko cudem trzymał się przy życiu.

– Kluczowe będą dwie najbliższe doby – powiedział mu jeden z lekarzy.

Skoro zdobycie jakichkolwiek zeznań było niemożliwe, Kayser uznał, że przyzwoitość nakazuje, by przynajmniej jakiś czas posiedzieć przy podwładnym, tak okrutnie potraktowanym przez tajemniczego bandytę. Od Anioły, który na miejscu ataku miał wraz ze swoją ekipą ręce pełne roboty, dowiedział się, że nikt z mieszkańców kamienicy nie widział momentu napaści na funkcjonariusza. W bramie poza kałużą krwi na posadzce nie znaleziono żadnych nadzwyczajnych śladów. Napastnik zabrał ze sobą narzędzie ataku – zapewne ciężką żelazną sztabę.

Musiał być wyjątkowo pewny siebie – uznał Kayser. Odczuwał coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Niewykluczone, że agresorem był ktoś z niemieckiej ekipy, którą nakazał śledzić Borowczakowi. Gdyby wiedział, czym to się może skończyć, wysłałby więcej agentów pod hotel Monopol... No właśnie, pod hotel. Z placu Gwarnego na Piekary jest przecież

ładny kawałek! Za kim szedł Borowczak, skoro niespodziewanie został znaleziony półżywy w kamienicy przy Piekarach?

Wpatrywał się w bladą, nieruchomą twarz przodownika po skomplikowanej operacji i brała go złość. Żałował, że Borowczak nie może choć na chwilę odzyskać świadomości i wypowiedzieć tylko jednego zdania, po którym natychmiast uruchomiliby wszystkie siły, jakimi dysponowali. Ujęliby gnojka w godzinę!

– Niech pan podinspektor wraca na komendę. To nie ma sensu – dyżurny chirurg nachylił się nad siedzącym na zydlu przy łóżku rannego Kayserze. – Jak coś się zmieni, natychmiast pana poinformujemy. Choć nie spodziewałbym się, że nastąpi to szybko.

– Jest aż tak źle?

– Obrażenia głowy są najtrudniejsze do prognozowania. Ich skutki bywają ukryte, a często nieodwracalne.

– Mój Boże – wymamrotał przygnębiony Kayser. – To ja go tam posłałem...

– Skąd mógł pan wiedzieć...

– Racja. Mimo wszystko źle się z tym czuję.

– Proszę wracać do komendy. Nic tu po panu.

– Łatwo panu mówić, doktorze.

Poznań, na Łazarzu, kwadrans po dziesiątej

Wysokie sufity i duże, jasne okna – mieszkanie Zygalskich było przestronne i mogło się podobać.



Młody Zygalski nie był przesadnie rozmowny. Nawet mimo okazanej mu policyjnej odznaki. Kaczmarek z miejsca wyczuł, że chłopak na hasło „policja” zareagował nieufnie, z dużą dozą dystansu. Wpuścił wprawdzie komisarza do mieszkania, ale cała jego mowa ciała zdradzała w zasadzie jedno: nie wiem, kim jesteś, więc ci nie ufam.

– Rodzice są w pracy – wyznał młody Zygalski. – To znaczy w swoim warsztacie krawieckim.

– Rozumiem. – Kaczmarek usiadł w jednym z dwóch foteli, ustawionych w rogach salonu. – Przychodzę do pana w związku z profesorem Krygowskim. Pewnie pan wie, co się stało?

Zygalski drgnął i szybkim krokiem podszedł do policjanta.

– Czy coś już wiecie? To bardzo ważne, żeby mu pomóc!

– Zgadzam się z panem. Dlatego tu jestem, dzięki pośrednictwu rektora Kasznicy.

– Samego rektora? W czym zatem mogę panu pomóc?

Kaczmarek spojrział na tego dopiero co wypromowanego absolwenta Uniwersytetu Poznańskiego i poczuł do niego jakąś sympatię. Nie znał go wprawdzie, widział go ledwie kilka minut, ale dałby sobie rękę uciąć, że ma do czynienia z energicznym, łebskim facetem.

Jakby na potwierdzenie tej konstatacji Zygalski podwinął rękawy koszuli i usiadł w fotelu naprzeciwko, gotów do poważnej rozmowy.

– Szanowny panie, żeby wiedzieć, kto i dlaczego zaszkodził naszemu profesorowi, muszę dokładnie wiedzieć, w jakim projekcie dla wojska uczestniczył. Pan rozumie, że z powodu braku czasu muszę iść z panem na duże skróty, ale innej drogi nie ma. Albo mi pan wyjawi, dlaczego profesor mógł zostać uprowadzony, albo nadal będziemy błądzić. A to

z pewnością nie jest dobre dla profesora – podsumował komisarz.

Widział, że niedawny student matematyki walczy ze sobą. Zupełnie, jakby chciał powiedzieć coś ważnego, a jednocześnie nie wiedział, nie był przekonany, czy to bezwzględnie konieczne.

– Ja... – zaczął, by natychmiast się zaciąć. – Ja... My... Mnie obowiązuje tajemnica.

– Czy wyście wszyscy oszaleli?! – nie wytrzymał Kaczmarek.  
– Tajemnica! Wszyscy bawią się w utajnianie potrzebnych policji danych, a ten biedny, stary człowiek czeka na odsiecz i nie ma na nią żadnej szansy! A jeśli już nie żyje? Co wtedy? Czy wy wszyscy weźmiecie na siebie odpowiedzialność za jego śmierć?! Tajemnica państwowa! Nie kwestionuję, ważna rzecz! Ale gdy idzie o życie człowieka, czasem trzeba nagiąć te cholerne przepisy, nie uważa pan?! Otóż ja sądzę, że trzeba! Ba! Nawet uważam, że należy! Choćby mnie potem mieli rozstrzelać za ujawnienie jakiejś tajemnicy! A niech by tam!

Zygalski słuchał tego nagłego ataku furii z wyrozumiałością na twarzy, nerwowo szarpiąc przy tym brodę.

– Od strony ludzkiej ma pan absolutną rację – przyznał w końcu. – Ale...

– Ale co?

– Ale jest jeszcze strona służbowa.

Kaczmarek parsknął śmiechem. Był to jednak śmiech nerwowy i bezsilny.

– I pan mi to mówisz?! Mnie, oficerowi policji?! Przecież doskonale wiem, co to procedury i rozkazy. A jednak bywają chwile, kiedy trzeba się umieć wznieść ponad bezduszne przepisy. Okazać swoje człowieczeństwo. Inaczej staniemy się wyłącznie zimnymi, pozbawionymi uczuć maszynami. To właśnie jest taka sytuacja! Nie wiemy, co grozi pańskiemu

mistrzowi. Ale musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by mu pomóc. Przecież sobie na to zasłużył!

Młody matematyk mimowolnie skinął aprobowująco głową.

– Ma pan rację. Od strony ludzkiej.

– Cholera jasna! – Kaczmarek poderwał się z fotela. – Rozmawiam z człowiekiem czy z maszyną? Co z panem jest, młody człowieku?! Trzeba ratować profesora, pańskiego mistrza! Teraz! Już! Czy to naprawdę nic dla pana nie znaczy?!

Zygalski ciągle się nad czymś zastanawiał. Kaczmarek doskonale wiedział, co go gryzie. Odniósł wrażenie, że na słowo „mistrz” student profesora drgnął.

– Powiem panu coś jeszcze, a potem sobie pójdę – zaznaczył komisarz dla podniesienia efektu. Postawił wszystko na jedną kartę, dlatego starannie modulował teraz barwę głosu, by wypaść możliwie przekonywająco: – Niech mnie pan posłucha, panie Zygałski. Gdyby... gdyby zaginął mój mistrz, człowiek, któremu tak wiele zawdzięczam, nie zawahałbym się ani przez moment. Dlatego dziwię się panu, że pan tego nie rozumie...

– Rozumiem.

– ...i że nie jest zainteresowany, by mi pomóc. Ale cóż, takie czasy. – Komisarz rozłożył demonstracyjnie ręce i ruszył w stronę drzwi. – Mam nadzieję, że nie będzie pan żałował swojej decyzji. Że sumienie pana nie zagryzie. Do widzenia.

Zygałski zerwał się z fotela i chwycił Kaczmarka za ramię.

– Chwila! – odezwał się nerwowym, jakby urażonym tonem. – Panie szanowny, niech pan nie będzie taki narwany!

Prezydium Policji, w pól do jedenastej

Telefon był natarczywy i nie przestał dzwonić, dopóki podinspektor Kayser nie podniósł słuchawki.

– Ratajski! – Podinspektor Kayser usłyszał znajomy, lekko zachrypnięty głos prezydenta. – Co z naszym śledztwem, panie podinspektorze?

Szef wydziału śledczego w jednej chwili zbladł, na szczęście jego pryncypał tym razem nie był w stanie tego dostrzec.

– Melduję, panie prezydencie, że sprawa jest w toku. Znaczą się, jest rozwojowa.

– To wiem. Znaleźliście przecież to przejście z Zamku do Urzędu Ziemskiego.

– Tak jest.

– Ja się pytam, co nowego.

– Sprawdzamy aktualnie najlepiej rokujący wątek śledztwa, związany z... pozauczelnianą aktywnością porwanego.

– O! Pozauczelnianą, powiadasz pan... Czy dlatego pańska ekipa była wczoraj pod Chodzieżą?

– Widzę, że pan prezydent ma świetne informacje. Niestety, akurat ten ślad okazał się nieprawdziwy.

– Proszę przyspieszyć działania! Nie muszę panu przypominać, że sprawa wyszła już do prasy. Gryzipiórki z „Kuriera” męczą nas codziennymi pytaniami, opędzamy się przed nimi jak przed muchami!

– Strasznie... Strasznie mi przykro, panie...

– A mnie nie, panie Kayser! Proszę i naciskam: zróbcie coś wreszcie! Czy to się może udać przed jutrzejszym odsłonięciem pomnika?

– Cóż, panie prezydencie... Nie mam, niestety, takiej pewności.

– Bo?

– Ponieważ... mój najlepszy człowiek prowadzi dziś kluczowe przesłuchania. To trochę potrwa...

– Chce mi pan powiedzieć, że nadal nic nie wiecie?

– Aż tak źle nie jest, panie...

– To czemu stoicie w miejscu?

– Już mówiłem, sprawa jest w toku. W każdej chwili możemy uzyskać nowe, kluczowe informacje. Na pewno zareagujemy wtedy stosownie do potrzeb.

– Panie Kayser! – głos prezydenta zdradzał dwa stany: zmęczenie i skrajną irytację. – Naprawdę miałem o panu lepsze mniemanie! Albo doczekam się szybkich i prawdziwych postępów, albo...

Trzask rzuconej na widełki słuchawki uciął połączenie komendy ze Starym Ratuszem. Choć Cyryl Ratajski nie dokończył groźby, podinspektor Zygfryd Kayser poczuł dreszcz na karku. Dotarło do niego, że właśnie ważą się losy jego policyjnej kariery.

– Biniu, do jasnej cholery... – syknął w pustą przestrzeń swojego gabinetu. – Znajdź coś wreszcie, proszę!

## Znowu na Łazarzu, w tym samym momencie

– Musi pan wiedzieć, że za ujawnienie tych informacji mogę pójść siedzieć. Co najmniej tyle. A może nawet stanę przed plutonem egzekucyjnym. – Zygalski wypowiedział te słowa ze śmiertelną powagą.

Nie sprawiał wrażenia taniego efekciarza. Wprost przeciwnie, wypowiadał się tonem człowieka, który jest świadomy

znaczenia swoich słów.

– Wiem. – Kaczmarek poklepał go uspokajająco po ramieniu.  
– Zapewniam jednak pana, że będę pierwszym, który stanie w pana obronie. A w razie czego pójdzie z panem przed ten sam pluton. Panie Henryku, przecież wiemy, o czyje życie tu idzie. Im dłużej trwa ta ciuciubabka, tym mniejsze są szanse, że odzyskamy profesora.

Zygalski przycesał dłonią bujną grzywę i spojrzał raz jeszcze prosto w oczy Kaczmarka. Zza szkielek okularów absolwenta uniwersytetu biła teraz determinacja.

– Jestem współpracownikiem Biura Szyfrów – powiedział cichym głosem, niemal szeptem. – To tajna komórka Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego...

– Czyli wywiadu – dopowiedział równie cicho Kaczmarek.

Był w szoku, że taki młody człowiek pracuje dla kraju na takim odpowiedzialnym stanowisku. Musiał być piekielnie zdolny, skoro został zatrudniony w wielce istotnym dla bezpieczeństwa kraju miejscu.

– Tak, panie komisarzu. Rozumie pan teraz moje opory przed dzieleniem się tą informacją.

– Rozumiem.

– No właśnie.

– Czym pan się tam zajmuje, jeśli wolno spytać?

Zygalski odpowiedział szeptem:

– Dekryptażem. Na polecenie Sztabu Głównego przez dwanaście godzin w tygodniu wraz z dwoma kolegami łamiemy klucze szyfru podwójnej transpozycji...

– Że co proszę? – pogubił się Kaczmarek.

– Nieważne. Najogólniej rzecz ujmując: pomagamy Warszawie złamać kody wojskowe... Pan wybaczy, panie komisarzu, ale nie podam żadnych szczegółów. Nie mogę, to zbyt tajne, nawet jak na potrzeby policji. Musi się pan

zadowolili stwierdzeniem, że... że usilnie staramy się odczytywać niemieckie radiogramy wojskowe<sup>[60]</sup>. Centrala Biura Szyfrów mieści się w stolicy, my w budynku Intendentury Wojskowej stanowimy tylko jej ekspozyturę.

Kaczmarek z wrażenia aż zagwizdał. Coś w tej tajemniczej historii nagle zaskoczyło: w jednej chwili zrozumiał, że lokalizacja tajnej komórki wywiadu tuż obok Zamku nie była dziełem przypadku.

– Panowie, mam szacunek dla waszej pracy. Co z tym jednak wspólnego miał profesor Krygowski? – zapytał, choć przeczuwał, że zna odpowiedź.

– To dzięki jego rekomendacji wraz z innymi kolegami i koleżankami ze studiów trafiłem na kurs kryptologiczny zorganizowany na uniwersytecie. To właśnie profesor Krygowski na prośbę armii z pomocą swoich asystentów wytypował najlepszych studentów do tajnych zadań. To wszystko działo się dwa lata temu, wiosną i latem 1929 roku. Szkolili nas oficerowie Wojska Polskiego, których nazwisk nie wymienię...

Na pewno ten skurczybyk Ciężki – pomyślał Kaczmarek.

– ...Wszystko odbywało się w stacji nasłuchowej na Cytadeli. Dla niepoznaki i konspiracji, bo profesor Krygowski miał sekretarkę niemieckiego pochodzenia, jeździliśmy tam tramwajem.

– Niemieckiego pochodzenia... – mruknął komisarz.

– Na koniec z naszego grona wydzielono ósemkę, a potem trójkę najlepszych... – kontynuował Zygalski.

A więc Zygalskiego, Rejewskiego i Różyckiego – przemknęło przez głowę Kaczmarka.

– Dostaliśmy pracę w Biurze Szyfrów, godząc ją ze studiami. Marian skończył studia najwcześniej z nas, ale dołączył do nas dopiero, gdy wrócił z Getyngi. I... to w zasadzie wszystko.

Kaczmarek pokiwał głową z uznaniem dla niewyobrażalnej dlań biegłości matematycznej człowieka, którego miał przed sobą. Był przekonany, że jego towarzysze reprezentowali ten sam typ młodych geniuszy, na których w przyszłości oprze się potęga tego kraju.

– Przepraszam, ale muszę jeszcze o coś zapytać – podchwycił. – Wasza działalność, w tym także profesora Krygowskiego, w oczywisty sposób szkodzi Niemcom. Sądzi pan... Uważa pan, że zniknięcie profesora może mieć bezpośredni związek z jego rolą w waszej tajnej misji?

Zygalski zaszepczał na moment.

– Nie można tego wykluczyć – odpowiedział. – Choć... wydaje mi się to mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

– Bo my wszyscy jesteśmy bardzo hermetyczni. Projekt jest absolutnie utajniony. Ma najwyższy stopień ważności. Wie o nim ledwie garść osób... i teraz także pan.

– Ale sam pan wspomniał o niemieckiej sekretarce profesora...

– Ona ma niemiecko brzmiące nazwisko. I być może niemieckich przodków. Ale zapewniam pana, że do dzisiaj nic nie wie o naszym tajnym projekcie. Ani o istnieniu Biura Szyfrów.

– Nie ma możliwości, że ktoś wyniósł tę informację na zewnątrz? Albo za granicę?

– Tego nigdy nie można wykluczyć. Ale nie wierzę w zdradę. Wie pan... My wszyscy pracujemy dla kraju. Dla kraju i dla sprawy. Niemiaszki po prostu nie mogą mieć przed nami żadnych tajemnic. Gdy będziemy znali ich sekrety, nigdy nie wygrają wojny. Bo do wojny na pewno kiedyś dojdzie. Teraz mamy nie tyle pokój, ile zawieszenie broni. Tak przynajmniej



mówi kapitan... – Zygalski w ostatniej chwili ugryzł się w język, zmilczając nazwisko.

– Skoro on tak mówi, to pewnie ma rację – uśmiechnął się Kaczmarek.

Był oszołomiony ogromem nowych informacji. I choć nie wiedział jeszcze, co o tym wszystkim sądzić, jednego był pewien – musiał pilnie porozmawiać z Rejewskim. Czyżby Zygfryd Kayser miał nosa, że za zniknięciem profesora stoją Niemcy? Chociaż Zygalski w to powątpiewa...

I czy Niemcy daliby tak idiotycznie brzmiące ogłoszenie do prasy?

Gdy wracał do śródmieścia, czuł, że z emocji płoną mu policzki.

[58] Dziś ul. Kościuszki.

[59] Dziś ul. Mielżyńskiego.

[60] Mowa o tajnych działaniach, których efektem było historyczne złamanie kodów niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Według Marka Grajka, autora zarysu biografii Mariana Rejewskiego (zawartego we wspomnieniach Rejewskiego, wydanych nakładem UAM), ani w trakcie kursu kryptologicznego, ani w czasie trzyletniego terminowania w profesji kryptologa, Henryk Zygalski ani żaden z członków zespołu nie usłyszał nazwy maszyny Enigma, której złamanie było ich przeznaczeniem. Prawdziwe znaczenie swoich wysiłków poznali w 1932 r., gdy zostali pracownikami Biura Szyfrów w Pałacu Saskim w Warszawie.



## 10. Na dwóch instrumentach

Przebywał w niewoli już trzecią dobę.

Trzecią dobę skrępowany i oswabadzany jedynie w chwilach, gdy musiał się udać za potrzebą. Karmiony z rzadka i byle czym. I choć miał swoje lata, jego stary organizm z wolna zaczął się przyzwyczajać do narzuconych mu niewygód. A może po prostu zdrętwiałe członki jego ciała stały się nieczułe na zwykły ból.

Tego dnia pilnujące go draby przestały się niemal do niego odzywać – jakby nagle mężczyźni postanowili albo dostali rozkaz, by ograniczyć kontakt z więźniem do minimum.

Coś się musiało stać – wywnioskował ze zmiany podejścia swoich wartowników. Nie wiedział wszakże co.

Na ranem jeden z pilnujących go mężczyzn przetaił mu głowę jakąś zimną ścierką.

Zrozumiał, że rana się goi, nie odczuwał bowiem szczególnego bólu.

Widocznie uznali, że tak trzeba.

A może...

Może szykowali go na jakieś spotkanie?

Tylko z kim?

## Przed prezydium Policji, kwadrans przed dwunastą

– Panie komisarzu! Panie komisarzu! Czy to prawda, że w sprawę zamieszani są Niemcy?!

Rzucone gdzieś z boku pytanie trafiło Kaczmarka rykoszetem, gdy wbiegał na schodki wejściowe do komendy. Było tak bezczelne, że komisarz wykonał krok w tył. Od razu dostrzegł znajomą sylwetkę dziennikarza Grabskiego, wschodzącej gwiazdy „Kuriera Poznańskiego”. Młodzian miał najwyraźniej wielką frajdę z pytania, którym strzelił w stronę policjanta. Stał w rozkroku w swojej wyświechtanej marynarce, z notesem i ołówkiem w dłoniach, gotów zanotować najmniejsze nawet chrząknięcie gliny.

– Szczunie! – Kaczmarek wycelował w dziennikarza palcem, jakby chciał poczęstować go kulką z udawanego pistoletu. – Spróbuj tylko wydrukować podobną głupotę w swoim piśmie, a postaram się o konfiskatę całego nakładu!

– Czyli nie potwierdza pan? – Cherlawy pismak w ogóle nie przejął się groźbą, ukrytą w słowach komisarza.

– Nie twój interes, smarku! Wracaj do mamy!

– Czy śledzicie niemieckich bokserów? Czy nie przeszkadza to sportowcom w przygotowaniach do meczu?

Uff, jeszcze nic nie wie o Borowczaku – pojał w lot Kaczmarek.

– Panie kolego, nie ma sensu komentować tych bzdur – sarknął.

– A jednak się pan cofnął! Coś musi być na rzeczy!

– Cofnąłem się wyłącznie po to, by raz jeszcze spojrzeć w pańską miłą kalafę[61]...

– Zanotowałem! – ucieszył się Grabski, skrobiąc ołówkiem w kajeciku. – Będzie z tego ładny cytat!

– Na zdrowie – mruknął Kaczmarek i ruszył do prezydium.

Wiele by dał, żeby poznać źródło przecieków na komendzie. A może Grabski czerpał garściami z plotek krążących po korytarzach magistratu?

Chwilę później komisarz był już w gabinecie Kaysera. Musiał się z nim pilnie naradzić. Wiedział, co chce przeforsować i był zdecydowany stoczyć o to prawdziwą batalię, z udziałem ciężkiej artylerii i nalotem bombowców w jednym.

Jego szef sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka niż jeszcze poprzedniego dnia, gdy wrócili do komendy po nieudanej akcji w terenie. Nagle dał mu wolną rękę, bez żadnego upierania się co do priorytetów sprawy. Jakby wreszcie zrozumiał, że ręczne sterowanie podwładnym ogranicza nie tylko jego inicjatywę, ale też możliwości śledcze.

– Znowu dzwonił do mnie Ratajski – przemówił wyraźnie ożywiony Kayser od biurka, wskazując Kaczmarkowi miejsce po drugiej stronie.

Pykał nerwowo swoją fajkę, posyłając ku pożółkłemu od oparów tytoniu sufitowi kolejne dymki.

– Czyli nam nie odpuszczą – zauważył komisarz.

– Chyba nie wierzysz w cuda? Co gorsza, o swojego zaginionego męża upomniała się też szanowna małżonka, dodatkowo podkrecona sensacyjnymi artykułami prasowymi. Na razie upomniała się telefonicznie, ale wnioskując z barwy jej głosu, jest bliska załamania i należy się spodziewać, że jeśli nie wpadniemy na nic mądrego, w najbliższym czasie zaszczyci nas swoją wizytą.

Na wspomnienie rozmowy z żoną profesora Kaczmarkowi zrobiło się nieprzyjemnie. Zaraz jednak odzyskał wigor.

– Być może wreszcie wpadliśmy na właściwy trop – pochwalił się przed przełożonym.

– Tak?! – Kayser z wrażenia zgubił cybuch, który spadł mu z hukiem na blat biurka. – To dawaj, mój orle! Niech zgadnę: ten gbur Ciężki wreszcie przemówił?

– On nie. Ale jego współpracownik. To znaczy... bliski współpracownik profesora, który pracuje też dla Ciężkiego – oznajmił nie bez satysfakcji Kaczmarek.

Było mu błogo na duszy, że mimo problemów obszedł jakoś niechętnego do pomocy kapitana.

– Nie rozumiem. – Kayser wydawał się zagubiony. – Możesz mówić jaśniej, Biniu? Czy chodzi o jednego ze studentów Krygowskiego?

W szybkiej, krótkiej relacji Kaczmarek streścił szefowi Wydziału Śledczego wszystko to, co wyciągnął z młodego Zygalskiego. Nie omieszkał wypowiedzieć się ciepło o samym Zygalskim, podkreślając, że młodzieniec zdecydował się złamać tajemnicę państwową tylko z uwagi na serdeczne więzy, które wiążą go z osobą jego uniwersyteckiego mentora.

– Dobry chłopak – podsumował z życzliwością w głosie Kayser, który zdołał już uporządkować swoje biurko po bałaganie wywołanym upadkiem fajki. – Dzięki niemu wreszcie mamy czytelny motyw. Widzisz, panie kolego? Jednak wychodzi na moje! Może i Niemcy z hotelu nie mają z tym nic wspólnego, ale jednak wątek walki wywiadów wydaje mi się tutaj decydujący. Jak możemy się lepiej za niego zabrać?

– Chciałbym porozmawiać z Rejewskim i Różyckim.

– Koniecznie!

– Choć Zygalski wątpi, by profesora porwano z powodu jego współpracy z Dwójką.

– Może się mylić.

– Ale też może mieć rację.

- Biniu, znowu zaczynasz?!
- A już mi się wydawało, że szef otworzył się wreszcie na argumenty z zewnątrz! – wybuchnął Kaczmarek.
- Zawsze jestem otwarty! – zaperzył się Kayser.
- Akurat! – mruknął komisarz. Na szczęście tylko w myślach.
- No dobrze, Zbigniewie – oficjalny ton wypowiedzi podinspektora miał chyba załagodzić kolejne spięcie między śledczymi. – Co zatem proponujesz?
- Kaczmarek skupił się raz jeszcze.
- Porozmawiam z kolegami Zygalskiego, pracującymi dla Biura Szyfrów. Może znajdę nowy wątek, jakąś poszlakę. Niezależnie jednak od tego proponuję grać na dwóch instrumentach.
- To znaczy?
- To znaczy: nie zaniechać wątku nie niemieckiego.
- Czyli?
- Spróbujmy nawiązać kontakt z porwaczami.

## Poznań, w tym samym czasie, na ulicy Ratajczaka

Redaktor Grabski pędził do redakcji „Kuriera” jak na skrzydłach. Był szczęśliwy, że złapał i przycisnął do muru komisarza Zbigniewa Kaczmarka. Tak mu się przynajmniej wydawało. I choć policjant unikał odpowiedzi jak ognia, najważniejsze dla młodego adepta trudnej sztuki dziennikarskiej było to, że znowu miał o czym napisać. Temat porwania profesora Krygowskiego rozwijał się nad wyraz

sympatycznie i żurnalista nie miałby nic przeciwko temu, żeby policja pobłądziła jeszcze w tym temacie przez kilka kolejnych dni. Bo że śledczy działają po omacku, był więcej niż pewny.

Zmagając się z zadyszką, wywołaną zbyt szybkim przebieraniem nogami i slalomem pomiędzy przechodniami, Grabski układał już sobie w głowie treść depechy. Po pierwsze: Kaczmarek nie zaprzeczył, że w sprawę wplątani są Niemcy. Po wtóre: wyraźnie zdenerwował się, gdy usłyszał pytanie o śledzenie niemieckich pięściarzy. Ba! Nawet specjalnie się cofnął, by odpowiedzieć mu coś niegrzecznego. *Ergo*: coś musiało być na rzeczy. Nie darmo tajny informator Grabskiego w komendzie donosił, by zwrócić uwagę na hotel Monopol...

„Niemiecki ślad w sprawie porwania profesora Krygowskiego!” – taki powinien być tytuł. O tak, Niemcy w tytule zawsze podnoszą sprzedaż jego gazety! A wspomniani w tym kontekście spowodują, że „Kurier” zniknie z kiosków w godzinę! To jest to! – upajał się wizją spektakularnego sukcesu. Redaktor Grabski zawsze trzy kroki przed konkurencją!

Zdyszany i spocony, dostrzegł wreszcie znajomą bramę kamienicy przy Świętym Marcinie 70 i szyld oznajmiający, że pod tym adresem mieści się redakcja, która dała mu pracę. Postanowił, że odwdzięczy się jej kolejnym sensacyjnym materiałem. Teraz to będzie dopiero przebój! Krygowskiego porwali Niemcy!

Wbiegając na schody, młody Grabski już liczył, jak wysoka będzie jego przyszła podwyżka. W jego głowie pojawiły się całkiem śmiałe wizje, na co przeznaczy pieniądze...



## W Prezydium Policji, dwunasta z minutami

– Ha! – wykrzyknął Kayser. – Łatwo się mówi: kontakt z porywaczami! Przecież my ich nie znamy! Ba! Nawet nie wiemy, gdzie i jak ich szukać! Czyś ty aby nie postradał zmysłów, Biniu?!

Kaczmarek zniósł dzielnie nawałnicę wątpliwości szefa, czekając z wątlm uśmieszkiem na twarzy, aż ten wystrzela się ze swoich obiekcji. Ten uśmiech działał Kayserowi na nerwy.

– Czemu szczerzysz kły, Kaczmarek?! – nie wytrzymał. – Naprawdę uważasz, że sytuacja jest taka wesoła?

– Bynajmniej, szefie. – By nie ryzykować zbyt wiele, komisarz porzucił swoją lekko ironiczną maskę. – Chciałbym jednak przypomnieć, że sytuacja nie wygląda też zupełnie beznadziejnie...

– Optymista!

– Wbrew temu, co szef powiedział, być może mamy jednak pewien kanał komunikacji z ludźmi, których usilnie poszukujemy.

Kayser nadstawił ucha.

– O czym ty mówisz?

– Chciałbym przypomnieć o pewnym ogłoszeniu w „Dzienniku Poznańskim”. O tym, że ktoś oferował profesora w dobrej cenie czy jakoś tak.

– To zmyłka, przecież już o tym...

– Może zmyłka, a może nie – zachnął się Kaczmarek.

Miał już szczerze dość wyklócania się z Kayserem o każdy detal śledztwa, które *summa summarum* prowadził teraz osobiście. Całe szczęście, że podinspektor spasował.

- Czyli uważasz, że tamten anons był próbą podjęcia negocjacji?

- Tak sądzę.

- Dlaczego?

- Bo mija trzeci dzień naszych poszukiwań, a żadnej innej oferty nie otrzymaliśmy. To raz. Po drugie, ogłoszenie to miało się ukazywać w gazecie przez trzy dni. Trzy dni! Dlaczego? Temu, kto je dał do prasy, zależało na pewności, że ktoś je zauważy i podejmie dialog.

- Hmm...

- Tyle że pochopnie uciałem tę możliwość, kategorycznie zakazując redakcji „Dziennika” dalszego publikowania ogłoszenia.

- To był błąd – orzekł nagle zdecydowanym tonem Kayser.

Kaczmarek zmilczał komentarz, który cisnął mu się na usta. Chciał powiedzieć coś o niekonsekwencji, ale chyba lepiej się stało, że zamiast tego pomyślał o niezwykłej umiejętności przeskakiwania z jednej kładki na drugą przez jego szefa. Chyba nauczył się tego na swoim stanowisku...

- Być może popełniłem błąd, ale uważam, że należy to jak najszybciej sprawdzić – podsumował.

Kayser w zamyśleniu pokiwał głową.

- Zgoda – powiedział z pewnym ociąganiem. – Proszę cię jednak, byś główny akcent śledztwa położył na wątek niemiecki. Coś czuję, że profesor i jego wychowankowie musieli mocno zająć za skórę Szkopom...

- Być może – przytaknął grzecznie Kaczmarek.

Udał, że hipotezę szefa traktuje śmiertelnie poważnie. Dla niego liczyło się wszakże to, że szef nie zablokował mu drugiej ścieżki. Szczerze mówiąc, czuł, że to znacznie bardziej obiecujący wątek.

## Redakcja „Dziennika Poznańskiego”, kwadrans po dwunastej

Wielkie oczy redaktora Winiewicza – oto, co zobaczył Kaczmarek, gdy po raz drugi zameldował się w kamienicy przy Pocztowej 9. Ale gałki oczne redaktora odpowiedzialnego niemal wypadły z oczodołów, gdy usłyszał, z czym wraca do niego policjant.

– Chce pan dać ogłoszenie? – upewnił się, czy jego aparat słuchowy działa prawidłowo.

– Tak jest, szanowny panie redaktorze. To nasza jedyna szansa.

– Szansa na co, za przeproszeniem?

– Za przeproszeniem: chodźmy do pana pokoju. Bo tu za dużo świadków.

Józef Winiewicz zastosował się do tej prośby Kaczmarka, bo akurat ona brzmiała najsensowniej. Gdy zamknęli się w niedużym gabinecie szefa gazety, komisarz postanowił przejść do sprawy najprościej, jak tylko potrafił.

– Ogłoszenie, które opublikowaliście niedawno na polecenie nie wiadomo kogo, być może było mamrotaniem szaleńca – wytłumaczył szefowi gazety. – Być może. Nie możemy jednak wykluczyć, że w tym pozornie dziwacznym przekazie było coś ważnego. Coś, co miało nas pobudzić do działania.

– Pobudzić? Nas? – zdziwił się Winiewicz.

– Nas, czyli policję. Nie pana redaktora.

– Czyli mogła to być jakaś próba nawiązania kontaktu z policją przez porywacza?

Kaczmarek skinął potakująco głową.

– Dlatego proszę pana gorąco, by nie informować o naszej hipotezie, a tym bardziej o naszych przyszłych działaniach, zespołu redakcyjnego – zaproponował. – Zresztą, proszę zachować to wyłącznie dla siebie.

– To oczywiste, panie komisarzu.

– Dziękuję. A teraz proszę mnie uważnie posłuchać. Bardzo mi zależy, aby jutro na waszych łamach ukazało się dobrze widoczne, sporej wielkości ogłoszenie. Nasze ogłoszenie. Policyjne.

– Odpowiedź na tamto, z profesorem?

– Właśnie. Widzę, że nadawałby się pan do pracy w policji – rzucił komplementem komisarz.

Winiewicz pokraśniał z zadowolenia.

– A... jakiej treści ma być to ogłoszenie? – zapytał.

Kaczmarek sięgnął do kieszeni i wyjął z niej złożoną w czworo kartkę ze swojego służbowego kalendarza. Rozpostarł ją i podał redaktorowi odpowiedzialnemu „Dziennika Poznańskiego”.

Zaaferowany Winiewicz rzucił okiem na świstek papieru. I w jednej chwili zbaraniał.

*Wielce Szanownego Profesora*

*chętnie odkupię.*

*Oferty pod numerem tel. 16 32*

– przeczytał zdumiony.

Styl notki, wyraźnie nawiązujący do pierwszego ogłoszenia, wytrącił go zupełnie z równowagi.

– Ale... czy tak w ogóle można? – zawahał się. – Panie komisarzu, nie chciałbym mieć najść policji na redakcję, albo

– nie daj Boże – konfiskaty całego nakładu! Pan wie, jaka mściwa potrafi być sanacja...

Kaczmarek – było nie było przedstawiciel władzy – udał, że nie dosłyszał ostatniej, zgoła politycznej uwagi.

– Wszystko odbędzie się *lege artis* – zapewnił nieco roztrzęsionego dziennikarza. – Mamy błogosławieństwo komendy wojewódzkiej, a tym samym ministerstwa. Zapewniam, że włos panu ani nikomu z pańskiego zespołu nie spadnie.

– Ale...

– Co pan będzie z tego miał? Hmm... powiedzmy, że w razie powodzenia naszej akcji, czego przecież nie można wykluczyć, pan i pańscy ludzie będziecie mieć wspaniałą gratkę w postaci informacji o uwolnieniu profesora. Na wyłączność! Tym samym ostatecznie zakasujecie tych cwaniaków z „Kuriera”. Zdaje się, że ostatnio wyprzedzili was odrobinę w tym jakże bulwersującym temacie?

Przyjęta została rzucona aż nazbyt ostentacyjnie na stół negocjacji. Kaczmarek grał znaczonymi kartami, ale grał skutecznie. Nerwowe drganie policzka Winiewicza świadczyło o tym, że poruszył właśnie niezwykle czułą strunę.

– Zgoda – orzekł słabym głosem redaktor „Dziennika”.

Pokusa prześcignięcia i pokonania konkurentów okazała się nie do odparcia. Ale i komisarz miał na uwadze własny interes. Oczami wyobraźni dostrzegł już zmieszaną minę tego drania Grabskiego, tłumaczącego się przed swoimi szefami z nieoczekiwanego, a jakże bolesnego dla jego własnej dumy sukcesu „Dziennika”. O ile oczywiście ten sukces nastąpi...

– Na razie jednak uprzejmie pana proszę, byście nie podejmowali tego tematu – zaapelował do Winiewicza. – Zapewniam, że w stosownym momencie wszystko cacy

opiszecie, od a do zet, nie pomijając najmniejszych szczegółów...

– Tak, tak, pełna zgoda...

– A na razie bardzo proszę dobrze ustawić to ogłoszenie – przypomniał z naciskiem Kaczmarek. – Kto wie, czy od tego nie zależy przypadkiem życie profesora Krygowskiego.

Tylko on wiedział, że nie przesadza.

– Osobiście o to zadbam, może być pan komisarz spokojny.

– Aha! I proszę, by nie chwalił się pan nikomu tym szczególnym ogłoszeniem.

– Oczywiście! – rozluźnił się wreszcie nieco redaktor Winiewicz. – To... To jeszcze ja mam pytanie, jeśli wolno.

– Wolno.

– Ile razy opublikować pański anons, panie komisarzu?

Kaczmarek zawahał się przez chwilę. Sporo ryzykował, a z drugiej strony nie chciał popełnić żadnego błędu. Choć zdawał sobie sprawę, że być może następnego dnia o sprawie będzie huczeć całe miasto.

– Proszę go powtórzyć... jeszcze ze dwa razy. Na koszt policji, ma się rozumieć.

Redaktor Winiewicz poczuł się dotknięty ostatnią uwagą:

– W takiej sprawie, panie komisarzu, nie weźmiemy ani grosza!

W śródmieściu, na ulicy Pocztowej, przed  
trzynastą

Wychodząc z redakcji „Dziennika” Kaczmarek uświadomił sobie w pełni, co takiego sprokurował. W tym samym momencie czas dla niego przyspieszył. Miał przed sobą zaledwie pół dnia, by dotrzeć do Rejewskiego i dowiedzieć się czegoś więcej na temat wątku kryptologicznego w prowadzonym przez siebie śledztwie. Bo już następnego dnia pół Poznania, a na pewno wierni czytelnicy „Dziennika Poznańskiego” uzmysłowią sobie, że są świadkami jakiejś dziwnej, zgoła niepojętej – by nie powiedzieć: perwersyjnej – gry. I być może zażądają wyjaśnień. A już na pewno upomni się o to pewien wścibski gryzpiórek z konkurencyjnego „Kuriera”. Komisarz był tego absolutnie pewien.

Na wspomnienie szatańskiej zagrywki, która miała pogrążyć upierdliwego pismaka, aż zatarł z radości ręce. A potem podbiegł na plac Sapieżyński<sup>[62]</sup>, by wskoczyć w tramwaj linii 7, jadący ku hotelowi Monopol. Nie zamierzał wszakże składać niespodziewanej wizyty niemieckim sportowcom – choć czuł, że maczali palce w napadzie na nieszczęsnego Borowczaka. W pierwszej kolejności zamierzał dotrzeć do efektownego domu studenckiego przy Wałach Leszczyńskiego<sup>[63]</sup>, oddanego zaledwie dwa lata wcześniej przez władze Uniwersytetu Poznańskiego wraz z uczelnianym szpitalem. Okazały gmach z efektowną kolumnadą po środku i dwoma rozłożystymi skrzydłami powstał – jak wiele nowych obiektów w Poznaniu – dla gości Powszechnej Wystawy Krajowej w 1929 roku według projektu Rogera Sławskiego. Gdy już wypełnił swoją funkcję hotelową, sprawdził się świetnie jako akademik dla około dwustu studentów z całego kraju<sup>[64]</sup>. I właśnie tutaj pokój asystencki otrzymał Marian Rejewski, niezwykle ponoć zdolny matematyk z Bydgoszczy. Tak przynajmniej wynikało z danych, jakie komisarz zdobył w rektoracie.

Kaczmarek wysiadł na przystanku przy Urzędzie Ziemskim i ruszył piechotą ku domowi studenckiemu. Dzień był gorący i duszny, nie sprzyjał dłuższemu spacerowi. Na szczęście twarz komisarza chroniło przed słońcem rondo kapelusza.

Pamiętał doskonale czasy, gdy w miejscu akademika, na podmokłym terenie stał pruski fort Waldersee. Wolna Polska usunęła ten ślad niemieczyny w centrum miasta. Grząski grunt wzmocniono palami i zabudowano. Teraz w stronę zachodniej granicy prężył się dumnie czteropiętrowy obiekt, przywodzący na myśl dawne, osiemnastowieczne pałace. Komisarz musiał przyznać, że projekt udał się Sławskiemu nad wyraz.

Z lubością schronił się w cień rzucany przez cztery potężne kolumny. Zaraz owionął go ożywczy przeciąg, snujący się po korytarzach akademika. Widać nielicznym przebywającym tam o tej porze roku studentom też było gorąco i robili, co mogli, byle tylko schłodzić powietrze w pokojach.

W dyżurce zastał wychudzonego, starszego jegomościa z wąsikami. Miał on na sobie coś w rodzaju fartucha roboczego i ani chybi był tutejszym cieciem.

– Pan do kogo? – Słabowicie wyglądający cerber wykazał się zaskakującą czujnością.

Kaczmarek przedstawił się, okazując policyjną odznakę. Zrobił oczekiwane wrażenie.

– Rejewski? – Stróż w trymiga chwycił za spis lokatorów i zaczął wertować kartki. Był w tym niezwykle biegły. – Marian? Asystent na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym? Tak, wszystko się zgadza. Pokój 122, pierwsze piętro. Ale...

– Tak?

– ...ale to bardzo sympatyczny człowiek, panie władzo. Spokojny, ułożony. Proszę nie robić mu krzywdy...



Kaczmarek uśmiechnął się krzywo, traktując tę prośbę jak kiepski żart. Chwilę później pokonał schody i znalazł się przed właściwymi drzwiami.

Otworzył mu niski, szczupły mężczyzna w okularach, wyglądający zdecydowanie poważniej niż na swoje 26 lat. Być może dzięki zaczesanym na tył głowy włosom, a być może z powodu nienagannego ubioru akademickiego wykładowcy. Z doskonale zawiązanego krawata i dokładnie zapiętej kamizelki pod płócienną marynarką przebijało upodobanie do elegancji. Wyglądało na to, że Rejewski szykował się do wyjścia.

– Pan do mnie? – zapytał wprost.

– Tak, jestem z policji. Komisarz Kaczmarek, wydział śledczy.

– Jak dobrze! – ucieszył się Rejewski. – Właśnie zamierzałem was odwiedzić. Oczywiście w związku z profesorem.

## W Hali Reprezentacyjnej targów poznańskich, w tym samym czasie

Do meczu z Polakami pozostały jeszcze dwie godziny, ale atmosferę sportowego święta wyczuwało się już aż za dobrze pośród równych rzędów krzeseł, przeznaczonych dla widzów. Pierwsi przedstawiciele publiki od dawna okupowali już najlepsze miejsca, położone tuż za pierwszymi szeregami, zarezerwowanymi dla co bardziej znamienitych gości. Wachlując się złożonymi w pół gazetami lub chustkami, walczyli rozpaczliwie z upałem, który wdzierał się do środka przez uchylone niepotrzebnie okna.

Erich Rüdiger przyglądał się rozgrzewce swoich zawodników, prowadzonej w niespiesznym tempie na ringu i wokół niego. Umieśnione, stalowe barki Hansa Ziglarskiego, rzetelny ostry trening zdyszanego Langa i zacięta twarz Berensmeiera działały na niego pobudzająco. Był przekonany, że jego chłopcy spiorą dziś ekipę gospodarzy na kwaśne jabłka. Tym bardziej że rok wcześniej w Katowicach pokonali Polaków dziesięć do sześciu. Podobnie było zresztą dwa lata wcześniej w Breslau. Co prawda do Rüdigera docierały co jakiś czas wieści o rosnącej sile polskich pięściarzy, jednak pomny dotychczasowych zwycięstw w dwóch pojedynkach z polską reprezentacją, nie przywiązywał do nich nadmiernej wagi. Ufał w przewagę doświadczenia i europejskie szlify swoich bokserów.

I tylko co jakiś czas jego myśli wracały do młodego Polaka, którego poczęstował łomem w bramie na Piekarach. Czy przeżył? A jeśli tak, co i kiedy przekaze swoim szefom? I w końcu, czy Erica Gnadenstein nie znajdzie się przypadkiem w niebezpieczeństwie? Gdyby polska policja zrobiła rewizję w jej tajnym lokalu, ich narodowo-socjalistyczna sprawa doznałaby znacznego uszczerbku...

Otrząsnął się ze złych myśli, wściekły na swoje czarnowidztwo. W końcu, co wiedzieli Polacy? Tyle co nic. Nawet ten zaatakowany przez niego młokos nie widział, od kogo oberwał. Nie widział, bo nie zdążył zobaczyć...

– Spokojnie, Erich – mruknął sam do siebie. – Tylko spokojnie. Żadnych objawów paniki!

## W domu akademickim przy Wałach Leszczyńskiego, trzynasta z minutami

Rejewski kogoś Kaczmarkowi przypominał. Komisarz szybko wpadł na to, że asystent profesora Krygowskiego jest podobny do dobrze mu znanego mecenasa Stanisława Hejmowskiego[65]: te same okulary w drucianych oprawkach, ta sama elegancja, nawet podobna twarz – tyle że matematyk był zdecydowanie szczuplejszy. Gdyby komisarz miał wyłącznie na podstawie fizjonomii Rejewskiego odpowiedzieć, kim jest ten człowiek, zapewne odpowiedziałby: prawnikiem. Matematyk sprawiał wrażenie człowieka poważnego i zdecydowanie godnego zaufania.

– Napije się pan komisarz herbaty? – zaproponował Kaczmarkowi, gdy usiedli przy skromnym stoliku stanowiącym centralny punkt niedużego pokoju.

Komisarz zauważył na nim stos kartek z jakimiś wyliczeniami poczynionymi ołówkiem. No tak, kolejny kryptolog – przemknęło mu przez głowę.

– Nie, nie, dziękuję bardzo – policjant nie chciał tracić czasu.  
– Przyszedłem do pana, bo zdaniem rektora Kasznicy, należał pan... przepraszam, chciałem powiedzieć: należy pan do wąskiego grona zaufanych współpracowników profesora.

– To prawda. Zostałem asystentem na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym dzięki propozycji profesora, z którą wyszedł rok temu, gdy wróciłem z rocznego stażu w Getyndze...

– Wrócił pan z Niemiec? Nie podobało się panu?

Rejewski skrzywił się z niesmakiem.

– Sama Getynga to wspaniałe miejsce. Ale w Niemczech robi się teraz wyjątkowo duszno. Na ulicach ciągle słychać wrzeszczących i hajlujących SA-manów. Na cudzoziemców patrzą bykiem, więc szybko przestało mi to odpowiadać. A i sława naukowa Getyngi jest, hm, nieco przereklamowana. Postanowiłem więc wrócić.

– No właśnie! A tu taka historia... – podchwycił Kaczmarek.  
– Przesłuchaliśmy już doktora Szamotulskiego, rozmawiałem też z kapitanem Ciężkim...

Prawa brew Rejewskiego uniosła się nieznacznie.

– W końcu trafiłem do pańskiego kolegi, Zygalskiego. Musi pan zrozumieć, że szukam motywu do tego, co się stało. Jaki jest pański pogląd w tej sprawie?

Asystent przygładził dłonią włosy na czole. Nie zdradzał objawów zdenerwowania czy jakiegokolwiek paniki.

– To bardzo zaskakujące zdarzenie – powiedział cicho. – Zaskakujące i przygnębiające. Szczerze mówiąc, nie wiem, co powiedzieć. Wydaje mi się wszakże, że profesor nie miał żadnych osobistych wrogów. Przynajmniej ja takowych nie zauważyłem tu, w Poznaniu. Za dawne lata spędzone przez profesora we Lwowie nie mogę poręczyć.

Kaczmarek wpatrywał się w opanowaną twarz tego młodego człowieka, wypowiadającego się z matematyczną wręcz precyzją. W jego zdaniach nie było zbędnych słów czy ozdobników. Tak, ten człowiek sprawdziłby się zapewne nieźle w jego własnej roli – na komendzie policji – jako śledczy.

– Nie dostrzegł pan w waszym zespole na wydziale żadnych konfliktów? A może oznak zawodowej zawiści? Żadnych dziwnych zachowań w ostatnim czasie?

– Nie, panie komisarzu. Musi pan wiedzieć, że profesor Krygowski stworzył bardzo profesjonalny zespół, skupiony na wspólnej naukowej pracy.

– Nie doszło między wami ostatnio do żadnej scysji? Wie pan, czasami istotne są drobiazgi. Może...

– Nie przypominam sobie takich zachowań. Analizowałem już ten temat kilkakrotnie i mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że sprawa wygląda naprawdę tajemniczo.

Kaczmarek miał wielką ochotę zapytać Rejewskiego, czy widział może osobliwe ogłoszenie w „Dzienniku Poznańskim”, ale powstrzymał się. Tęgo asa wolał na razie zachować w rękawie. Zamiast tego skierował rozmowę na inny, nie mniej ważny tor.

– Panie Rejewski, jest jeszcze jeden trop, o którym obaj wiemy – zaanonsował temat.

– Tak? – Asystentowi profesora nawet nie drgnęła powieka. – Będę wdzięczny za przybliżenie zagadnienia.

Kaczmarek uśmiechnął się szczerze. Teraz, kiedy z grubsza znał istotę działań młodych matematyków skupionych wokół profesora, aura utrzymywanej wokół niej tajności nieco go irytowała. Rozumiał jednak, że dla autorów ściśle tajnego projektu była to kwestia ich odpowiedzialności i profesjonalizmu. Zamiast odpowiedzi wskazał więc palcem na wyliczenia leżące obok nich na blacie stołu.

– Przepraszam pana komisarza za kłopot, ale... czy mógłbym zobaczyć najpierw pana odznakę policyjną? – poprosił spokojnym tonem Rejewski.

Kaczmarek bez obrazy sięgnął po swoją służbową blachę. Na jej widok matematyk odrobinę się rozluźnił.

– Dziękuję bardzo – powiedział. – Dla dobra sprawy lepiej by było, żeby na zawsze pozostała między nami a policją – odezwał się Rejewski. – Ale cóż, mleko się rozlało, gazety zwęszyły już trop. Słucham pana komisarza.

– Wiem, czym pan i pańscy koledzy trudnicie się w gmachu intendencji. I nie zamierzam wnikać w szczegóły waszej

pracy dla kraju. – Kaczmarek rozłożył dłonie na znak, że nic mu do tego. – Mnie, jako śledczego, interesują zupełnie inne kwestie.

– Czy nasze zajęcie mogło sprowadzić na profesora to niebezpieczeństwo, prawda? – wszedł mu w słowa młody kryptolog.

– Doskonale powiedziane, panie Rejewski.

– Otóż nie wydaje mi się.

– Dlaczego? Przecież to najmocniejszy motyw działania porywaczy, jaki się nasuwa.

– Zgadzam się. Jednak może tak być wyłącznie przy założeniu, że druga strona tej rozgrywki jest świadoma roli, jaką odegrał w naszym przedsięwzięciu szanowny pan profesor.

– Sugeruje pan, że niemiecki wywiad nie ma o tym zielonego pojęcia?

– Podejrzewam, że zwyczajnie o tym nie wiedzą.

Kaczmarek mimowolnie zmarszczył czoło.

– Skąd ta pewność? – zapytał wprost.

Matematyk uśmiechnął się dyskretnie.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, panie komisarzu. To nie żadne zarozumiałstwo, Boże broń! Dotykamy jednak kwestii tak dobrze zakamuflowanej, że doprawdy trudno mi uwierzyć, iż ludzie, którzy uprowadzili profesora, mieli o niej choćby śladową wiedzę. Powiem otwarcie: nie wierzę w to. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Zygalski był tego samego zdania – przypomniał sobie Kaczmarek. Jako człowieka, który w swojej pracy śledczego widział już niejedno, dziwiła go pewność siebie tych młodych ludzi. Odniósł jednak wrażenie, że ma do czynienia z niezwykle wiarygodnymi osobami. Ich wysokich motywacji

w tajnych wysiłkach dla dobra Ojczyzny nie sposób było zakwestionować.

– Ma pan jakieś sugestie? – zapytał.

– Nie śmiałybym proponować niczego policji, to zdecydowanie nie moja profesja – Rejewski znowu się uśmiechnął, a na jego blade dotychczas oblicze wypłynęła nieco cieplejsza barwa. – Proszę jednak rozważyć, czy profesor na pewno został uprowadzony w związku z projektem... nazwijmy go: patriotycznym. Moim zdaniem, nie ma na to żadnych dowodów.

– Uważa pan, że może to być sprawa typowo kryminalna?

– Ta wersja ma według mnie najwyższy stopień prawdopodobieństwa.

– Wyliczył to pan? – zażartował komisarz.

– A wie pan, że to zupełnie możliwe? Pokazać panu? – Niespodziewanie ożywiony Rejewski ujął w dłoń porzucony na stole ołówek i już zabrał się do rachunków.

– Może innym razem... – wykręcił się niezbyt zręcznie Kaczmarek. – Dziękuję panu za spotkanie, miło było poznać... Będziemy w kontakcie.

## Poznań, ulica Libelta, kwadrans przed czternastą

A jeśli oni mają rację? Jeśli profesor został uprowadzony przez zwykłych kryminalistów, niemających pojęcia o jego zaangażowaniu w tajny projekt polskiego wywiadu? – zastanawiał się Kaczmarek, wracając piechotą do Prezydium

Policji. Po stanowczych i zbieżnych zeznaniach Zygalskiego i Rejewskiego porzucił na razie zamiar przesłuchania Różyckiego. Z dużą dozą pewności przyjął, że po raz trzeci usłyszałby gorące zapewnienia o dobrym duchu panującym w zespole matematyków-kryptologów. I nie otrzymałby żadnej personalnej wskazówki.

Kamienice po obu stronach ulicy Libelta dawały przyjemny cień, a przed komisarzem roztaczał się miły widok. Kwadratowy plac Nowomiejski był cudną oazą zieleni w centrum miasta. Woda, tryskająca w centralnym miejscu rynku spod rzeźb Perseusza i Andromedy, stanowiła niewypowiedzianą frajdę dla biegającej wokół fontanny dzieciarni, dogłądanej przez siedzące na zacienionych ławkach matrony. Słabe powiewy wiatru rozpylały wodę, śląc na główki dziatwy chłodną mgiełkę. I wywołując radosny kwik młodego pokolenia.

Nagle pomyślał o swojej Loni. Jak dobrze byłoby w ciepły dzień, taki jak ten, usiąść tutaj razem przed fontanną i nie martwić się o nic. Trzymać się za dłonie i mówić sobie czułe słówka. A gdyby jeszcze mieli ze sobą wózek, a w nim kwilącego brzdąca...

Ech!

Kaczmarek z żalem przeciął zielony kwadrat placu i za chwilę był już na ulicy Ratajczaka. Liczne markizy nad witrynami sklepów upodabniały ją do obrazków, znanych komisarzowi z amerykańskich filmów. Życie codzienne miasta kwitło obok jego własnego, prywatnego, zupełnie nie zwracając uwagi na szarą, codzienną pracę stróża prawa. Nagle uświadomił sobie, że niezależnie od tego, czy kiedykolwiek ujmie przestępców, którzy porwali profesora, ludzie w sklepach, urzędach i ulicach i tak będą wykonywać swoje obowiązki. Świat się nie zawali. Ich świat. A jego... Jego



życie skoncentrowane było ciągle wokół kolejnych spraw do rozwiązania. I to z reguły spraw pilnych lub bardzo pilnych. Zawsze niecierpiących zwłoki.

Wchodząc do Prezydium Policji, zastanawiał się, czy powiedzieć Kayserowi o ogłoszeniu, które dał do „Dziennika”.

Lepiej nie – uznał szybko. Bo jeszcze mi każe, żebym się wycofał. Zamiast tego zdam mu relację z rozmowy z Rejewskim. Powinien być zadowolony.

Pokonując schody na piętro, znowu rozmyślał o dzieciakach dokazujących wokół fontanny z Perseuszem. Zabiorę tam kiedyś Lonię – postanowił. Najlepiej niedługo.

## Hala reprezentacyjna na Targach Poznańskich, piętnasta z minutami

Niemieccy pięściarze wystąpili w czarnych koszulkach i złotych spodenkach. Polacy mieli na sobie efektowne, biało-czerwone stroje z orłami na białych spodenkach. W hali zasiadło prawie sześć tysięcy widzów, którzy wprawdzie z zaciśniętymi zębami, ale nerwami na wodzy wysłuchali *Deutschland, Deutschland über alles*, by zaraz potem gromko, z potężną siłą odśpiewać *Jeszcze Polska nie zginęła...* W Poznaniu ciągle świeża była pamięć o powstaniu sprzed trzynastu lat, a także o wcześniejszych niemieckich przewinach. Choć nikt nie powiedział tego głośno, bokserskie starcie urastało do rangi sprawy ogólnonarodowej. Zebrani w hali targowej miłośnicy boksu mieli nadzieję na srogi rewanż za ubiegłoroczną przegraną w Katowicach.

Rüdiger doskonale wyczuwał napiętą atmosferę, a gorące, tysięczne okrzyki na cześć zawodników polskich wywołały dreszcz na jego plecach. Nie znał prawie wcale języka polskiego, ale nawet tyle, co rozumiał, wystarczyło, by pojął, że starcie wykracza daleko poza swój wymiar sportowy. I dobrze – pomyślał ze złośliwą satysfakcją. Pobić Polaków na ich terenie, w dodatku w Poznaniu. Czy może być coś słodsze?

Duński sędzia wyprowadził tymczasem na ring pierwszą parę przeciwników w wadze muszej. Rüdiger rzucił okiem na przeciwnika Balla – Polak nazwiskiem Kazimierski wydawał się nieco stremowany tak liczną publicznością. Dwa punkty w kieszeni – uznał niemiecki trener, rozsiadając się wygodnie na krześle tuż przy samych linach.

Gong – i zaczęła się walka. Ball, wyższy i silniejszy fizycznie, zasypał Polaka serią ciosów, ale tylko nieliczne doszły celu. Kazimierski nieźle unikał ataków Niemca, schodząc z linii natarcia, a potem przytomnie ripostując. Niespodziewanie Polak przejął inicjatywę i jeszcze w pierwszej rundzie posłał rywala prawym sierpowym na deski!

Tysiące polskich gardeł wydało z siebie okrzyk triumfu.

Ball, liczony do czterech, podniósł się z kolan i podjął walkę, ale do końca rundy nie odzyskał już wigoru.

– Walcz! Bij celniej! – krzyknął do niego w przerwie zdenerwowany Rüdiger.

Ale te wskazówki na niewiele się zdały. W drugiej rundzie Ball poszedł wprawdzie ostro do przodu, ale nadział się na kolejny soczysty cios w podbródek. Ustał na nogach, ale wola walki uszła z niego nieodwołalnie.

Po trzeciej rundzie sędzia obwołał zwycięzcą Polaka.

2:0 dla Polski!

Hala wybuchła euforią.

*Donnerwetter!* – zaklął Rüdiger. Musimy wyrównać!

Za chwilę w ringu boksował już Pferenz, as wagi koguciej. Walczył z zaskakująco dobrze operującym nogami Forlańskim. Niemiec zadawał świetne proste, ale Polak jeszcze lepiej kontrował. Jego ciosy częściej dochodziły do celu. Po trzeciej rundzie sędzia podniósł rękę Forlańskiego.

4:0 dla Polski!

Widownia wpadła w ekstazę. Publiczność na przemian skandowała nazwiska polskich zawodników, którzy właśnie odnieśli zwycięstwa. Gdzieś na trybunie pojawiła się wielka biało-czerwona flaga.

Rüdiger zrozumiał, że wynik meczu zaczął mu się niebezpiecznie wymykać z rąk. Na szczęście w wadze piórkowej posłał w bój Martena. To rutyniarz, rozniesie niejakiego Rudzkiego w pierwszej rundzie – pocieszał się w duchu.

Początek starcia nie zapowiadał jednak sukcesu. Polak ruszył z furią do przodu, spychając Martena do rogu. Wychowanek Rüdigera ustawił dobrą zasłonę, broniąc się skutecznie i odpowiadając mocnymi podwójnymi krótkimi. No, wszystko wraca do normy – uznał Rüdiger. Najwyższa pora!

Spotkała go jednak niemiła niespodzianka. Rudzki okazał się silniejszy, niż sądził trener niemieckiej ekipy. Mimo gorszej techniki nie dał sobie odebrać inicjatywy. A tymczasem Marten miękł między linami jak wosk. W drugiej rundzie złapał nokdaun i słaniał się na nogach. Nic dziwnego, że w trzeciej był już tylko tłem dla rozbudzonego powodzeniem Polaka.

6:0 dla Polski!

Takie rzeczy nie śniły się Rüdigerowi nawet w najgorszych snach.

Co robić? Jak się odegrać? – zastanawiał się gorączkowo.

– Prac Szwabów! – krzyknął mu ktoś z publiki niemal prosto w ucho.

Cała nadzieja w Messebergu, Berensmeyerze i Ziglarskim. To naprawdę ciężka artyleria, powinni sobie poradzić! Jeszcze można odwrócić losy tego meczu!

Wściekły i czerwony z emocji Rüdiger rzucił do boju wszystko, co miał najlepsze.

Teraz albo nigdy!

Inaczej będzie wstyd wracać do Berlina...

## W Prezydium Policji, kwadrans przed szesnastą

– Posłuchaj mnie, Anioła. – Kaczmarek zwrócił się do technika komendy tak cichym głosem i tak oficjalnie, że aspirant z miejsca zrobił się czujny. – Jutro z samego rana musisz być pod telefonem.

– Tak jest, panie komisarzu. O której mam się stawić w komendzie?

– O szóstej.

– W którym gabinecie?

– W moim. Ja też tu zresztą przyjdę.

– A... co to będzie za połączenie?

Kaczmarek zerknął w stronę drzwi, a upewniwszy się, że są szczelnie zamknięte, pochylił się przez biurko ku swojemu podwładnemu i wyjaśnił:

– Być może na mój numer zadzwonią porywacze.

Grzegorz Anioła, aspirant policji państwowej zrobił wielkie oczy.

– Ale jak? Kiedy? Dlaczego?

– Nie mogę ci na razie powiedzieć nic więcej – uciał temat komisarz. – I jeszcze jedno: to absolutna tajemnica. Absolutna! Rozumiesz, co to oznacza?

– No... Chyba tak.

– Absolutnie nikomu nic o tym nie mówisz. To tajne zadanie. Tylko ty i ja. Jutro o szóstej rano. Tutaj. Wszystko jasne?

Anioła odpowiedziałby najchętniej zgodnie z prawdą, że nie wszystko. A nawet, że prawie nic. Ponieważ jednak był szkolony w duchu bezwzględnego posłuszeństwa przełożonym, skinął tylko głową, co niesłuchanie ucieszyło Kaczmarka.

– Aha! – Komisarz coś sobie jeszcze przypomniał. – Czy... mamy możliwość nagrania ewentualnej rozmowy telefonicznej?

– Nagrania? – wytrzeszczył znowu oczy Anioła.

– Co się dziwisz, Grzesiu? Czytałem gdzieś niedawno, że BBC ćwiczy już pierwsze audycje z użyciem magneto-tonów...

– Chyba magnetofonów, panie komisarzu. Z tego, co wiem, znacznie bardziej zaawansowani są w tej dziedzinie Austriacy i Niemcy z AEG. Niech sobie pan wyobrazi, panie komisarzu, że taki Pfleumer zdobył patent na taśmę magnetofonową...

– Dobra, dobra, Grzesiu – zniecierpliwił się Kaczmarek, który wcale nie oczekiwał technicznego wykładu. – Mamy coś takiego w komendzie, czy nie mamy?

Anioła wywrócił oczyma.

– Panie komisarzu, marzenie ściętej głowy! – zachnął się, jakby usłyszał najgorszą herezję. – My tu kundle jesteśmy: każdy inny pistolet ma, a co dopiero mówić o takich technicznych cackach!

– Czyli nie mamy – warknął zawiedziony Kaczmarek. – Trudno. Szkoda. Co zrobić... Tym bardziej jesteś potrzebny, Anioła. Jako świadek.

- Świadek rozmowy? – błysnął inteligencją technik.
- Właśnie.
- Z przyjemnością, panie komisarzu. O ile to tylko pomoże...
- Mam taką cichą nadzieję, Grzesiu – zwierzył się Kaczmarek. – Ale pewności żadnej.

Zaraz potem pomyślał o Borowczaku, swoim najbliższym współpracowniku. Zawstydził się, że przypomniał sobie o nim tak późno. Szybko wykręcił numer do szpitala miejskiego. Od lekarza dyżurnego na chirurgii usłyszał, że przodownik nie odzyskał przytomności.

- Stan ciężki stabilny – brzmiała najświeższa diagnoza.
- Proszę nas natychmiast poinformować, gdyby tylko coś się zmieniło – poprosił łapiducha.

Miał szczerą nadzieję, że będzie to zmiana na lepsze.

## Hala reprezentacyjna na Targach Poznańskich, tuż przed siedemnastą

Eksplozja radości, jaka wybuchła na trybunach po ostatnim gongu świadczyła o tym, że mecz właśnie się zakończył. Po ostatniej walce, w której reprezentacja Niemiec dramatycznie szukała szansy na remis, ale jej nie znalazła, polska publiczność wpadła w ekstazę. To był pojedynek godny wagi ciężkiej. Masywny Ślązak nazwiskiem Wocka dosłownie przygwoździł podopiecznego Rüdigera salwą ciosów, a Niemiec nie znalazł remedium na uparte dążenie śląskiego olbrzyma do zwarcia. Efekt – zwycięstwo Polski w całym meczu stosunkiem 10:6.

Rüdiger dyszał ciężko, oparty o linę, jakby to on sam stoczył przed chwilą osiem pojedynków. Był wściekły na swoją ekipę. Zawiedli nawet Ziglarski i Berensmeyer. Nawet oni! Dali się zapędzić Polakom do rogu, jak kury, i solidnie obić! Szlag by to wszystko trafił!

Kątem oka dostrzegł polskiego trenera w białym uniformie z orłem na piersi. Polski szkoleniowiec podszedł do niego uszczęśliwiony, by podziękować za walkę.

– Gratuluję dzielnej postawy – usłyszał po niemiecku od Polaka.

Nie zdobył się na odpowiedź czy jakąkolwiek formę gratulacji. Był zirytowany i pełen gniewu, że musi mu uścisnąć dłoń.

[61] Kalafa (gwara pozn.) – twarz.

[62] Dziś pl. Wielkopolski.

[63] Obecnie fragment al. Niepodległości między ul. Libelta a al. Armii Poznań.

[64] Mowa o domu studenckim Hanka przy al. Niepodległości.

[65] Stanisław Hejmowski – przed wojną adwokat poznański, po wojnie m.in. obrońca robotników oskarżonych o udział w Poznańskim Czerwcu. Jako jeden z bohaterów pojawia się też w *Pętli* – czwartej części przygód komisarza Kaczmarka.





# 11.

## Szaleństwo i metoda

- Cholera wie, co dalej...
- Nie dostałeś żadnych?...
- Cały czas zwleka z decyzją...
- Nie możemy tak go trzymać. Jeszcze nam...
- Spokojnie, na pewno coś...

Strzępy rozmowy, jakie dotarły do niego z zewnątrz dzięki niedomkniętym drzwiom, uświadomiły mu frustrację w gronie jego strażników. Wprawdzie ich nie widział, rozpoznawał ich jedynie po głosach, stało się jednak dla niego jasne, że wśród porywaczy narastało zdenerwowanie. Jakby coś poszło nie po ich myśli. Albo coś im się nie udało. Tylko co?

I jak to wykorzystać dla własnej korzyści?

Nadstawił ucha, bo przerwana na moment rozmowa znowu ruszyła do przodu. Żałował tylko, że słyszy tak niewiele.

- Obyś miał rację. On tak dłużej...
- Przecież wiem, do diabła! Ale musimy...
- Dość już mam...
- Szef na pewno coś... Zobaczysz...

## Poznań, sobota 4 lipca 1931 roku, w Prezydium Policji, wczesnym rankiem

Anioła ziewał jak najęty, zarażając tą słabością komisarza Kaczmarka. Widać było, że tak rychle wstawanie zdecydowanie mu nie służy. Był typem sowy, zupełnie odwrotnie niż Kaczmarek. Jemu pobudka przed szóstą nie sprawiała problemu. No, może smuciło go tylko, że Lonia była wyraźnie rozczarowana...

– Mógłbyś tak nie otwierać japy? – zdenerwował się wszakże komisarz, gdy za którymś razem złapał się na tym, że to się udziela.

– Najmocniej przepraszam – pokajał się Anioła. – Dzieciak źle spał. Ząbkuje i takie tam...

– Rozumiem – bąknął Kaczmarek.

W jednej chwili pożałował, że czepia się takich pierdół. Gdyby on sam miał takiego bobasa, pewnie też by ziewał. Tyle że wtedy byłby z tego dumny.

Od pół godziny siedzieli z Aniołą nad telefonem numer 16 32 – służbowym aparatem komisarza – jak ministranci nad gromnicą, oczekując równie nabożnie na cud.

Bładym świtem, w drodze z mieszkania przy Szkolnej do komendy, Kaczmarek zajrzał do dyżurki szpitala miejskiego – miał ją wszak o krok, po drugiej stronie ulicy. Niestety, Borowczak nadal leżał bez przytomności. Komisarz ruszył więc ulicą Nową ku Prezydium Policji. Z latarni zwieszały się flagi Stanów Zjednoczonych i Polski – widomy znak, że tego dnia w Poznaniu odsłaniano pomnik wielkiego amerykańskiego prezydenta. W kiosku z prasą, przyklejonym do Muzeum Wielkopolskiego, Kaczmarek nabył najnowsze wydanie

„Dziennika”. I z wielką satysfakcją odnotował, że na piątej stronie w samym środku kolumny widniało jego ogłoszenie. Winiewicz naprawdę się postarał: tekst anonsu wybity był grubą, soczystą czcionką, a samo ogłoszenie stanowiło największy kwadrat reklamowy na stronie.

Teraz w ogłoszenie na rozpostartej na biurku Kaczmarka gazecie wpatrywał się z niedowierzaniem aspirant Grzegorz Anioła. W pierwszej chwili pomyślał, że jego szef zwariował. Dopiero po chwili, gdy ochłonał, musiał przyznać, że w tym szaleństwie może być metoda.

W milczeniu wpatrywali się w spoczywającą na srebrnych widełkach słuchawkę, modląc się jednocześnie, by zachciała zadrzeć pod wpływem metalicznego dźwięku połączenia. Ta jednak milczała jak zaklęta.

– Złośliwość przedmiotów martwych – wymamrotał Kaczmarek pod nosem i zerknął na zegarek. Szósta trzydzieści pięć...

Cholera, lepiej żeby te dranie odezwały się przed ósmą – pomyślał. Potem zjawi się Kayser i może się zorientować, że dzieje się coś, o czym nie wie. A wtedy wpadnie w szal. I nic już nie uda mu się wytłumaczyć...

Póki co, były to jednak tylko pobożne życzenia śledczego. Anioła podparł głowę o łokieć i trwał w stanie półsnu, walcząc z opadającymi powiekami. Kaczmarek nie mógł na to dłużej patrzeć.

– Wiesz co, Grzesiu? Skocz do stołówki po dwie czarne. Zobacysz, dobrze nam zrobią.

– Yhy – mruknął niezadowolony Anioła, z niechęcią odrywając się od blatu biurka.

– Tylko na jednej nodze, mistrzu! – popędził go Kaczmarek. – Nie chciałbym, żeby ciebie zabrakło, kiedy...

Telefon rozdzwonił się radośnie, jakby czekał na to od dawna. Anioła aż podskoczył z wrażenia. Kaczmarek zachował więcej zimnej krwi. Zdecydowanym ruchem poderwał słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

– Ja w sprawie profesora – niespodziewanie usłyszał miękki damski głos.

– Tak?

– Ile pan za niego da?

– Tyle, ile będzie trzeba...

– Nawet tysiąc złotych?

Cena wydała się komisarzowi zaskakująco niska, jak na życie tak powszechnie szanowanego obywatela tego miasta. Z miejsca zastanowiła Kaczmarka. Podobnie zresztą jak słabo słyszalne, acz wyraźne śmiechy w tle.

– A czy ten profesorek, to on może być trochę... przechodzony? – dopytywała nadal kobieta na drugim końcu linii.

– Proszę sobie nie żartować! – ryknął w słuchawkę komisarz.

– Proszę się natychmiast rozłączyć! Mówi policja, jeśli...

Głuchy, jednostajny sygnał po drugiej stronie świadczył o tym, że ostatnie zdanie Kaczmarka zrobiło jednak wrażenie.

– Diabelskie lafiryndy! – warknął, wściekły na rozwój sytuacji.

Tego, że jego anons posłuży do głupich żartów, w ogóle nie przewidział.

– No, Anioła! Co się tak gapisz, chłopcze? Śmigaj po dwie kawy! Szef stołówki na pewno już otworzył! No, raz, raz!

– Tak jest!

Chwilę później z biurka komisarza wędrowały ku sufitowi dwa słupki pary unoszącej się z gorących policyjnych kubków. Anioła zajął ponownie miejsce przy aparacie, a Kaczmarek siorbnął czarnego naparu i podszedł do okna. Wpatrując się

w kulę słońca wschodzącą z wolna nad Bazarem, pomyślał, że kroi się kolejny pogodny dzień bez jednej chmurki na niebie. Dzień stworzony do letniego wypoczynku, choćby na plaży w Puszczykowie. Tyle że on może o tym jedynie pomarzyć...

Telefon znowu zadzwonił, powodując, że Anioła rozlał kawę na biurku. Kaczmarek znowu dopadł do aparatu i podniósł słuchawkę.

Tym razem głos był męski, wydawał go niechybnie osobnik w sile wieku.

– A co to jest za reklama, panie szanowny? – Kaczmarek usłyszał świszczący głos astmatyka. – Czy ten „Profesor” to jakiś nowy krem do golenia? A może, za przeproszeniem, maść na porost włosów?

– Nie, drogi panie! To najnowszy środek moczopędny! – nie wytrzymał komisarz.

– O, to by mnie nawet zainteresowało. Bo ja, musisz pan wiedzieć, miewam czasem poważne kłopoty...

– Szczerze współczuję! – wrzasnął Kaczmarek. – Do widzenia!

Trzasnął słuchawką w widełki tak mocno, że te aż jęknęły z wysiłku.

– Cholera jasna, czy w tym mieście są jacyś poważni ludzie? – zdenerwował się komisarz. – Anioła, następnym razem odbierasz ty! Może będziesz miał więcej szczęścia...

Poznań, hotel Monopol przy placu Gwarnym,  
mniej więcej w tym samym czasie

Adam Wojtasik wprost nie posiadał się z radości, obserwując, jak ekipa niemieckich bokserów pospiesznie znosi walizki do holu. Skwaśniałe miny Niemców najlepiej oddawały nastroje panujące w zespole gości, obitym poprzedniego dnia przez niedocenianych Polaków. Wojtasik był już po lekturze „Kuriera” i doskonale wiedział, jakim wynikiem zakończyło się spotkanie na targach. Kazimierski, Rudzki i spółka popędzili kota niemieckim gwiazdom, aż miło! Choć starał się, jak mógł, by utrzymać poważny wyraz twarzy, trudno mu było ukryć kibicowską satysfakcję.

Nad wyraz wesoły był też tego poranka jego kierownik, August Konieczny.

– Tylko się nie śmieję! – zagadnął przez kontuar do podwładnego. – Zgodnie z etyką naszego zawodu powinieneś szczerze współczuć naszym gościom.

– Ta! – zachnął się chudy jak szczapa portier. – I co jeszcze? Może pomóc im ładować walizki do taksówek?

– Jakbyś zgadł, Wojtasik! To akurat należy do twoich stałych obowiązków.

– A niechby tam, szefie! Mogę im nosić te ich „gepeki”<sup>[66]</sup>, byle zawsze u nas przegrywali.

– No, no, no! Bo jeszcze coś zrozumieją – pogroził mu palcem kierownik.

– Szefie? A co oni tak się spieszą? Odjadą bez śniadania?

– W to nie wierzę. Ale rzeczywiście im spieszno. Zdaje się, że o ósmej z minutami mają ekspres do Berlina.

– No tak, świętować nie mają czego, więc jak najszybciej wracają do swoich – znowu uśmiechnął się Wojtasik. – Nawet ten ich trener wygląda jak z krzyża zdjęty...

– Wcale mu się nie dziwię, Adam. – Konieczny mrugnął do Wojtasika porozumiewawczo. – Myślał, że zaliczy kolejne

zwycięstwo, a tu proszę: trafiła kosa na kamień. W końcu nasze chłopaki nie ułomki.

Kierownik odszedł w stronę restauracji, a Wojtasik nadal rozkoszował się widokiem przegranych. Z radosnych myśli wyrwał go niespodziewanie szef niemieckiej ekipy:

– *Bestellen Sie bitte drei taxis. Um halb acht! Haben Sie verstanden?*<sup>[67]</sup>

– *Ja, ja! Natürlich!* – potwierdził grzecznie Wojtasik.

Zaraz potem sięgnął po telefon.

## Znowu w Prezydium Policji, gabinet komisarza Kaczmarka, około ósmej

Choć następne połączenie odebrał aspirant, okazało się ono równie niepoważne, jak dwa poprzednie. Dzwoniła jakaś starsza matrona z zapytaniem, czy ogłoszenie dotyczy kupna obrazów. Technik Anioła z elegancją i cierpliwością niedostępną jego szefowi wytłumaczył kobiecie, że to pomyłka i w żadnym wypadku nie zamierza od niej nabyć starego portretu jakiegoś profesora z ubiegłego wieku. Wyraźnie rozczarowana kobieta rozłączyła się sama.

– To jednak nie był najlepszy pomysł – westchnął Kaczmarek.

– Poczekajmy, szefie. Przecież minęła ledwie godzina – pocieszył go Anioła.

Więc poczekali. Zamiast jednak doczekać się kolejnego telefonu, do gabinetu Kaczmarka wpadł jak bomba podinspektor Zygfryd Kayser. Niezdrowe wypieki na policzkach

i rozbiegany wzrok zwiastowały burzę z potężnymi wyładowaniami.

– Kaczmarek, do jasnej cholery! Czyś ty kompletnie zwariował?! – Oskarżycielsko wyciągnięty palec wskazujący Kaysera wycelował w zwałistą sylwetkę komisarza. – Co ci odbiło z tym ogłoszeniem?! Ledwie przyszedłem do roboty, a mój telefon oszalał! Dzwonią wszyscy święci od Ratajskiego, z pretensjami i groźbami! Już sprawdzili, że to numer na komendę i każą nam się natychmiast wytłumaczyć! I co?! Co my im teraz powiemy?! Wychodzimy na skrajnych idiotów! Pół miasta już się z nas śmieje, a drugie pół dołączy do południa!

Kaczmarek zrobił się purpurowy z emocji, ale jakimś boskim cudem powstrzymał się od gwałtownej reakcji.

– Pan usiądzie, szefie – zaproponował, dając znać Aniole, by ustąpił przełożonemu miejsca na krześle.

– Daj mi spokój, Kaczmarek! Co ci odbiło z tą ogłoszeniową ciuciubabką?! Czy wyraziłem na nią zgodę?!

Raz, dwa, trzy – policzył w duchu komisarz. Wiedział, że na atak furii powinien odpowiedzieć lodowatym spokojem. Nikt i nic nie wytrąci go z równowagi...

– Nie wyraził pan, panie podinspektorze – przyznał koncyliacyjnym tonem. – Ale dlatego, że o nią nie zapytałem.

– No właśnie! Wiesz, jak to się nazywa? Nie-sub-or-dy-na-cja! A za to, Kaczmarek, grożą kon-se-kwen-cje!

Kaczmarek wzruszył ramionami.

– Szef mi nie grozi, doskonale o tym wiem – odpowiedział, siląc się na spokój. – Chciałbym tylko zauważyć, że dostałem wczoraj od pana zielone światło, by kontynuować ten wątek śledztwa. A niesubordynacja zakłada nieposłuszeństwo rozkazom, o czym w tym konkretnym przypadku nie może być mowy.



Aspirant Anioła zbladł, a zaraz potem uznał, że lepiej będzie, jeśli sprawdzi, czy przypadkiem nie jest potrzebny na korytarzu.

Gdy zostali sami, ciężko dyszący Kayser opadł na zwolnione przed chwilą krzesło i zmierzył Kaczmarka morderczym wzrokiem.

– Myślałem, że gramy w jednej drużynie – oświadczył z wyrzutem. – Myliłem się. A teraz wydzwanają do mnie jak najęci z magistratu i krzyczą, że to „skandal”, że „robimy sobie żarty z ludzkiej tragedii” i że możemy się już pakować. Rozumiesz, co narobiłeś, Kaczmarek? No, co tak słuchasz i nic nie mówisz? Nagle zabrakło ci języka w gębie?

– A jak szef myśli... – zaczął Kaczmarek. – Zakładając, że anons w „Dzienniku” nie był głupim żartem, jak inaczej miałbym nawiązać łączność z porwaczami? Sam numeru telefonu do nich nie mam, więc podałem im swój...

Kayser już miał zgromić podwładnego ostrą kontrą, gdy nagle aparat na biurku Kaczmarka znowu zadrżał pod wpływem sygnału połączenia. Podinspektor wytrzeszczył oczy.

– Myślisz... Myślisz, że to oni? – wydukał.

– Cholera wie – zaklął komisarz i chwycił za słuchawkę.

– Pan komisarz Kaczmarek? – zdziwił się, bo głos wydał mu się znajomy. W dodatku rozmówca zwracał się do niego po nazwisku.

– Tak, słucham...

– Mówi Schuppke z dyżurki.

– Co mi teraz zawracasz dupę?! – zapieklił się w jednej chwili Kaczmarek. – O co chodzi? Szybko!

– Dzwonili ze szpitala miejskiego, panie komisarzu. Borowczak się przebudził!

## Szpital miejski przy ulicy Szkolnej, kwadrans później

Szczelnie obandażowana głowa przodownika Borowczaka upodabniała go do egipskiej mumii. Efekt podkreślał blady jak kreda nos policjanta, wystający spod opatrunku. Jego matowe oczy tkwiły nieruchomo, wpatrzone w jeden punkt w rogu sufitu, ale zarówno Kayser, jak i Kaczmarek, siedzący jak jedna rodzina na zydlach obok łóżka byli przeszczęśliwi, że są otwarte. I że ich podwładny nie tylko reaguje na wypowiedane do niego słowa, ale nawet powoli kleci własne. I robi to całkiem z sensem.

– Jak ja się cieszę, Borowczak! – Szef Wydziału Śledczego zapomniał o awanturze z ogłoszeniem, choć po drodze do szpitala ciągle strugał Kaczmarkowi kołki na głowie. – Jak ja się cieszę... Borowczak, a jak ci, chłopcze, właściwie na imię?

– Edward, panie inspektorze... – wyszeptał Borowczak.

– Eda, no przecież! Że też zapomniałem! Edziu kochany! Witamy znowu na służbie. – Kayser próbował zażartować, ale zważywszy na okoliczności spotkania, dowcip wybrzmiał nieprzekonywająco.

Kaczmarek siedział jak na węglach. W prezydium zostawił przy telefonie Aniołę, ale nie był z tego powodu szczęśliwy. W razie „w” aspirant miał zapisać na kartce wszystko to, co usłyszy. Kaczmarek zakładał bowiem, że będą to jakieś propozycje finansowe i adresowe. Z pośpiechu nie zdążył jednak poinstruować przerażonego wizją samotnego czuwania przy aparacie Anioły, co robić, aby wydobyć z rozmówcy więcej informacji. A jeśli technik pogubi się i z wrażenia zapomni

języka w gębie? Albo nie zdąży wynotować najważniejszych danych? Wtedy szansa na uratowanie Krygowskiego bezpowrotnie przepadnie!

– Posłuchaj, kolego – Kayser kontynuował tymczasem swoją rozmowę z Borowczakiem. – Musisz nam odpowiedzieć na jedno zasadnicze pytanie. Kto? Kto cię tak urządził?

Borowczak przełknął ślinę.

– Chyba... – zawahał się. – Chyba ten ich trener... Śledziłem go... Był z kobietą... W lokalu... Na Ogrodowej, panie...

– Z kobietą? Trener bokserów? – upewniał się Kayser. – A co on właściwie robił w tym lokalu?

Oczy rannego nadal utkwione były w sufit, ale jego mózg zdawał się potwierdzać hipotezę chirurgów, że wyszedł z wypadku bez większego uszczerbku.

– Spotkał się... z tą kobietą... Brunetka, pod trzydziestkę... Rozmawiali...

– Co w tym złego?

– To... to wyglądało, jakby coś knuli.

– Knuli?

– Bo rozmawiali cicho, pochyleni ku sobie... Ona...

– Tak?

– Ona miała jakąś gazetę...

Podinspektor Kayser drgnął jak oparzony.

– Gazetę?

– Tak... razem coś przeglądali... Zdaje się jakieś ogłoszenia...

– Ogłoszenia! – wyrwało się podinspektorowi. – Wczoraj! A czy przypadkiem nie był to aby „Dziennik Poznański”?

Borowczak zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Nie wiem... Z daleka nie rozpoznałem...

Szef śledczych chwycił Kaczmarka za rękaw.

– A widzisz, Kaczmarek! – W oczach Kaysera widać było iskierki satysfakcji. – Może jednak ten Szwab miał coś

wspólnego z porwaniem profesora. Wracaj natychmiast do komendy i wyślij ludzi do hotelu Monopol! Trzeba zatrzymać tego drania, zanim opuści Poznań z tą swoją bandą...

– Ale szefie! – zaprotestował komisarz. – Na jakiej podstawie mielibyśmy go zatrzymać? Na podstawie gazety czytanej w lokalu? Przecież to może być czysty przypadek! Nawet nie wiemy, co on tam przeglądał! A jeśli czytał „Kuriera”?

– Zapomniałeś? To w „Kurierze” w kółko piszą o uprowadzeniu Krygowskiego! – uparł się Kayser.

– Ale ten Niemiec i ta paniusia przeglądali ogłoszenia!

– Jesteś pewny?! A niby skąd?!

– Tak powiedział Borowczak!

– Bez dyskusji, Kaczmarek! Leć aresztować tego gnojka, ja załatwię sprawę z prokuratorem! To rozkaz!

Rwetes, jaki powstał w szpitalnej sali, przywołał z korytarza dwóch lekarzy.

– Panowie, na miłość boską! – zgromili wzrokiem zacierzewionych oficerów. – Pacjent ma poważny uraz głowy! Potrzebuje spokoju i ciszy! Proszę stąd wyjść! Ale już!

## Poznań, dworzec główny, ósma trzydzieści

Kiedy wagony ekspresu Warszawa – Berlin zaczęły z łoskotem nabierać prędkości, Rüdiger wyszedł na korytarz i mocnym szarpnięciem uchylił okno, opierając się muskularnymi ramionami o obniżoną szybę. Po prawej odjeżdżały w dal masywna, posępna sylwetka Wieży Górnośląskiej i targowe

pawilony. Po lewej przesuwały się warsztaty kolejowe i ciasno ustawione kamienice na Łazarzu.

Trener niemieckiej ekipy przyglądał się uciekającym obrazom miasta tęsknym wzrokiem. Choć od końca wojny upływało już trzynaście lat, nadal nie mógł się pogodzić z tą stratą. Ciągle pamiętał odprawy w sztabie na Cytadeli, albo w kwaterze głównej na Zamku Cesarskim. Przed oczyma przesuwały mu się teraz jak w kalejdoskopie barwne obrazki z mężczyznami w mundurach i mapami na stołach sztabowych. To były lata jego młodości. Wspaniałe lata wojennej przygody, które przerwał zdradziecki cios w plecy, zadany przez komunistów i socjaldemokratów. Cesarz abdykował, a potem zdradzili ich jeszcze Polacy w Posen. Niecnie wykorzystali zamieszanie w Niemczech, siłą wydzierając prowincję poznańską...

Jeszcze tu wrócę – pomyślał. A zaraz potem poprawił się: jeszcze tu wrócimy! Pomogą w tym nawiązane na nowo kontakty. Ziarno odwetu zostało już wysiane. Teraz wystarczy tylko cierpliwie czekać, by wykiełkowało ku chwale wielkiej Rzeszy.

## W hotelu Monopol, pół godziny później

Policjanci wpadli do holu jak charty, które wprawdzie ciągle czują w nozdrzach zapach zwierza, ale już wiedzą, że go nie dopadną. Przerażony wzrok chudego człowieka za kontuarem recepcji powiedział Kaczmarkowi więcej niż jego późniejsze wyjaśnienia.

– Niemcy już wyjechali? – rzucił *pro forma* do pracownika hotelu w błękitnym uniformie.

– Przed ósmą, proszę pana... – odpowiedział wystraszony recepcjonista.

– Twoje nazwisko?

– Wojtasik, Adam Wojtasik...

– O której mają pociąg?

Chłopak zerknął szybko w rozkład jazdy, który miał zawsze pod ręką.

– O ósmej trzydzieści.

– Do diabła – syknął komisarz, zerkając na zegarek.

Wprawdzie nie był przekonany, że szef niemieckiej ekipy pięściarskiej miał coś wspólnego ze zniknięciem Krygowskiego, ale chętnie by go przesłuchał z uwagi na atak na Borowczaka. W tym przypadku wina Niemca wydawała mu się bardzo prawdopodobna. A za napaść na funkcjonariusza policji nie było przecież zmiłuj...

– Schuppke!

– Tak jest!

– Spisz z księgi gości wszystkie nazwiska i dane dotyczące tych bokserów. Spróbujemy mimo wszystko zrobić z nich użytek.

Szczerze mówiąc, nie wierzył w skuteczność występowania oficjalną drogą do policji kryminalnej Niemiec przeciwko ich obywatelowi. Chciał mieć jednak dowód, że zrobił wszystko, co do niego należało.

– Tak jest! – Podwładny potwierdził, że zrozumiał rozkaz.

Zaraz potem Kaczmarek wypadł z hotelu. Na komendę miał na szczęście ledwie kilka minut szybkiego marszu.

## Wejście do parku miejskiego, ulica Ferdynanda Focha, kwadrans przed jedenastą

Rozwieszane nad nowym pomnikiem flagi Stanów Zjednoczonych i Rzeczypospolitej Polskiej nie dawały wcale cienia dziesiątkom oficjeli i gości. Wszyscy bez względu na szarżę i urząd w równym stopniu cierpieli katusze, wystawieni na palące promienie słońca. Ponad czterometrowa figura prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona w jesiennym płaszczu, wyciągającego przed siebie obie dłonie, zdawała się obejmować opieką całe szanowne towarzystwo. Trawnik u stóp pomnika był szczelnie wyłożony kwiatami i wieńcami, poświadczającymi dozgonną wdzięczność poznaniaków dla wielkiego prezydenta, który w 1918 roku w swoich słynnych czternastu punktach – warunkach pokoju – nie zapomniał o prawie Polski do niepodległości.

Tuż pod potężną figurą stała szanowna małżonka prezydenta Wilsona, ubrana w granatową suknię w białe grochy, szczęśliwie z kapelusikiem na głowie. Obok niej w szykownym smokingu stał wysoki, siwy mężczyzna – prezydent RP, Ignacy Mościcki, dzielnie znosząc ataki słońca. To on kilka chwil wcześniej, po przybyciu w asyście ułanów, poprowadził małżonkę byłego przywódcy światowego mocarstwa przed pomnik.

Prezydent miasta, Cyryl Ratajski otarł chustką zroszone potem czoło. Był niespokojny, obawiał się bowiem, czy świętowania nie zepsują mu przypadkiem setki bezdomnych z nieodległego Wesołego Miasteczka, które dawno już przestało być wesołe<sup>[68]</sup>. Ci nieszczęśnicy, którzy osiedli w nie do końca

rozebranych pozostałościach po PeWuCE, mieli wszak z ulicy Wyspiańskiego raptem dwa kroki...

Na szczęście ofiary Wielkiego Kryzysu zajęte były najwyraźniej troską o własną egzystencję – wśród tłumu gości Ratajski nie dostrzegł nikogo ubranego biednie albo choćby zgrzebnie. Pokrzepiony tym faktem wziął więc dwa głębsze oddechy i wstąpił na mównicę. Zanim przemówił, dostrzegł oczy prymasa Hlonda, wpatrzone w niego z wielką powagą.

– Cała Polska zesła się na tem miejscu, aby oddać szczerzy hołd republice Stanów Zjednoczonych w dniu jej wolności, aby złożyć jej zasłużoną podziękę i podziw we walce za wolność innych ludów uciemiężonych, za prawo, prawdę i sprawiedliwość powszechną – powiedział Ratajski, rozglądając się wokół.

Morze kwiatów pod pomnikiem nastroiło go optymistycznie. Podziękował ambasadorowi Stanów Zjednoczonych za przybycie w zastępstwie prezydenta Herberta Hoovera, zapewnił go o wiecznej przyjaźni polsko-amerykańskiej, wreszcie przypomniał zasługi prezydenta Wilsona. Na koniec zwrócił się serdecznie do jego małżonki.

– Dostojna pani, dziękując ci z serca wzruszonego za łaskawe przybycie do Poznania na tę wielką uroczystość naszą, składamy pod stopy twoje zapewnienia o najgłębszej czci i wdzięczności – mówił z emfazą prezydent miasta.

Znowu podniósł wzrok i wśród licznych ministrów, urzędników magistrackich, ambasadorów, wreszcie szefów publicznych instytucji zauważył również sylwetkę rektora Uniwersytetu Poznańskiego. Profesor Kasznica spoglądał na niego z jakimś wyrzutem.

W jednej chwili prezydent przypomniał sobie o zaginionym profesorze i na moment stracił wątek. Przed oczyma stanęła



mu charakterystyczna sylwetka krępego matematyka z zaczesaną na prawą skroń siwą grzywą.

– Radzi jesteśmy, że uczestnikami dzisiejszej uroczystości są liczni i wybitni przedstawiciele narodu amerykańskiego – ciągnął swoją przemowę Ratajski, ale już bez poprzedniej werwy.

Pod surowym spojrzeniem rektora spuścił wzrok, opierając się obiema dłońmi o mównicę. Gdzie jest profesor Krygowski? Dlaczego nie dane mu było przybyć tutaj w tak uroczystej chwili? – nurtowały go nagłe wyrzuty sumienia.

– Cieszymy się, że w ciężkim kryzysie politycznym i gospodarczym, który cały przeżywa świat, my przeżywamy chwile promienne szczęściem i radością... – przemawiał mechanicznie.

W tym samym momencie do prezydenta dotarło, że został wyjątkowo źle obsadzony w swojej roli. Zamiast potwierdzać wagę wypowiedzianych słów błogim uśmiechem, miał twarz poważną i ściągniętą, jakby oświadczał, że właśnie wybuchła nowa wojna.

Zrobił efektowną pauzę, nie po to jednak, żeby nabrać powietrza. W tym samym momencie powiódł wzrokiem po twarzach gości. W jednej chwili wyłowił spośród nich oblicze osoby najbardziej odpowiedzialnej za niezadowolenie rektora.

Komendant Bączkowski stał w drugim szeregu, czerwony jak indor. I to bynajmniej nie z powodu wściekłego słońca. Pod naciskiem marsowego spojrzenia włodarza miasta skłonił się i opuścił swoje miejsce wśród dostojników państwowych. Jakby zrozumiał, że jego miejsce jest w tej chwili zdecydowanie gdzie indziej.

Chwilę później dwie barwne flagi zostały rozsunięte, w pełni ukazując zgromadzonym dzieło mistrza Gutzona Borgluma. Figurę Wilsona powitała spontaniczna burza oklasków.

Przyjaźń polsko-amerykańska kwitła w najlepsze, mimo dzielących oba kraje wód oceanu.

## Prezydium Policji, jedenasta trzydzieści

Telefon ciągle nie dzwonił. To znaczy dzwonił od czasu do czasu, ale tylko po to, by zdenerwować Kaczmarka – po drugiej stronie stroili sobie głupie żarty różni dowcipnisie. Komisarz miał już ochotę zaprzestać dyżuru albo przynajmniej zrobić sobie przerwę. Szybko jednak myśl ta wywietrzała mu z głowy. Uświadomił sobie, że porywacze wcale nie muszą dzwonić do skutku. Wystarczy moment nieuwagi – i sprawa się rypnie. A komisarz, rektor, prezydent Poznania i różni inni ważni oficjele już nigdy więcej nie zobaczą szanownego profesora wśród żywych...

Wzdrygnął się na tę myśl i obiecał sobie, że nie zniechęci się tak łatwo. Ryzykował przecież nie tylko życiem uprowadzonego, lecz również własną reputacją i własnym losem. Zdawał sobie sprawę, że niepowodzenie tej pokerowej zagrywki oznaczać będzie nie tylko narażenie na kolosalną śmieszność, lecz także konsekwencje służbowe, być może nawet degradację i zesłanie do patrolowania ulic na Chwaliszewie, w poznańskim jądrze ciemności.

Jego szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że chwilowo przestali wydzwaniać do komendy wszelkiej maści urzędnicy Ratajskiego. Mieli wszak na głowie wizytę szacownych gości z prezydentem Rzeczypospolitej i małżonką prezydenta Wilsona na czele. Na odsłonięcie pomnika Wilsona pojechał też

podinspektor Kayser, zabrany samochodem przez komendanta Bączkowskiego. Kaczmarek siedział więc z Aniołą w absolutnej ciszy, przerywanej jedynie bzyczeniem muchy między szybami uchylonego okna. Albo stukotem końskich kopyt, dobiegającym z ulicy.

Kolejny metaliczny terkot aparatu nie wzbudził już oczekiwanej sensacji.

– Mam odebrać, panie komisarzu? – zapytał Anioła.

Kaczmarek stał przy uchylonym oknie, taksując wzrokiem przystrojony w polskie i amerykańskie flagi plac Wolności.

– Odbiorę – odpowiedział i podszedł bez pośpiechu do telefonu.

Spodziewał się raczej kolejnego dowcipu. Kiedy jednak podniósł słuchawkę do ucha, po drugiej stronie usłyszał jedynie ciche buczenie i dziwne szmery. Zupełnie jakby linia była uszkodzona.

– Halo, jest tam kto? – zapytał. – Proszę nie blokować tego numeru, czekamy na ważny...

– To się doczekaliście. – Głos był męski, chropawy i nieprzyjemny. – Dzwonię z ogłoszenia, panie władzo. Pan wiesz z jakiego.

Skąd on wie, kim jestem? – zdziwił się Kaczmarek. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

– Tak, wiem – przytaknął pojednawczo. – Czy on...

– Żyje. Ma się dobrze.

– To świetnie... – W jednej chwili Kaczmarkowi spadł z serca ogromny gład. – Jak... Jak brzmi pańska propozycja?

Ktoś po drugiej stronie na chwilę zamilkł. Porywacz chciał chyba zwiellokrotnić napięcie.

– Pięćdziesiąt tysięcy złotych<sup>[69]</sup> – odezwał się w końcu. – Tylko szybko.

– Kiedy?

– Jeszcze dziś. Do szóstej wieczorem.

– Gdzie?

Znowu nastąpiła chwila ciszy. Może się wahał?

– Pod murem browaru Mycielskich od strony Cybiny – padła wreszcie tak długo oczekiwana odpowiedź. – Jest w nim furтка. Zostawcie przy niej pieniądze w worku.

– Rozumiem...

– Tylko bez żadnych sztuczek, Kaczmarek!...

Po plecach komisarza przeleciał nagły dreszcz. Do diabła, skąd on zna jego nazwisko?!

– Bez numerów, bo nie zobaczycie więcej swojego profesorka na tym łoż padole.

– Będzie, jak chcecie.

– Ja myślę. W końcu zależy i nam, i wam. Jak złożycie pieniądze, wycofajcie się na kilometr. Rozumiesz, psie?

– Tak. A co z Krygowskim?

– Pan się nie martwi, Kaczmarek. Jak wszystko będzie cacy, wypuścimy go jeszcze przed nocą.

– Gdzie go mamy szukać?

– Ha, ha! Za dużo chciałbyś wiedzieć! Nie martw się, dziadek chętnie rozprostuje kości. Na pewno się znajdzie. Pamiętaj: pięćdziesiąt tysięcy do osiemnastej pod furką w murze browaru. Bo jak się spóźnisz... – W ostatnich słowach wybrzmiała stanowcza groźba.

– Nie spóźnię się. Już działałam.

– No! To nie powiem „do widzenia”. Cha, cha, cha...

[66] Z niem. *der Gepäck* – bagaż.

[67] *Bestellen Sie bitte drei taxis. Um halb acht! Haben Sie verstanden?* (niem.) – Proszę zamówić trzy taksówki. Na wpół do ósmej! Zrozumiał mnie pan?

[68] Mowa o terenie tzw. Wesołego Miasteczka przy ul. Wyspiańskiego w Poznaniu. W trakcie Powszechnej Wystawy Krajowej w 1929 roku zlokalizowano tam tzw. teren E: miejsce uciech dla odwiedzających wystawę. Stały tam m.in. 37-metrowa Wieża Obserwacyjna, kolejka górską o długości 1,2 km i ślizgawka wodna. Po zamknięciu PeWuKi i po nastaniu kryzysu gospodarczego na terenie Wesołego Miasteczka zamieszkało ok. 1700 bezdomnych, a sam teren stał się szybko synonimem biedy.

[69] Kwota ta miałaby dziś wartość około pół miliona złotych.



## 12.

# Oczy szeroko otwarte

Został sam.

Jego stróże zdążyli go jeszcze nakarmić papką, która miała być zapewne zupą fasolową, ale śmierdziała spalenizną, i gdzieś zniknęli. Uświadomił to sobie dopiero po dłuższej chwili, gdy zrozumiał, że wokół niego panuje absolutna, idealna, niezmacona nawet świstem wiatru cisza.

Siedział ciągle w tej samej pozie, obolały i wycieńczony. Jedyne, co udało mu się wytargować od swoich prześladowców, to nieco luźniejsze postronki na nadgarstkach. Czuł, jak krew napływa boleśnie do palców obu dłoni i jak nabierają one z wolna ciepłoty. Czuł, że żyje, i to było w tym momencie najważniejsze. A skoro ciągle go karmili, znaczyło to ni mniej, ni więcej, że nadal wiązali z nim jakieś plany.

W ciemnościach panujących w murowanym bunkrze nie potrafił ocenić, czy to południe, czy może już wieczór. Czas płynął tu inaczej, w nieuchwytnym rytmie. I tylko fotel, do którego ciągle był przywiązany, pozostawał stałym, niezmiennym elementem tej katorgi.

Pewnie mnie szukają – pomyślał po raz bodaj setny.

Oby znaleźli mnie, zanim stanie się coś złego.

## Poznań, Prezydium Policji, kwadrans przed dwunastą

W ciągu niespełna trzech minut wszystko stało się jasne. Kaczmarek nawet nie poczuł, że w ciągu tej krótkiej rozmowy spociał się, jakby jakimś cudem podrzucono go na plażę pod Gdynią. Stał teraz osłabiony, wycierając chustką mokre kark, twarz i czoło. Aspirant Anioła przyglądał mu się z empatią. On także zrozumiał, że – jak mawiali starożytni Rzymianie – sprawa doszła właśnie do trzeciego szeregu.

W jednej chwili śledztwo wskoczyło na właściwe tory, a motyw niemiecki wydał się nagle Kaczmarkowi chorym rojeniem. Tu szło po prostu o pieniądze. Wielkie pieniądze, które miał zapewnić bandytom porwany profesor.

Komisarz zerknął na zegar wiszący na ścianie. Za dwadzieścia dwunasta. Miał więc maksymalnie sześć godzin na zorganizowanie akcji. Ani przez chwilę przez głowę nie przeszła mu myśl, by zacząć starać się o zgromadzenie odpowiednich środków. Był przekonany, że w przeciwników trzeba uderzyć bez zbytecznego cackania się. Nie miał przecież żadnej gwarancji, że bandyci uszanują układ i po pobraniu okupu rzeczywiście uwolnią Krygowskiego.

– Anioła? – Kaczmarek szybko ochłonał z pierwszego szoku.

– Tak, panie komisarzu?

– Leć po mapę wschodnich obrzeży miasta i terenów przyległych. Szczególnie interesuje mnie Kobylepole. Musi być diabelnie dokładna, rozumiesz? Bierz tylko taką o małej skali.

– Tak jest.

– Zaraz potem postaw na nogi Rogalę i wszystkich, którymi dzisiaj dysponujemy. Rogala ma przygotować wóz, a najlepiej



dwa.

- Kiedy ten stary citroën...
- Zdaje się, że dzisiaj miał być już sprawny.
- Tak jest, sprawdzę to.
- No, to mi się podoba! Fyraj[70] po mapę!
- Się robi!

Gdy został sam, Kaczmarek otworzył szufladę i wyjął z niej służbowe parabellum. Była to najcenniejsza pamiątka z powstania 1918 roku[71] oraz wojen: ukraińskiej i bolszewickiej. Ileż razy uratowała mu życie! Zdecydowanie częściej niż frontowy lekarz. Przetarł broń szmatką, a potem ulokował ją w skórzaney kaburze pod lewą pachą. Zaraz potem zaczął rozmyślać o wieczornej akcji.

Jej teren z grubsza znał. Browar Kobylepole, należący niegdyś do rodziny Mycielskich, stał kilka kilometrów na wschód od granic miasta, przy drodze do Antoninka, na skraju skarpy opadającej dość ostro ku dolinie rzeczki Cybiny. Znajdował się jakieś pół kilometra od efektownego pałacu Mycielskich, postawionego w stylu tokańskim na leśnej polanie. Kaczmarek był tam dwa razy, raz służbowo, a raz z Lonią na letniej wycieczce, bodajże rok wcześniej. Zapamiętał urokliwą dolinę Cybiny, bujny las, ceglasty kompleks browarny na wzniesieniu, spokój i smaczny posiłek, zjedzony wspólnie z żoną na kocu. Nie przypuszczał, że będzie musiał wrócić w ten sielski krajobraz z bronią w ręku, drżąc o losy starszego wiekiem zakładnika.

Zaskoczył go fakt, że ci szubrawcy znają jego godność. Skąd? Jakim cudem? Wiedział, że musi to szybko przeanalizować. W tej niezwykłej historii był to zupełnie nowy, nieoczekiwany element...

Do pokoju wpadł bez pukania Anioła. Targał ze sobą kilka rozpostartych map jednocześnie.

– Ta! – zawołał od progu. – Ta chyba będzie najlepsza!

Komisarz przesunął swoje urzędowe papiery na skraj biurka i aspirant położył na nim kilka płacht jednocześnie. Na wierzchu spoczywała karta przypominająca dokładnością mapy wojskowe. Była taka drobiazgowa i precyzyjna, że zaznaczono na niej nawet leśne i polne ścieżki. Kaczmarek szybko dostrzegł wijącego się węża Cybiny, drogę na Antoninek i wreszcie zaznaczony całkiem sporym prostokątem obiekt warzelni.

Nieprzypadkowo wyznaczyli furtkę w murze browaru jako punkt zapłaty – przemknęło mu przez głowę. Od strony Cybiny jest tam stromy spad – raz, że trudno tam swobodnie podejść, a dwa – świetnie widać z budynku warzelni każdego, kto się zbliża.

– Jeśli chcą dostać kasę tuż przy browarze, to znaczy, że muszą przebywać na stałe w tej okolicy... – powiedział sam do siebie Kaczmarek.

– Słucham, panie komisarzu?

– Nic, nic, Grzesiu. Myślę na głos.

– Aha.

– Gdzie oni mogą być? – Kaczmarek podniósł się znad mapy, by spojrzeć na teren Kobylego Pola przedstawiony z lotu ptaka.

– Hmm... A może...

W rogu mapy zauważył niewielki budynek znajdujący się przy odnodze linii kolejki wąskotorowej, odchodzącej od głównego szlaku do majątku Mycielskich – i dalej w kierunku na browar. To wyglądało na budkę dróżnika albo coś w tym guście. Zaletą tej lokalizacji był fakt, że domek stał nieco na uboczu, z dala od drogi wiodącej do warzelni. Czyżby właśnie tam przetrzymywali profesora? I co znaczy postawiony przez nich warunek, że po podrzuceniu pieniędzy mają się natychmiast wycofać kilometr od browaru? Jeśli ma to im

zapewnić czas na skuteczną ucieczkę, oznacza to ni mniej, ni więcej, że trzymają Krygowskiego w najbliższej okolicy warzelnii Mycielskich!

Pokrzepiony swoją konstatacją pochylił się znowu nad mapą, gdy nagle drzwi jego gabinetu rozwarły się z trzaskiem.

Podinspektor Zygfryd Kayser łypnął podejrzliwym wzrokiem na spiętrzone mapy na biurku Kaczmarka i zadał jedno, jakże treściwe pytanie:

– Gdzie?

## Poznań, w kamienicy przy ulicy Ratajczaka, kwadrans po dwunastej

Erica Gnadenstein skończyła swoją opowieść.

Siedem osób siedzących przy długim stole wpatrywało się w nią jak w bóstwo. Wśród zgromadzonych było pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Ci pierwsi byli w wieku trzydziestu, czterdziestu lat, kilku z nich miało siwe bądź posrebrzone włosy. Jednego z nich wyróżniała zupełna łysina. Panie wyglądały na młodsze. Można by o nich powiedzieć, że zdawały się koleżankami pani domu.

Po relacji Gnadenstein zapadła krępująca cisza.

– Czy macie jakieś pytania? – odezwała się.

Na krześle zakręcił się niecierpliwie mężczyzna z głową gładką jak globus.

– Słucham, panie leutnancie...

– Pani Erico, z całym szacunkiem... – Łysy oficer w cywilnym ubraniu sprawiał wrażenie rozdrażnionego. – Powiedziała nam

pani, że kierownictwo partii w Berlinie każe nam uzbroić się w cierpliwość. I że w najbliższym czasie należy się spodziewać szeregu wydarzeń, które mogą nas niemile zaskoczyć, ale tak naprawdę są jedynie wybiegiem taktycznym, mającym odwrócić uwagę Polaków i ich sojuszników. Ja to wszystko rozumiem i gotów jestem nawet zaakceptować. Pod jednym wszakże, nieprzekraczalnym warunkiem: że cała ta maskarada służyć będzie niezawodnie naszym dalekosiężnym celom. I że finałem tej całej przebieranki będzie jednak powrót Posen do Rzeszy!

Wypowiadając ostatnie zdanie, były oficer uderzył pięścią w stół.

Pozostali jego towarzysze mimowolnie drgnęli.

– Niepotrzebnie się pan denerwuje, panie leutnancie. – Erica Gnadenstein obdarzyła swojego rozmówcę promiennym uśmiechem. – Z ust bezpośredniego emisariusza naszego przywódcy usłyszałam jasną deklarację: jeśli NSDAP obejmie władzę w Rzeszy, na co się coraz bardziej zanosi, taktyczne uniki w postaci jakiejś formy poprawienia relacji z Polską będą jedynie środkiem do celu, a nie celem samym w sobie. Specjalny wysłannik naszego wodza wyraził się jasno: chodzi o zasłonę dymną. Owszem, to może potrwać rok, nawet kilka lat. Chodzi o to, by starzec Piłsudski nie wszedł nam przypadkiem w paradę. Rzesza potrzebuje kilku spokojnych lat na odrodzenie. Dlatego nasz przywódca wykona zapewne kilka gestów w stronę tego państwa sezonowego...

– Najpierw musi zostać kanclerzem.

– To oczywiste.

– A potem przyjdzie czas na policzenie się z Polakami. Zapłacą za ten ich bunt i wyrwanie nam Provinz Posen w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym.

– Tak właśnie będzie, panie leutnancie. – Uśmiech Eriki Gnadenstein przeszedł z fazy serdecznej w lodowatą. – A my... My musimy wytrwać. I zrobić wszystko, by nie zawieść naszych towarzyszy w Niemczech. Nie będzie to proste, ale damy radę, prawda?

## Znowu w Prezydium Policji, przed trzynastą

Pod dłuższej dyskusji śledczy uznali, że nie pozwolą sobie na podłożenie choćby w części fałszywych banknotów. Żądana kwota była potężna, ale nie mogli dopuścić do powstania jakiegokolwiek pretekstu, by przestępcy zrobili krzywdę profesorowi. Nie byli w stanie przecież wykluczyć, że akcja odbicia zakładnika nie powiedzie się i bandyci będą mieli czas, by sprawdzić gotówkę. Wizja ukarania przez nich profesora jeżyła Kaczmarkowi włosy na głowie.

W sprawie finansów pomógł sam komendant Bączkowski, szczęśliwy, że z dawna oczekiwany moment uwolnienia zakładnika był taki bliski. Przedzwonił do Narodowego Banku Polskiego i po krótkich negocjacjach uzyskał zapewnienie, że do godziny szesnastej żądana kwota zostanie dostarczona policji. W płóciennym worku, jak chcieli tego porywacze.

Co do godziny akcji, Kayser zgodził się z Kaczmarkiem, by nie spieszyć się nadmiernie. Skoro porywacze postawili warunek, że okup ma być przekazany do godziny osiemnastej, początek akcji pod niezbyt oryginalnym kryptonimem „profesor” ustalono na godzinę siedemnastą.

– Trzeba ich zmęczyć czekaniem – uzasadnił Kayser.

- To prawda - zgodził się Kaczmarek. - Popełnili spory błąd, wyznaczając stosunkowo późną granicę czasową i dając nam tym samym czas na dobre przygotowanie się.

- Nie możemy tym razem niczego skrewić - dodał z naciskiem na ostatnie słowo szef śledczych.

Choć była sobota, w trybie alarmowym pościągano z domów wszystkich pracowników Wydziału Śledczego. Liczył się każdy mężczyzna zdolny trzymać broń. Tym bardziej że zakrojony naprędce przez Kaczmarka i Kaysera plan akcji był bardzo ambitny. Zakładał okrążenie terenu wokół browaru, budki dróżnika i wiodącego do niego toru kolejki przez silne zgrupowanie funkcjonariuszy.

- Mysz nie ma prawa prześlizgnąć się bez naszej wiedzy - ujął to obrazowo Kayser.

Pieniądze w wyznaczonym miejscu miał osobiście podrzucić Kaczmarek. Teren był mocno zalesiony, co miało sprzyjać policjantom. Kayser wraz z Kaczmarkiem założyli, że po odebraniu pieniędzy bandyci posłużą się samochodem. A skoro tak, wytypowali kilka potencjalnych kierunków ich ucieczki. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zakładał, że porywacze uciekną w stronę miasta - prosto w ręce policji. Za najbardziej prawdopodobne trasy uznano kierunki na południe lub wschód - a więc na Michałowo lub Garby. Zwłaszcza ten drugi wydawał się w pełni uzasadniony - droga na Garby wiodła przez szeroki na kilka kilometrów płat gęstego lasu, okalający Poznań od wschodu. Bandyci mogli tam swobodnie porzucić auto i rozplątać się pośród zieleni. Znając dobrze okolice, mogli swobodnie obrać potem inny kierunek ucieczki, całkowicie gubiąc ewentualny pościg. Z którym przecież musieli się liczyć.

- Tak, Biniu, to chyba najbardziej prawdopodobna opcja - podsumował planowanie operacji Kayser.

Szef Wydziału Śledczych zdawał się wrócić do całkowitej równowagi. W dodatku znowu zaczął się odnosić do swojego podwładnego bardziej serdecznie.

– A co, jeśli mimo wszystko zgarną pieniądze i dadzą nogę? – zapytał komisarz.

– Wtedy niech nas ręka boska broni – mruknął Kayser.

– Byle tylko odzyskać profesora. Żywego profesora! – poprawił się szybko Kaczmarek. – Reszta...

– Coś hojny dziś jesteś, Biniu – zauważył z nutą zgryźliwości jego przełożony. – W NBP zapewne by się z tobą nie zgodzili.

– Być może, szefie – zgodził się komisarz. – Ale jeszcze wczoraj oddałby pan wszystkie pieniądze za to, by mieć taką okazję jak dziś.

Kayser zmilczał cisnącą mu się na usta ripostę. Wydała mu się bowiem zwyczajnie zbyt słaba.

## Prezydium Policji, czternasta trzydzieści

Siedząc w policyjnej stołówce nad swoją ukochaną kaszanką z dobrze wysmażoną cebulką i dwiema sznytkami<sup>[72]</sup> chleba – obowiązkowo z musztardą! – zastanawiał się, czy czegoś nie zaniedbał. Im dłużej wszakże rozmyślał o zaplanowanej akcji, tym mocniej jego rozważania skręcały w zupełnie inną stronę. Skąd porywacze znali jego nazwisko? Rozmawiali z nim przecież jak starzy znajomi! No, może raczej jak beczelni znajomi, ale jednak! Jakim cudem orientują się w ogóle, kto na komendzie prowadzi tę sprawę?

Im dłużej w gryzał się w kaszanke i w temat, tym bardziej był pewny, że bandytami musi kierować ktoś znacznie bardziej łebski niż oni sami. I że tym samym musi ich być co najmniej trzech. Tylko taka grupa dałaby radę wytaszczyć ogłuszonego profesora nieprzyjaznym, ciasnym tunelem z Zamku do Urzędu Ziemskiego, zapakować go w samochód i przewieźć w okolice browaru na Kobylem Polu. Tak, tego wszystkiego nie dokonałaby dwójka nawet rośliwych mężczyzn. Ktoś musiał ich prowadzić, stać na czatach czy reagować w sytuacjach nieprzewidzianych. Ktoś, kto zapewne był mózgiem całej tej operacji. Ktoś, kto znał nazwisko Kaczmarka – choć komisarz nie miał pojęcia, kim ten ktoś mógłby być.

Świadomość tego potęgowała niepokój.

Nagle przypomniał sobie obietnicę, którą złożył niedawno w redakcji „Dziennika Poznańskiego”. Muszę zadzwonić przed akcją do redaktora Winiewicza. Obiecałem mu przecież sensacyjną wiadomość na wyłączność... – postanowił.

Przełknął ostatni kęs chleba, oblizał wargi po smacznym kaszaku, i wtedy się rozmyślił.

Najpierw musimy uwolnić profesora. Potem będziemy się chwalić – uznał zdroworozsądkowo.

Nie chciał, by w razie niepowodzenia dziennikarze byli świadkami jego klęski.

Sołacz, restauracja z tarasem i ogródkiem przy  
stawie, pół godziny później



Redaktor Władysław Grabski, uważany w poznańskim środowisku dziennikarskim za zdecydowanie najszybciej wschodzącą gwiazdę, przyglądał się z rozmarzeniem licznym łódkom, pływającym po stawie – niewątpliwej ozdobie parku Sołackiego. Z tafli wody przeniósł zakochany wzrok na Marię Bielską, w której był zadurzony po uszy. Siedzieli przy nakrytym białym obrusem stoliku, jednym z wielu na tarasie prestiżowej restauracji. Właśnie ukończyli konsumpcję obiadu i mieli zabrać się za deser – pucharki lodów waniliowych z sosem karmelowym.

– Maryś, zabiorę cię na łódkę – Grabski czule chwycił dziewczynę za dłoń. – Popłyniemy sobie na drugi brzeg, co ty na to?

Maria zarumieniła się ze szczęścia.

– Ależ mi zrobiłeś niespodziankę tym obiadem! – uśmiechnęła się do swojego adoratora. – Chyba dostałeś premię, przecież obiad i deser kosztują majątek.

– A tak! Żebyś wiedziała! – pochwalił się Grabski. I dorzucił nieskromnie: – I to wcale niemała!

– A za co, Władziu? Za co ta nagroda?

– Nie czytałaś? – zdziwił się młody dziennikarz. – Rozgryzłem istotę porwania profesora Krygowskiego. Słyszałaś pewnie o tym tajemniczym zniknięciu?

– A jakże! Całe miasto tym żyje...

– No właśnie! Otóż właśnie dzisiaj wydrukowali w „Kurierze” moje sensacyjne ustalenia – Grabski dostrzegł w błękitnych oczach Marii błysk podziwu i było mu z tym naprawdę dobrze. – Wyobraź sobie, za sprawą stoją Niemcy!

– Niemcy? A dlaczego oni?

Dla zwiększenia efektu Grabski udał, że rozgląda się na boki, a potem przyłożył palec do ust i ściszył głos do szeptu.

– Bo, uważaj, profesor napsuł im krwi.

– Ale jak? Kiedy?

– Tego dokładnie nie wiem. Ale ustaliłem, że swego czasu zorganizował dziwny kurs dla swoich studentów. Podobno rzecz miała coś wspólnego z naszą armią...

Bielska zakryła usta dłońmi, kompletnie zaskoczona najnowszą nowiną.

– I ty to ustaliłeś? Ty sam? – Chudy redaktor Grabski w nieco postrzępionej marynarce urósł w jej oczach do tytana dziennikarstwa. – Ale jak? Jak tego dokonałeś, Władziu?

Młody żurnalista „Kuriera” poczuł się w jednej chwili bohaterem.

– Tajemnica – odpowiedział z nieudaną skromnością. – Wybacz, muszę chronić moje źródła.

– Ach tak... – Maria skromnie spuściła oczy.

Ten Władziu to naprawdę inteligentny chłopak – pomyślała z uznaniem.

## Kobylepole, okolice browaru Mycielskich, godzina siedemnasta z minutami

Kaczmarek dawno już nie był tak podminowany. Być może winna była aura: zaduch, spiekota, a do tego stojące powietrze irytowały komisarza bardziej niż lekkie opóźnienie w zastawianiu policyjnych kleszczy wokół browaru, dumnie widniejącego na szczycie leśnej skarpy. Nadjechali w jego okolice z trzech stron: pierwsza grupa – dowodzona przez komisarza Cynkę – od strony miasta i pałacu Mycielskich, druga od północy – od ulicy Warszawskiej, wreszcie trzecia –

najlichniesza, pod osobistym dowództwem podinspektora Kaysera – od południa, zajmując strategiczne pozycje przy drogach na Garby i Michałowo. Funkcjonariusze pojechali do akcji w cywilu, niektórzy przebrani w zwykłe drelichy upodabniające ich do pracowników pobliskiego majątku albo do robotników kolejowych. Dysponowali dwoma samochodami komendy: starym Citroënem i najnowszym fiatem, przezornie ukrytymi w cieniu przydrożnych bżów.

Komisarz Kaczmarek wchodził w skład grupy, której zadaniem było otoczyć kompleks warzelnii od północy, odciąć drogę ucieczki w kierunku Zielińca i podrzucić pod furtkę worek z dokładnie przeliczonymi banknotami. Pracownicy banku spisali się na medal – dostarczyli policji pieniądze kwadrans przed umówionym terminem. Honorowo nie wspomnieli nawet słowem, że liczą na zwrot gotówki po akcji.

Wąska Cybina została spiętrzona u podnóża wysokiego brzegu, tworząc nieduży staw o kształcie zbliżonym do potocznego wyobrażenia serca. Nie wiedzieć czemu, ten prosty fakt pokrzepił Kaczmarka. Potraktował to jako dobrą wróżbę. Skoro udało mu się nawiązać kontakt z porywaczami, skoro znalazł się tu, gdzie się znalazł, to wierzył, że wszystko zakończy się po jego myśli.

A jednak ciągle zdawało mu się, że czegoś nie dopatrył.

Drapiąc się nerwowo za uchem, rozejrzał się po swojej ekipie. Miał przy sobie aspiranta Aniołę, a także śledczych: podkomisarza Łysiaka, przodownika Gruszeckiego i szofera Rogalę. Tak jak on kryli się za liśćmi krzewów, porastających niski, przeciwległy brzeg stawu. Komisarz zastanawiał się, gdzie siedzą w tym momencie bandyci. Browar sprawiał wrażenie wymarłego, co – zważywszy na sobotni wieczór – nie wydawało się czymś sensacyjnym. Czy przestępcy widzą

skradających się policjantów, czy wprost przeciwnie: nie zdają sobie sprawy, że wokół nich właśnie zaciska się pętla obławy?

Zerknął na zegarek. Kwadrans po siedemnastej. Pozostałe grupy na pewno zajęły już swoje stanowiska. Wcześniej umówił się z Kayserem, że nie będą czekali do osiemnastej. Ustalili, że do siedemnastej trzydzieści Kaczmarek osobiście podłoży worek z pieniędzmi i wycofa się, a policyjne grupy dyskretnie zablokują drogi ewakuacji i będą czekać, aż bandyci sami wpadną w sak.

– Podkomisarzu – zwrócił się do Jerzego Łysiaka, najstarszego po nim rangą. – Idę z kasą, a wy pilnie śledźcie wydarzenia. Nie można wykluczyć, że coś pójdzie inaczej, niż się spodziewamy...

– Tak jest. – Podkomisarz Łysiak sięgnął po lornetkę. – Będę pilnował każdego pańskiego kroku.

– Dziękuję.

– Powodzenia!

Kaczmarek nie podziękował, żeby nie zapeszyć. Chwycił ciężki worek pełen banknotów, leżący obok nich na leśnej ściółce i zdecydowanym ruchem wychynął zza ściany liści.

Jeśli bandyci obserwowali okolicę, nagle stał się dla nich widoczny jak na dłoni. Miał wprawdzie przy sobie broń, ale nie zakładał, że będzie musiał po nią sięgnąć. A przynajmniej nie tak szybko. Zdawał sobie sprawę, że być może znajduje się teraz na celowniku porywaczy, ale nie dbał o to. W końcu musiał im donieść ten cholerny worek, a oni na niego czekali.

Wolnym krokiem obszedł stawek w kształcie serca i znalazł się na wąskim brzegu pomiędzy zbiornikiem a stromym stokiem, wiodącym ku murowi okalającemu kompleks browarny. Skarpę porastały z rzadka kępy bzu i dzikiej róży. Ku dobrze widocznej furcie wiodła udeptana ścieżka,

najwyraźniej uczęszczana chętnie w tygodniu przez pracowników browaru.

– No to w imię Boże – powiedział do siebie, choć nigdy do osób specjalnie nabożnych nie należał.

Stękając z wysiłku, spowodowanego własną tuszą, ruszył w górę. Z każdym krokiem serce waliło mu mocniej w piersi. Raz, że pod górę było całkiem stromo, a dwa – że nigdy nie niósł w garści takiej sumy. Największym ciężarem była jednak świadomość, ile zależy od powodzenia jego misji.

Im bliżej był żelaznej, lekko pordzewiałej furty, tym bardziej intrygowało go, czy ktoś czai się za ceglanymi słupkami, utrzymującymi ją w środku muru. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien mimo wszystko wyciągnąć pistoletu, żeby bandyci widzieli, że jest gotowy na wszystko. Pohamował jednak pokusę demonstracji. Przecież nie chciał się z nimi strzelać. Miał za zadanie po prostu dostarczyć worek na umówione miejsce – i zamierzał tak zrobić.

Jeszcze trzy kroki, jeszcze dwa...

Zdyszany i naprawdę zmęczony chwycił lewą dłońią za chłodną kłamkę furty.

Zaskrzypiała i ustąpiła, ukazując Kaczmarkowi... zupełnie pusty plac.



W pierwszej chwili poczuł ogromny zawód, a zaraz potem – głęboki niepokój.

Czyżby od czasu jego rozmowy z porywaczem warunki gry uległy nagłej zmianie?

Wokół siebie zobaczył jedynie skrzynie na butelki, mnóstwo pustych skrzyń. I ani żywego ducha.

Może niepotrzebnie się pospieszyłem? – analizował gorączkowo sytuację. Absurd! Przecież warunek brzmiał inaczej: do godziny osiemnastej! Chyba się nie rozmyślili? Gdzie oni, do licha, mogą siedzieć?

Omiótł wzrokiem czerwono-szarą fasadę ceglanego gmachu i nagle... zatrzymał wzrok na jego najwyższym punkcie w centralnej części budynku.

Może był to tylko przypadek, a może nie. Odniósł wszakże niejasne wrażenie, że za szybą jednego z najwyższych położonych okien coś się przesunęło. Jakby ktoś gwałtownie schylił głowę, usiłując uniknąć dekonspiracji.

A więc jednak! – ucieszył się w duchu. Są! Obserwują mnie! Czekają na mój ruch!

Nie namyślając się ani chwili, postawił ciężący mu worek na środku furtki, tak by było go dobrze widać, i nakręcił w tył.



Wracając ku swoim ludziom, zastanawiał się, czy bandyci trzymają profesora w podziemiach browaru.

Wydawało się to nieprawdopodobne. Warzelnia pracowała przecież dzień w dzień, dostarczając do poznańskich sklepów i lokali Kozięła albo pszeniczne grodziskie. Wykluczone, by ktokolwiek mógł tam kogokolwiek uwięzić...

Kilka minut później znalazł się znowu wśród swojej sekcji.

– I co, panie komisarzu? – Anioła był najbardziej ciekaw relacji Kaczmarka. – Był tam ktoś po te pieniądze?

– Na dole nie – odpowiedział komisarz z ociąganiem. – Ale zdaje się, że jakiś gagatek siedzi w browarze...

– Panie komisarzu, ktoś właśnie podjął worek! – krzyknął gdzieś z góry Łysiak.

Kaczmarek zadarł głowę i dostrzegł podkomisarza, siedzącego na gałęzi olchy z lornetką przy oczach.

– Widziałeś, jak wyglądał?!

– Słabo. Zdaje się, że miał na sobie roboczy drelich. I był całkiem przy kości.

Zupełnie jak ja, pomyślał samokrytycznie komisarz, ocierając z czoła pot wydobytą z kieszeni spodni chustką.

– Panowie! – zagadnął do swoich podwładnych. – Stało się! Odbezpieczyć broń! Od teraz pełna gotowość! Albo my, albo oni!

## Po drugiej, południowej stronie Browaru Kobylepole, kwadrans później

Niewielki, podpiwniczony budynek, stojący przy browarnej bocznicy kolejki wąskotorowej, mieli jak na dłoni. Na bocznych torach płałało się kilka wagonów towarowych, do których jednak nie zajrzeli. Kayser trzymał swoich ludzi w ryzach, zakazując im jakiegokolwiek aktywności. Czekali więc, ukryci za wysokim parkanem odgradzającym teren warzelni od ogródków działkowych. W cieniu dzikiego bzu umieścili citroëna – na wypadek pościgu.

Oczekiwanie przedłużało się jednak, a wokół browaru nic się nie działo. Jedynie stróż w murowanej wartowni przy bramie

główniej, oddalonej od nich o dobre dwieście metrów, tkwił na posterunku, co jakiś czas wyglądając na ganek. Fabryka piwa odpoczywała w sobotnie popołudnie po trudach całotygodniowej produkcji. I nic, zupełnie nic nie zapowiadało, by senny wieczór miał się nagle zamienić w czas brawurowej akcji.

– Eeeee... – ziewnął dość bezwstydnie posterunkowy Schuppke, poprawiając na głowie lekki kaszkiet.

– Nie spać, Schuppke! – zeźlił się podinspektor Kayser. – Wyśpisz się ze swoją ślubną, jak już będzie po wszystkim!

Grupa Kaysera zarechotała zgodnie, a twarz posterunkowego oblała się rumieńcem.

– Kiedy ja nie mam ślubnej – odważył się sprostować.

– To z nieślubną – poprawił się Kayser. – Zresztą wszystko mi jedno. Teraz masz mieć oczy szeroko otwarte, rozumiemy się?

– Tak jest.

Oprócz Schuppkego Kayser miał do dyspozycji przodownika Bombrycha i podwładnego niższego rangą. W razie potrzeby mieścili się wszyscy w citroenie. Podinspektor liczył na to, że zablokują bandytom drogę ucieczki albo dopadną ich dzięki czterdziestu koniom mechanicznym silnika francuskiego wozu.

Nagle przypomniał sobie o kierowcy. Aspirant Zawrot należał bowiem do szoferów uchodzących za dość ostrożnych.

– A ty, Zawrot, musisz mieć dzisiaj ciężką nogę...

– Ktoś wyjeżdża z browaru! – wyrwało się z emocji Bombrychowi,

Kayser przywarł do lornetki i już widział wszystko jak na dłoni.

Przez bramę zakładu, usłużnie otwartą przez wartownika, przejeżdżał właśnie nieduży furgon przypominający samochody dostawcze Poczty Polskiej. Choć podinspektor



wyteżył wzrok, nie dostrzegł wyraźnie, kto siedział za kierownicą. Odniosł wszakże wrażenie, że w kabinie pasażerskiej dostrzegł cień drugiego człowieka. A więc jest ich dwóch! Nie uciekną daleko tym furgonem!

Samochód dostawczy z krytą budą wyjechał z terenu browaru, ale nie skręcił ku miastu – zamiast tego wybrał kierunek wschodni, nabierając błyskawicznie prędkości.

Kayser wyszarpnął z kabury sygnalizator, wycelował w niebo i wystrzelił w górę zieloną rakietę.

– Do wozu! – rozkazał. – Zawrot! Pokaż, co potrafisz!

– Się robi! – zakrzyknął radośnie szofer.

Kilka sekund później zza parkanu wyskoczył na drogę policyjny citroën, wzniesając efekciarską chmurę kurzu.



– Rakietą! – wrzasnął Kaczmarek. – Uciekają w stronę Garbów! Do samochodu, ale już! Jedziemy za nimi!

Silnik fiata zawył pełną mocą, wyrzucając spod kół szyszki i leśne igliwie. Auto wyskoczyło na szosę i mimo wznoszącego się ostro łuku drogi natychmiast nabrało prędkości. Staw, dolina Cybiny, wreszcie skarpa z murowanym, posępnym gmachem warzelni pozostała w jednej chwili daleko za plecami ekipy pościgowej. Gnali na złamanie karku w stronę Garbów. Unoszący się przed nimi tuman kurzu jasno wskazywał, dokąd uciekają bandyci z policją na ogonie.



Citroën z ekipą Kaysera był coraz bliżej furgonu. Samochód uciekinierów, choć jego silnik był jak potępieniec, nie miał szans na oderwanie się od pogoni. Jego kierowca rzucał więc maszyną raz w lewo, raz w prawo, byle tylko uniemożliwić Citroënowi wyprzedzenie. Dzielny Zawrot dwukrotnie ledwo utrzymał samochód w linii drogi, spychany przez cięższy dostawczak do rowu.

Manewry bandytów na drodze rozsierdziły Kaysera. Niewiele się namyślając, wystawił przez okno dłoń z pistoletem i wycelował w opony furgonu.

Pierwszy strzał był chybiony, ale poprawka okazała się skuteczna. Świadczył o tym pisk rozrywanej gumy i nagłe szarpnięcie budą wozu. Zaraz potem buda gwałtownie wytraciła prędkość, jej wysoki tył zarzucił raz w lewo, raz w prawo, aż nagle przed maską Citroëna powstała tak potężna chmura kurzu, że Zawrot mimowolnie nacisnął ostro na pedał hamulca. W ostatniej chwili! Inaczej auto z policjantami uderzyłoby w korpus dostawczaka, przewróconego na bok w poprzek drogi.



Citroën zatrzymał się jak koń ściągnięty mocno za cugle. Kayser i jego ludzie wyskoczyli z wozu i dopadli do furgonu.

Jeszcze nie zdążyli się zorientować, czy jego pasażerowie przeżyli wypadek, gdy za ich plecami wyhamował fiat prowadzony przez Rogalę. W kilka sekund wysypali się z niego podwładni Kaczmarka.

Funkcjonariusze otoczyli przewrócony wóz szczelnym kołem. Każdy z nich trzymał w dłoni broń, celując z niej w budę

kierowcy.

– Ręce do góry! – krzyknął nieco *pro forma* Kayser. – Tylko szybko! I bez żadnych numerów!

Zza wykruszonej szyby drzwi wychynęła powoli głowa mężczyzny z kilkudniowym zarostem.

– Nie strzelać... – usłyszeli funkcjonariusze. – Tu jest ciężko ranny...

Doskoczyli do furgonu i w kilku otworzyli w górę drzwi wozu. W budce pasażerskiej było dwóch mężczyzn. Tylko jeden z nich był przytomny – na tyle, by unieść dłonie i powiedzieć raz jeszcze:

– Tu jest ranny...

Mówiący te słowa miał nie więcej jak czterdzieści lat. Prosty ubiór upodabniał go do bezrobotnego albo kierowcy z prowincji. Z jego rozbitego łuku brwiowego płynęła krew. Ale to nie on potrzebował pilnej pomocy. Po drugiej stronie kanapy, blisko ziemi, na wysokości kierownicy leżał mężczyzna w podobnym wieku i podobnej fizjonomii. Od kolegi różniła go jedynie gładko wygolona głowa. Tyle że była ona teraz cała we krwi, a jej właściciel leżał nieprzytomny na boku.

– Ratujcie go – wystękał drugi z bandytów.

– Rogala! Anioła! Wyciągnijcie delikwenta, tylko ostrożnie – rozkazał Kaczmarek.

Gdy policjanci usiłowali dostać się do ciężko rannego, jego kompan z trudem wyszedł z przewróconego furgonu. Dopiero wtedy Kaczmarek dostrzegł worek z pieniędzmi, spoczywający ciągle na dnie kabiny.

– Schuppke! Podetrzyj mu twarz – polecił Kayser.

Funkcjonariusz posłusznie podał rannemu swoją chustkę. Ten wytarł w nią krew z policzka, krzywiąc się z bólu.

– A teraz skuj go – rozkazał podinspektor.

Chwilę później przestępca stał w kajdankach, unikając badawczych spojrzeń Kaysera i Kaczmarka.

– I co? Warto było? – odezwał się Kayser.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – bąknął chrapliwym głosem przestępca.

To on – skonstatował komisarz Kaczmarek. Mężczyzna, z którym rozmawiał przez telefon! To on odpowiedział na ogłoszenie i podyktował warunki okupu. Miał dokładnie ten sam, nieprzyjemny głos.

– Nie rozumiesz? – zachnął się Kayser. – A ten worek? Przecież wiemy, co w nim jest.

Nieogolony mężczyzna przypominający penera<sup>[73]</sup> z Wildy albo Dębca uśmiechnął się krzywo:

– Ale ja nie wiem.

Kaczmarek spojrzał mu prosto w oczy i zrozumiał, że facet blefuje.

– Lepiej nam pokaż, gdzie go trzymacie – poradził mu spokojnym tonem. – Daj szansę sądowi na niższy wyrok.

[70] Fyraj (gwara pozna.) – pędź, leć.

[71] Mowa o powstaniu wielkopolskim w 1918/1919 roku.

[72] Sznytki (gwara pozna.) – kromki, pajdy.

[73] Pener (gwara pozna.) – człowiek z marginesu.



## 13.

# Dość przedstawienia!

Nagle gdzieś w jego pobliżu zrobiło się gwarno i głośno.

Usłyszał wyraźne słowa, nawet całe zdania!

Mężczyzn było tym razem zdecydowanie więcej niż dwóch. Rozprawiali o czymś podniesionymi głosami. Z każdą chwilą słychać ich było wyraźniej...

Te dźwięki wybudziły go z letargu, w którym trwał od dobrej godziny. Poruszył się niespokojnie na fotelu, ale więzy trzymały go solidnie, jak dawniej. Na szczęście nie miał już knebla.

– Halo! – zawołał w ciemność słabym, chwiejnym głosem. – Halo, panowie! Tu jestem! Tutaj!

Przez moment wydawało mu się, że wszystko na zewnątrz ucichło.

W jednej chwili stracił nadzieję, by za kilka sekund znowu ją odzyskać.

Ciszę piwnicznego więzienia rozdarł nagle hałas przypominający spuszczenie w dół metalicznej sztaby.

Łomot, a potem zgrzyt z dawna nieużywanych zawiasów wzmogły pracę jego serca. Choć oczy miał przesłonięte opaską i nie widział światła wdzierającego się niespodziewanie do środka lochu, mimowolnie skierował twarz w stronę, z której do wnętrza weszło kilka osób.

Po sposobie ich chodzenia rozpoznał, że to nie oprawcy.

– Pan profesor! – usłyszał radosny męski okrzyk.

Zaraz potem czyjeś ręce zsunęły mu z oczu przepaskę.

Z dawna niewidziane światło poraziło go z całą mocą. Zmrużył oczy, ale mimo tego długo nie mógł uchwycić konturów kilku sylwetek krzątających się wokół niego. Ktoś rozsuptał sznury krępujące jego ręce, ktoś inny zaczął mu masować dłonie. Jeszcze ktoś inny chwycił go pod ramiona i delikatnie uniósł, by stanął na własnych, pozbawionych siły nogach. Gdy okazało się, że nie jest w stanie ustać, w pionie podtrzymały go twarde jak stal, męskie ramiona.

Choć był już stary, przeżył i widział niejedno, z oczu popłynęły mu łzy.

Wracam do domu – pomyślał. Bogu niech będą dzięki.

W Prezydium Policji, gabinet komisarza  
Kaczmarka, 4 lipca 1931 roku, dziewiętnasta  
z minutami

– Trzymali go w piwnicy starej, spalonej leśniczówki, panie prezydencie. Tak, w samym środku lasu, jakiś kilometr od browaru. Głusza kompletna! Tak więc profesor Krygowski jest już wolny... Tak, tak, przechodzi właśnie rutynowe badania w szpitalu miejskim. Bandyci? Oczywiście są w naszych rękach, niebawem przesłuchamy jednego z nich. Dlaczego tylko jednego? Bo drugi został poważnie ranny podczas próby ucieczki i na razie nie kwalifikuje się do rozmowy. – Podinspektor Zygfryd Kayser delektował się każdym zdaniem wypowiedzianym przez telefon do prezydenta Ratajskiego. –

Dziś jest już późno... Szanuję czas prywatny pana prezydenta. Jeśli pan pozwoli, kolejny meldunek złożę jutro, już po przesłuchaniu... Świetnie, panie prezydencie... Ja również się cieszę. Wyrazy uszanowania...

Kaczmarek nasłuchiwał jednym uchem tej wymiany uprzejmości, a jego chmurna twarz zupełnie nie pasowała do rozanielonego oblicza jego szefa. Czegoś mu w tym wszystkim brakowało, i doskonale wiedział czego. A raczej: kogo.

Osadzony w areszcie mężczyzna – póki co bez imienia i nazwiska, bo nie podał go śledczym – zdecydował się jedynie ujawnić miejsce przetrzymywania profesora. Konsekwentnie milczał jednak na temat współnika lub współników i nic nie wskazywało na to, by zamierzał zmienić zdanie. Tymczasem ani on, ani jego ciężko ranny towarzysz nie wyglądali w żaden sposób na ludzi zdolnych samodzielnie zaplanować i przeprowadzić akcję uprowadzenia profesora. Byli co najwyżej sprawnymi jej wykonawcami, ale z całą pewnością to nie oni napisali scenariusz. Do tego potrzebny był ktoś na zdecydowanie wyższym poziomie. Ktoś, kto wiedział, dlaczego warto zamachnąć się akurat na profesora Krygowskiego. Dlaczego jest on tak cenny, że państwo wyłoży za niego każde pieniądze. Ktoś, kto w dodatku znał godność oficera policji zajmującego się tą sprawą... Ktoś...

– I co, Biniu? Ładnie ich rozgryźliśmy, nieprawdaż?! – triumfalny głos Kaysera zmaćił mu myśli. – A co ty, kolego, nie cieszysz się z sukcesu?

– Szefie... – Kaczmarek uniósł rękę, błagając przełożonego o chwilę ciszy. – To jeszcze nie koniec.

– Nie koniec? O czym ty mówisz, człowieku?

Komisarz nie odpowiedział. Zamiast tego intensywnie przypominał sobie cały przebieg tego krótkiego, ale jakże dynamicznego śledztwa. W którym momencie zetknął się ze



swoim przeciwnikiem? Kiedy dał mu pretekst do tak jawnej nonszalancji, pozwalającej mu podzielić się nazwiskiem śledczego ze swoimi zbirami?

Kiedy...

To było jak nagłe uderzenie błyskawicy.

W jednej chwili wszystko zrozumiał.

To on. To musiał być on!

Tylko on wiedział...

Na biurku Kaczmarek zadzwonił nagle telefon.

– Do ciebie. – Kayser był bliżej i podał słuchawkę komisarzowi.

Kaczmarek od razu rozpoznał głos rozmówcy. Asystent Rejewski był tak samo spokojny i jednocześnie precyzyjny, jak podczas ich ostatniego spotkania.

– Panie komisarzu, zauważyłem dziś rano coś dziwnego – oświadczył.

To, co powiedział zaraz potem, utwierdziło tylko komisarza w postanowieniu. Musiał działać szybko.

Teraz.

Natychmiast!

## Zamek Cesarski, Wydział Matematyczno- Przyrodniczy Uniwersytetu Poznańskiego, kwadrans przed dwudziestą

Doktorowi Albinowi Szamotulskiemu wcale nie drżały ręce, jak za pierwszym razem, gdy pokazywał ekipie śledczej gabinet profesora Krygowskiego po jego zniknięciu. Wręcz przeciwnie –

przyjął policję z wymalowanymi na twarzy spokojem i ufnością. Jego oczy, ukryte za grubymi szklami okularów, nie zdradzały żadnych emocji. Uwadze Kaczmarka nie uszło jednak, że w żaden sposób nie wyraził zdziwienia późną porą policyjnej wizyty.

– Pan wie, dlaczego tutaj jesteśmy – powiedział do niego w trybie oznajmującym.

– Nie mam pojęcia, panie komisarzu.

– Dwie godziny temu ujęliśmy porywaczy profesora.

– Naprawdę? To świetnie, panowie. Gratuluję! – Szamotulski nawet nie mrugnął okiem.

– Nie zapyta pan, kto to taki?

– Pewnie jacyś menele z Dębca?

– Nie, szanowny panie. To pańscy koledzy w interesach. Właśnie przyznali się do wszystkiego – zablefował ostro Kaczmarek.

– Przepraszam, ale czegoś tutaj nie rozumiem. – Twarz doktora nadal stanowiła nieprzeniknioną maskę. – Sugeruje pan komisarz, że mam z nimi coś wspólnego? To jawna potwarz!

– To się okaże, panie Szamotulski. – Kaczmarek delikatnie pchnął naukowca w tył, wchodząc z podwładnymi do jego gabinetu.

– To jakiś absurd – oznajmił chłodnym, acz ciągle spokojnym tonem asystent profesora. – Czy mogę przedzwonić do pańskiego przełożonego? Chciałbym jak najszybciej wyjaśnić to nieporozumienie.

– Daj pan spokój z tym przedstawieniem, koledzy i tak go nie docenią – mruknął Kaczmarek, wskazując ręką na Aniołę i Łysiaka. – Przyszedłem tutaj z nakazem zatrzymania pana. Jest pan oficjalnie podejrzany o sprawstwo kierownicze,

zaplanowanie i przeprowadzenie zamachu na wolność osobistą profesora Zdzisława Krygowskiego.

– Cha, cha... – zaśmiał się cokolwiek zbyt nerwowo Szamotulski. – A niby w jakim celu?

– W celu osiągnięcia korzyści majątkowej.

Matematyk zachował kamienną twarz, ale odrobinę zbladł.

– Czy mam rozumieć, że zostałem w tym momencie aresztowany?

– Dokładnie tak – przytaknął Kaczmarek. – Proszę z nami.

– Ale to przecież jawna niedorzeczność! – wybuchnął niespodziewanie asystent profesora. – To ja stwierdziłem fakt uprowadzenia i to ja zawiadomiłem o tym policję. Chyba nie sądzi pan, że postanowiłem ukręcić bat sam na siebie?

– Sprytnie pan to rozegrał – skomentował komisarz. – Ma pan też niezłe zdolności aktorskie. Prawie uwierzyłem w szok, który pan tak przekonująco przed nami odegrał...

– Panie komisarzu. – Szamotulski ani myślał opuścić pomieszczenia. – Ja naprawdę jestem przyjacielem profesora! Ba, mogę śmiało powiedzieć: jestem wielkim wielbicielem jego umysłu i dokonań!

– W to nie wątpię – mruknął Kaczmarek. – Wielbiciele często tracą jednak zdrowy rozsądek.

– Co ja takiego zrobiłem, że podejrzewa mnie pan o te wszystkie niepojęte rzeczy? – Doktor przeszedł do ofensywy. – Przecież nie macie na mnie żadnych dowodów!

– Mamy – skontrował go natychmiast Kaczmarek.

Nie chciał używać tego argumentu, zanim Szamotulski nie zostanie przesłuchany w komendzie. W tym momencie uznał jednak, że musi jakoś złamać jego opór.

– Tak? A niby jakie? – zainteresował się chyba po raz pierwszy szczerze asystent profesora.

– Był pan widziany razem z dwoma zatrzymanymi dziś porywaczami.

– Niemożliwe!

– A jednak! To było dzisiaj, na tyłach domu akademickiego, w którym pan mieszka. Przy Wałach Leszczyńskiego. Około dziewiątej rano. Najwidoczniej konsultowaliście się, co robić.

– Ale...

– Mam świadka! W dodatku bardzo, bardzo wiarygodnego. Szamotulski spuścił głowę, błędząc wzrokiem po parkiecie sali.

– Rejewski? – zapytał.

Komisarz pozostawił jego pytanie bez odpowiedzi.

– Panowie, zabieramy podejrzanego – zwrócił się do swojej ekipy.

Anioła chwycił dłonie naukowca i zakuł je fachowym ruchem w kajdanki. Następnie popchnął go delikatnie, acz stanowczo w stronę korytarza.

Nie wiedzieć czemu, Kaczmarek przypomniał sobie w tym samym momencie przeczytane gdzieś niedawno zdanie.

– Boże, broń mnie przed przyjaciółmi. Z wrogami poradzę sobie sam<sup>[74]</sup> – westchnął głośno, opuszczając gabinet Szamotulskiego.

Tego dnia pozostało mu już tylko lojalnie zadzwonić do zaprzyjaźnionego redaktora Winiewicza.

[74] Fraza przypisywana kardynałowi Armandowi Jeanowi Richelieu (1585-1642).



## Epilog

Poznań, poniedziałek 6 lipca 1931 roku,  
redakcja „Kuriera Poznańskiego”  
na Świętym Marcinie 70, ósma z minutami

Władysławowi Grabskiemu szumiały jeszcze w głowie własne przechwałki z Sołacza, gdy wspinał się po schodach kamienicy na piętro, zajmowane przez macierzystą redakcję. Ciągłe upajał się niemym zachwytem Marii, gdy urzeczona jego wiedzą i koneksjami spijała mu z ust każde wypowiedziane słowo. Ciągłe miał przed oczyma jej autentyczną, dziewczęcą fascynację nim, człowiekiem mediów, dla którego świat, osobliwie poznański świat polityki i sensacji, nie miał żadnych tajemnic. Już jest moja! – powtarzał sobie w myślach, wchodząc przez przeszklone drzwi do redakcji „Kuriera”.

Marsowe, gniewne oblicza starszych kolegów po fachu nieco go zastanowiły, nie wybiły wszakże z radosnego, weekendowego nastroju. Dopiero gdy z pokoju redaktora naczelnego wychylił się jego asystent i z daleka wskazał Grabskiemu na migi, by natychmiast stawił się u szefa, poczuł na plecach dreszcz niepokoju.

Co jest? Czyżby działo się coś ważnego?

Idąc długim korytarzem do gabinetu naczelnego, przypomniał sobie, że powinien dzisiaj zadzwonić po nowości do swojego tajnego informatora w Prezydium Policji. Najwyższy czas napisać krytyczny, zjadliwy komentarz na temat nieudolności poznańskiej policji...

Bolesław Szczepkowski, szef zespołu „Kuriera”, powitał go zblazowanym wyrazem twarzy. Nawet nie spojrzał na swojego młodego wilka. Zamiast tego w milczeniu podał mu egzemplarz pisma konkurencji i wskazał fotel naprzeciwko.

– Pan sobie przeczyta, panie kolego – polecił sarkastycznym tonem. – Na naukę nigdy nie jest za późno.

Grabski drżącymi dłońmi przejął od Szczepkowskiego egzemplarz „Dziennika Poznańskiego”, usiadł w fotelu i spojrzał na tekst otwierający gazetę. Z wrażenia omal nie połknął własnego serca, które zawędrowało mu pod gardło.

– To... To jest... – zająknął się tylko.

*Sensacyjny zwrot w sprawie uprowadzenia profesora UP – przeczytał w milczeniu tytuł tekstu, przeżuwając jednocześnie gorycz porażki.*

*Poznań, relacja własna. Jak się dowiedzieliśmy z wiarygodnych źródeł w Prezydium Policji, w sobotę w godzinach wieczornych w okolicy browaru kobylepolskiego miała miejsce brawurowa akcja funkcjonariuszy Wydziału Śledczego tutejszej komendy, której celem było oswobodzenie profesora Uniwersytetu Poznańskiego Zdzisława Krygowskiego – czytał jak przez mgłę Grabski. – Powszechnie ceniony wykładowca Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego zaginął w nocy z 30 czerwca na 1 lipca w tajemniczych okolicznościach. Intensywne śledztwo policji, kierowane przez podinspektora Zygryda Kaysera, kierownika Wydziału Śledczego komendy, doprowadziło do rozszyfrowania i ujęcia sprawców uprowadzenia Sz. Pana Profesora. Zbrodniarzami*

okazali się dr Albin Sz., a także Roman Z. oraz Tomasz D. Zatrzymani – z wyjątkiem poszkodowanego w wypadku drogowym Tomasza D. – przyznali się do winy. Dr Albin Sz. okazał się mieć potężne długi kartciane oraz niespłacone kredyty w bankach w wysokości 10 tys. złotych polskich. Swoją przestępczą działalność motywował chęcią odzyskania swobody finansowej.

Do ujęcia bandytów doszło w wyniku spektakularnej, dobrze zaplanowanej akcji, której szczegóły opisujemy w detalach poniżej. Tym samym dziekan Krygowski odzyskał wolność. Jego Magnificencja Rektor Uniwersytetu Poznańskiego prof. Stanisław Kasznica wyraził wdzięczność organom ścigania, a w szczególności komisarzowi Wydziału Śledczemu Zbigniewowi Kaczmarkowi, którego zawodowa zawziętość...

Grabski podniósł głowę, napotykając surowe spojrzenie redaktora naczelnego.

– Słucham – odezwał się krótko Szczepkowski. – Co ma mi pan do powiedzenia w tej sprawie? O ile się nie mylę, był to pański temat?

Młody dziennikarz stracił resztki rezonu. Czuł się rozbity i upokorzony. Nie potrafił znaleźć dobrej odpowiedzi. Ostatecznie nie odnalazł żadnej.

– Szanowny kolego – naczelny spojrzał na Grabskiego mniej groźnie. – Każdy miewa lepsze i gorsze dni. Pan ma właśnie przed sobą te drugie. Abstrahując od tego wszystkiego, co opisała niestety nasza konkurencja, wydaje mi się, że przyda się panu więcej pokory...

– Tak, tak, oczywiście...

– To cecha niezwykle wskazana w naszym tak odpowiedzialnym zawodzie. Otóż nie zwolnię pana, choć sam pan widzi, że miałbym ku temu wszelkie podstawy. Zamiast tego przesuwam pana do innych zadań. Od dziś będzie pan



przygotowywał naszą skromną, acz niewątpliwie poczytną rubrykę „Kronika wypadków”. I proszę nie odbierać tego jako kary. Przeciwnie, do sukcesów – prawdziwych sukcesów, panie kolego – dochodzi się małymi, za to pewnie stawianymi krokami. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Młody Grabski był zbyt skołowany, aby pojąć, co mówi do niego jego pryncypał. Odruchowo przytaknął wszakże skinieniem głowy. Jego myśli stanowiły w tym momencie jeden wielki śmietnik. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– A ten „Dziennik” proszę sobie zatrzymać na pamiątkę naszej rozmowy – naczelny „Kuriera” był okrutny do końca. – Życzę panu, aby nasze kolejne spotkanie przebiegło w miłszych okolicznościach. Żegnam!

## Poznań, okolice Prezydium Policji, kwadrans przed dziewiątą

Piękna brunetka w pastelowym żakiecie uwypuklającym jej nienaganną sylwetkę przyciągała rozmarzone spojrzenia męskiej klienteli w „Esplanadzie”. Siedząc nad filiżanką porannej kawy i wertując najświeższe, zgoła sensacyjne wydanie „Dziennika”, spoglądała co rusz w stronę mało efektownego, szarego budynku położonego vis-à-vis.

A swoją drogą ciekawe, dlaczego ten profesor matematyki okazał się dla Polaków taki cenny – nasza ją nagła refleksja. Trzeba się będzie temu przyjrzeć. Tylko ostrożnie, z dystansu. Żeby nie spalić tematu. Ta wiedza może się przecież przydać...

Erica Gnadenstein nie przepadała za lekturą polskich gazet. Zdecydowanie bardziej wolała przeglądać „Posener Tageblatt”. Starła się jednak trzymać rękę na pulsie. Wiedzieć, czym żyje miasto pod obcym nadzorem. Jej meldunki do centrali partii musiały być przecież możliwie precyzyjne. A tylko w polskich gazetach przewijały się nazwiska, które ją interesowały...

Dopiła kawę i zaczęła się zbierać.

Kelner podszedł do niej z rachunkiem i uśmiechem na twarzy, nieudolnie maskującym szczerze zainteresowanie jej zgrabnymi nogami. Widziała w jego oczach pożądanie, ale zignorowała je. Zapłaciła i wstała od stolika. Zdecydowanie bardziej wolałaby płacić w markach niż w złotychkach. Ale na to przyjdzie jeszcze czas.

Wychodząc z kawiarnianej części „Esplanady” wprost na ulicę, raz jeszcze rzuciła okiem na budynek, zajmowany chwilowo przez polską policję.

Przyjdzie czas, kiedy wyrównamy też nasze osobiste rachunki – pomyślała.

## Tego samego dnia wieczorem, ulica Święty Marcin 30, przed kinem Colosseum[75]

Ulica była gorąca rozgrzanym przez cały dzień brukiem, który oddawał teraz ciepło jak gigantyczny kaloryfer. Powiewy ciepłego, upalnego powietrza przywodziły państwu Kaczmarkom na myśl letni wypad do Italii. Póki co, wracali z pokazu „Kapitana Lasha” z Victorem McLaglenem w roli głównej. Amerykańsko-niemiecka produkcja, pionierska

zapowiedź kina dźwiękowego, zapewniła im udany wieczór. Longina Kaczmarek była wprost wniebowzięta. Szepnęła nawet mężowi na ucho, że zdecydowanie powinni dokończyć ten jakże udany wieczór w domowych pieleszach...

Komisarz zarumienił się jak dziecko; na szczęście w okolicy nie było żadnych jego znajomych.

– Bardzo dobry pomysł – odpowiedział i pocałował Lonię.

Ruszyli niespiesznym spacerem w dół Świętego Marcina, w stronę Szkolnej. Po prawej minęli skrzyżowanie z Piekarami i kościół św. Marcina z otoczonym balustradą placikiem, na którym stał pomnik Mickiewicza. To były rejony, które Kaczmarek znał od dzieciństwa. Pod pomnikiem wieszcza nie raz demonstrował wraz ze skautami jeszcze w czasach Wielkiej Wojny. I tą właśnie ulicą uciekał potem na złamanie karku w dół, ku ówczesnemu Petriplatz, zmykając skutecznie przed niemiecką policją...

– Panie komisarzu! Panie Kaczmarek! – Z błogiego nastroju wyrwał go niespodziewanie męski okrzyk dobiegający gdzieś z góry.

Państwo Kaczmarkowie zatrzymali się i podnieśli głowy.

Nad nimi – i nad ogromnym szyldem sklepu z sukniami ślubnymi – na drabinie uwijał się z kombinerkami i śrubokrętem w dłoniach siwy mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku, za to z pokaźnym brzuchem, wylewającym mu się za pasek od lichych spodni. Jego mokra na plecach koszula zaświadczała, że pracował nad wyraz rzetelnie.

– Majse! – Kaczmarek rozpoznał go nie bez trudu. – Majse! co ty tu robisz?!

Inżynier na drabinie był ogolony i starannie uczesany. I – co chyba najważniejsze – zdawał się całkiem trzeźwy, czego nie można było o nim powiedzieć podczas ich ostatniego

spotkania w nieodległym „Rydzu”. Zupełnie zgrabnie pokonał dystans kilkunastu szczebli dzielący go od poziomu chodnika i wystartował z dłonią do komisarza.

– A to ci niespodzianka, panie komisarzu! A to dopiero!

Kaczmarek przedstawił mu swoją małżonkę. Szarmancki Majseł nie omieszkał ucałować jej dłoni.

– Właściwie to świetnie się składa, panie komisarzu. – Stary inżynier poprawił kosmyk siwych włosów opadających mu na czoło; był jakby czymś stremowany. – Dobrze się składa, bo ja... bo ja zamierzałem się do pana wybrać.

– Do mnie? – Kaczmarek momentalnie nabrał najgorszych obaw. – A po co?

– Tak, do pana. Znaczy się, do komendy. Żeby panu podziękować.

– Mnie? Ale za co, panie szanowny?

– Żeś mi pan wtedy dał w pysk.

– W pysk?

– No wtedy, znaczy się w „Rydzu”. Jak mnie pan znalazłeś zaprutego na amen.

– Ależ najmocniej przepraszam. Chciałem tylko...

– Daj pan spokój, wdzięczny jestem! Może pan nie uwierzy, ale dzięki temu znowu wyszedłem na ludzi. Znaczy się, odstawiłem w końcu tę cholerną berbeluchę...

– Gratuluję – uśmiechnął się krzywo zakłopotany komisarz.

Chciał już iść, ale Lonia spojrzała na niego z autentycznym podziwem, który osadził go w miejscu.

– I wie pan co? – Stary inżynier po przejściach najwyraźniej czuł potrzebę podzielenia się czymś jeszcze. – Jak chlać przestałem, to od razu tak mi się jakoś w łepetynie rozjaśniło, że nawet pracę znalazłem! I kobietę, wyobrazi pan sobie?! Komisarzu kochany, mówię panu: żyć nie umierać!

*Poznań, luty – maj 2018*

[\[75\]](#) Dziś kino Muza.



## Słowo od autora

Pragnę uspokoić wszelkich badaczy historii najnowszej: profesor Zdzisław Krygowski, postać wielce zasłużona dla obchodzącego w tym roku jubileusz stulecia Uniwersytetu Poznańskiego, polskiej nauki i dla złamania kodów niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma, nie został nigdy porwany. Opisana tutaj kryminalna historia jest wyłącznie literacką fikcją. Choć uszyta została z fragmentów przeszłości, które miały miejsce – i obsadzona w dużej mierze postaciami historycznymi.

Podobnie fikcyjna jest także kwestia tajnego podziemnego przejścia z Zamku do gmachu Urzędu Ziemskiego, dzisiejszego Collegium Maius UAM. Choć wiele razy słyszałem legendy o takim połączeniu, dotychczas nie znaleziono żadnych dowodów na jego istnienie. Literatura rządzi się jednak własnymi prawami, nie odmówiłem więc sobie przyjemności stworzenia postaci inżyniera o ksywie Majseł – i opisanie, w jaki sposób pomógł on komisarzowi Kaczmarkowi rozgryźć zagadkę porwania profesora.

Książkę ta dała mi również okazję do innej przygody: przypomnienia na jej kartach bodaj najwybitniejszych w dziejach absolwentów poznańskiego uniwersytetu: Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego – i w mniejszym stopniu, ale jednak – Jerzego Różyckiego. Trzej genialni studenci

matematyki, wychowankowie profesora Krygowskiego, jak nikt inny przysłużyli się dziełu alianckiego zwycięstwa w II wojnie światowej. Rozpoczęte przez nich jeszcze w Poznaniu prace nad niemieckimi szyframi wojskowymi zaowocowały złamaniem kodu Enigmy w końcu 1932 roku, co w efekcie dało aliantom broń zapewniającą im w dłuższej perspektywie zwycięstwo nad III Rzeszą. Warto wspomnieć, że w Poznaniu otworzy się niebawem Centrow Szyfrów Enigma, zorganizowane dokładnie w tym samym miejscu, w którym Rejewski, Zygałski i Różycki pod kuratelą kapitana Maksymiliana Ciężkiego trudzili się nad niemieckimi szyframi. Mam nadzieję, że dzięki Centrum raz na zawsze zostanie utrwalona rola, jaką studenci Uniwersytetu Poznańskiego odegrali w tej niezwykłej historii.

Gwoli historycznej ścisłości: przedwojenni studenci matematyki na Uniwersytecie Poznańskim odbywali zajęcia w pomieszczeniach położonych po północnej stronie Zamku Cesarskiego, więc profesor Krygowski z okien swojego gabinetu mógł co najwyżej podziwiać Ogród Różany na zapleczu Zamku – a nie ulicę Święty Marcin, jak w tej książce. Z przyczyn natury fabularnej pozwoliłem sobie nieco zmienić ten drobny fragment dawnej rzeczywistości, za co Szanownych Czytelników z góry przepraszam.

Natomiast wspomniany w książce mecz bokserski rzeczywiście odbył się w Poznaniu w 1931 roku, tyle że nie w lipcu, a w listopadzie. Silna reprezentacja Niemiec, acz bez Hansa Ziglarskiego i kilku innych sław niemieckiego pięściarstwa, niespodziewanie uległa Polakom 6:10. Mecz rozegrany został oczywiście na Targach Poznańskich, a zawody poprowadził Duńczyk, sędzia Fischer z Kopenhagi. Chwila była naprawdę szczególna: mecz zakończył się bowiem pierwszym w okresie międzywojennym zwycięstwem polskich



pięściarzy nad niemieckimi. Jakże ważnym dla dumy narodowej mieszkańców II Rzeczypospolitej – i dla samych poznaniaków, mających wszak w świeżej pamięci zwycięskie powstanie przeciw Niemcom.

Radość z dopiero co odzyskanej niepodległości była wówczas – mimo Wielkiego Kryzysu, procesów brzeskich i trudów dnia codziennego – powszechna. I tylko nikt nie spodziewał się, że za osiem lat ta suwerenność znowu się skończy. Tym razem na pół wieku.

Piotr Bojarski



# Spis treści

## **Prolog**

### **Część 1. RÓWNANIE Z NIEWIADOMĄ**

1. Rdzawa plama
2. Honor i tajemnica
3. Voilà! Czyli niespodzianka
4. Jeśli to piekło
5. A nie mówiłem, Biniu?
6. Tylko godne oferty

### **Część 2. CZAS NA RACHUNKI**

7. Wszystko pasuje jak ulał
8. To tylko polityka
9. Strona ludzka, strona służbowa
10. Na dwóch instrumentach
11. Szaleństwo i metoda
12. Oczy szeroko otwarte
13. Dość przedstawienia!

## **Epilog**

## **Słowo od autora**